

John Fowles

Mantissa

(Tłumaczenie: Waldemar Łyś)

Następnie, rozpatrując z uwagą czem jestem, uznałem iż mogę udać jakoby nie miał ciała i jakoby nie było żadnego świata ani miejsca gdziebym był; nie mogę wszelako udać jakoby nie istniał. Przeciwnie, z tego właśnie iż zamierzam wątpić o prawdzie innych rzeczy, wynika, bardzo jasno i pewnie, że istnieję; gdybym natomiast tylko przestał myśleć, choćby nawet wszystka reszta tego co sobie wyobraziłem była prawdą, nie miałbym żadnej przyczyny mniemać iż istnieję. Poznałem stąd, że jestem substancją, której całą istotą lub przyrodą jest jeno myślenie, i która, aby istnieć, nie potrzebuje żadnego miejsca, ani nie zależy od żadnej rzeczy materialnej; tak iż to JA, to znaczy dusza, przez którą jestem tem czem jestem, jest zupełnie odrębna od ciała, a nawet łatwiejsza do poznania niż ono, i że, gdyby nawet ono nie istniało, byłaby i tak wszystkim czem jest.

René Descartes, *Discours de la Méthode*

SYLWJA. Dość tej paplaniny! Przepowiedziano mi za męża człowieka z dobrego domu i nic z tego nie opuszczę.

DORANT. Do kata! Gdybym miał tę zaletę, przepowiednia byłaby groźna; lękałbym się, iż na mnie skrupi się jej wyrok. Nie mam zbytnej wiary w astrologję, ale mam jej wiele w twą śliczną twarzyczkę.

SYLWJA. (*Na stronie*). Nie myśli przestać. (*Głośno*). Skończysz raz? Co cię obchodzi przepowiednia, skoro ty właśnie jesteś z niej wyłączony.

DORANT. Nie wywróżyła, że się w tobie nie zakocham.

SYLWJA. Nie; ale powiedziała, że nic na tem nie zyskasz, a ja to potwierdzam... Możesz się obejść bez mówienia mi o miłości, jak myślę?

DORANT. Ty mogłabyś się obejść bez budzenia jej we mnie.

SYLWJA. Ech, pogniewam się: niecierpliwisz mnie, w istocie; jeszcze raz ci powtarzam, przestań być czułym kochankiem.

DORANT. Więc przestań ty być sobą.

Marivaux, *Le Jeu de l'Amour et du Hasard*

I

Przedstawiane zwykle były jako młode, skromne, rozmiłowane w samotności, piękne dziewczęta. Ich szaty różniły się stosownie do sztuk lub nauk, których były opiekunkami.

Lemprière, pod Musae

Ono świadome było świetlistej i nieskończonej mgiełki, jak gdyby unosiło się, boskie, alfa i omega, ponad morzem oparów i spoglądało w dół; potem stało się już mniej radosne, po chwili nieokreślonej długości, pełnej szemrzących głosów i majaczących kształtów, które zawęziły wrażenie niezmierzonej przestrzeni i bezkresu w coś znacznie bardziej ograniczonego i nieprzyjemnego. Stamtąd, z nagłym poczuciem nieuchronności upadku, szmery zogniskowały się w głosy, cienie w twarze. Jak w jakimś niezrozumiałym zagranicznym filmie, wszystko było obce; język, miejsce i obsada. Obrazy i znaczenia zaczęły się rozmywać, już to chwilowo się zlewając, już to dzieląc jak wodne ameby, bez wątpienia pracowicie, lecz bezcelowo. Te konfiguracje kształtów i uczuć, powiązanych ze sobą morfów i fonemów powróciły jak zapamiętane raz na zawsze algebraiczne formuły ze szkolnych czasów; choć to, do czego są one stosowane i po co w ogóle istnieją, zostało już kompletnie zapomniane. Ono było świadome, bez wątpienia; lecz pozbawione zaimka, wszystkiego, co odróżnia człowieka od człowieka; i pozbawione czasu, wszystkiego, co odróżnia terażniejszość od przeszłości i przyszłości.

Przez moment poczucie bezosobowości wiązało się z przyjemnym uczuciem wyższości, świadomości wzniesienia się ponad otoczenie. Jednak nawet to uczucie zostało wkrótce brutalnie rozproszone przez nieubłaganego demona rzeczywistości. Dokonując psychicznej wolty ono nieodwołalnie zmuszone zostało do przyznania, że nie tylko nie unosiło się majestatycznie w stratosferze, przystrojone w jambiczne pentametry, lecz że leżało na plecach w łóżku. Nad głową znajdowała się ścienna lampa, schludny, prostokątny kawałek matowego, białego plastyku. Światło. Noc. Nieduży bladoszary pokój, kolor skrzydła szarej mewy. Wieczna pustka, co najmniej

bezruch, a w każdym bądź razie kompletne nic. Gdyby nie wpatrujące się weń dwie kobiety.

Niejasno zganione surowym wyrazem twarzy bliższej z nich, ono uczyniło kolejny nieświadomy wywód: z jakiegoś powodu było w centrum uwagi, było jakimś "Ja". Twarz uśmiechnęła się i zniżyła; malowała się na niej mieszanina troski i sceptycyzmu, obawa przemieszana z zapewne nieświadomym podejrzeniem o symulowanie.

— Kochanie?

Kolejnym boleśnie szybkim skrótem myślowym ono zdało sobie sprawę z tego, że nie jest tylko jakimś tam "Ja", lecz jest "Ja" męskim. To stąd niewątpliwie pochodziło ogarniające go poczucie poniżenia, bezsilności i głupoty. "Ono", "Ja", a właściwie "On" przyglądał się, jak usta zniżają się lotem spadochroniarza i lądują na jego czole. Dotyk i zapach — to nie mógł być film ani sen. Twarz zawisła nad jego twarzą. Wyszeptala słowa dobyte z czerwonego otworu.

— Kochanie, wiesz, kim jestem?

Spojrzał bezmyślnie.

— Jestem Claire.

Nic mu to nie mówiło.

— Twoja żona, kochanie. Pamiętasz?

— Żona?

Dziwne i niepokojące uczucie: wiedzieć, że coś się powiedziało, lecz tylko ze względu na bliskość źródła dźwięku. Brązowe oczy wskazywały na przerażającą głębię zdrady małżeńskiej. Próbował połączyć słowo z osobą, osobę z istotą; na próżno; w końcu przeniósł oczy na młodszą kobietę stojącą dalej, po drugiej stronie łóżka. Również się uśmiechała, lecz jakoś obojętnie iż zawodową wprawą. Skrupulatna obserwatorka, trzymała ręce w kieszeniach i ubrana była w biały lekarski fartuch. Jej usta również poczęły jakieś słowa.

— Czy może mi pan podać swoje nazwisko?

Oczywiście. Nazwisko! Nie ma nazwiska. Nic nie ma. Nie ma przeszłości, miejsca ani czasu. Zdał sobie sprawę z głębi otchłani i, niemal równocześnie, z jej nieuleczalności. Desperacko próbował, jak człowiek tracący grunt pod nogami, lecz czegokolwiek by usiłował dotknąć lub ogarnąć, natrafiał na pustkę. Niespodziewanie gwałtownie przerażony wpił się wzrokiem w oczy kobiety w białym fartuchu. Podeszła o krok czy dwa.

— Jestem lekarzem. A to jest pańska żona. Proszę na nią spojrzeć. Czy pan ją sobie przypomina? Czy widział ją pan już kiedyś? Czy ją pan kojarzy?

Spojrzał. W wyrazie twarzy żony było coś znajomego, lecz było to opryskliwe, nieomal bolesne, jak gdyby właścicielka twarzy czuła się urażona zarówno idiotycznością sytuacji, jak i jego milczącym spojrzeniem. Wyglądała na zdenerwowaną i zmęczoną, na twarzy miała zbyt dużo makijażu, jak ktoś, kto założył maskę, by nie krzyknąć. A przede wszystkim, żądała czegoś, czego nie mógł jej dać.

Jej usta zaczęły wymieniać nazwy, nazwiska ludzi, nazwy ulic, nazwy miejsc, bezładne fragmenty zdań. Niektóre z nich zostały powtórzone. Być może słyszał je już wcześniej jako słowa; nie miał jednak pojęcia, dlaczego miałyby być istotne ani dlaczego coraz bardziej brzmiały jak wykaz popełnionych przez niego zbrodni. W końcu przecząco pokręcił głową. Miał ochotę zamknąć oczy, by znów doświadczyć spokoju zapomnienia, by znów stać się pustą kartą niepamięci. Kobieta pochyliła się jeszcze niżej, bacznie mu się przyglądając.

— Kochanie, proszę, spróbuj. Proszę. Zrób to dla mnie. — Odczekała chwilę, a potem podniosła wzrok. — Obawiam się, że to na nic.

Teraz z kolei lekarka nachyliła się nad nim. Poczuł jej palce delikatnie podnoszące mu powieki. Sprawdziała źrenice. Uśmiechnęła się do niego jak do dziecka.

— To jest separatka w szpitalu. Jest pan zupełnie bezpieczny.

— Szpital?

— Wie pan, co to jest szpital?

— Wypadek?

— Odciełi prąd. — Jej oczy ożywił odcień sarkazmu, zbawcza odrobina humoru.

— Wkrótce podłączymy pana na nowo.

— Nie pamiętam, kim...

— Tak, wiemy.

— Miles? Odezwała się druga kobieta.

— Jakie mile?

— Twoje imię. Nazywasz się Miles, kochanie. Miles Green.

Mignięcie czegoś nieznanego, jak skrzydło nietoperza o zmierzchu; zbyt szybkie, by je uchwycić.

— Co się stało?

— Nic, kochanie. Nic, czego by nie można wyleczyć.

Wiedział, że to nieprawda; i że ona wie, że on wie. W ogóle zbyt dużo wiedziała.

— Kim jesteś?

— Claire. Twoja żona.

Wymówiła imię powtórnie, niepewnie, jak gdyby sama zaczynała w nie wątpić. Przeniósł wzrok z niej na sufit. Wyglądał dziwnie, lecz kojąco: szary jak mewy, tak, znał mewy; lekko wygięty, jakby pikowany lub wyścielany w małe kwadraty, a każdy z nich zwieszał się, wybrzuszony, a w środku miał mały, obciągnięty materiałem, szary guzik. Wyglądało to jak odwrócone nieskończone rzędy małych, lecz doskonale regularnych krecich kopców lub mrowisk. Gdzieś, w tej chwilowej ciszy, pojawił się natrętny dźwięk jak niesłyszalne dotychczas tykanie zegara. Lekarka znów się nad nim pochyliła.

— Jakiego koloru są moje oczy?

— Ciemnobrązowe.

— Moje włosy?

— Ciemne.

— Cera?

— Błada. Gładka.

— Hę mogę mieć lat?

Przyjrzał się.

— Niech pan zgadnie.

— Dwadzieścia siedem. Osiem.

— Dobrze. — Uśmiechnęła się zachęcająco, po czym kontynuowała swym neutralnie żywym głosem: — Kto napisał *Klub Pickwicka*?

— Dickens.

— *Sen nocy zimowej*? Nie wie pan?

— Letniej. — Znów na nią spojrział.

— W porządku. Kto?

— Shakespeare.

— Czy pamięta pan którąś z postaci?

— Dupek. — Dodał: — Tytania.

— Dlaczego pamięta pan akurat tych dwoje?

— Bóg jeden wie.

— Kiedy ostatni raz widział pan to na scenie?

Zamknął oczy i pomyślał, potem znów je otworzył i pokręcił głową.

– Mniejsza o to. Osiem razy osiem?

– Sześćdziesiąt cztery.

– Trzydzieści odjąć dziewiętnaście?

– Jedenaście.

– Dobrze. Piątka.

Wyprostowała się. Chciał powiedzieć, że odpowiedzi przyszły znikąd, że to, iż w jakiś tajemniczy sposób był w stanie poprawnie odpowiedzieć na pytania, tylko pogorszy ich niezrozumienie. Usiłował usiąść, ale był słaby, coś go powstrzymywało. Pościel, ciasno owinięta wokół niego, i jakaś wewnętrzna słabość jak w koszmarach, gdzie chęć ruchu i sam ruch rozdzielają wieki. Czuł się jak dziecko w kołysce.

– Proszę leżeć spokojnie, panie Green. Dostał pan środki uspokajające.

Jego wewnętrzne poczucie zagrożenia rosło. Jednak te żywe i baczne oczy wzbudzały zaufanie. Była w nich niema ironia starej kochanki — kompletnie już niezaangażowanej, lecz wciąż jeszcze przechowującej w sercu cień czulego zainteresowania. Druga kobieta poklepała go po ramieniu, domagając się dozy zainteresowania.

– Nie wolno nam się denerwować. To potrwa tylko kilka dni.

Niechętnie przeniósł wzrok na jej twarz; "my" wyzwoliło w nim uszczypliwość.

– Nigdy przedtem cię nie widziałem.

Zaśmiała się, bezgłośny wybuch, jakby była rozbawiona jego niedorzecznością.

– Chyba jednak tak, kochanie. I to codziennie przez prawie dziesięć ostatnich lat. Jesteśmy małżeństwem. Mamy dzieci. To musisz pamiętać.

– Nic nie pamiętam.

Zaczerpnęła powietrza, lekko pochyliła głowę, a potem znów spojrzała na lekarkę, która — czuł to — choć skrywała to za zasłoną rutyny, dzieliła jego rosnącą niechęć do tego ucieleśnienia wyrzutów, tego moralnego imperatywu. Kobieta zbyt natarczywie usiłowała rozciągnąć na niego swe prawo własności; a przecież najpierw trzeba samemu dobrze wiedzieć, kim się jest, żeby oddać się komuś we władanie. Czuł przemożną potrzebę nietykalności: mogła udawać, że jest jej własnością, na to nic nie mógł poradzić. Ale nie będzie potulnym barankiem, żeby potwierdzić jej pretensje. Najlepiej byłoby odzyskać nicość, otchłań zapomnienia, szarą, tykającą ciszę. Pozwolił opaść powiekom, lecz niemal natychmiast usłyszał głos lekarki.

– Chciałabym rozpocząć wstępną terapię, pani Green.

— Tak, oczywiście. — Dostrzegł sztuczny uśmiech żony-twarzy posłany nad łóżkiem, uśmiech kobiety do kobiety.

— To ulga wiedzieć, że jest w tak dobrych rękach. — A potem: — Da mi pani znać zaraz, kiedy...?

— Natychmiast. Proszę się nie obawiać. Ta dezorientacja jest całkiem normalna.

Kobieta, rzekomo jego żona, spojrzała na niego z góry, wciąż nie do końca przekonana, wciąż niemo oskarżycielska. Zdał sobie sprawę, lecz z rozdrażnieniem, a nie ze zrozumieniem, że jest zagubiona, że nie ma recepty na takie sytuacje.

— Miles, przyjdę znowu jutro. — Nic nie powiedział. — Proszę, spróbuj pomóc pani doktor. Wszystko będzie dobrze. Dzieci tęsknią za tobą. — Spróbowała po raz ostatni: — Jane? Tom? David?

Jej głos brzmiał niemal zalotnie, przez co te słowa bardziej kojarzyły się z nie zapłaconymi rachunkami, minionym szaleństwem wydatków niż z dziećmi. Znów lekko zaczerpnęła powietrza, po czym pochyliła się i musnęła ustami jego usta. Zatykam flagę. Obejmuję to terytorium w posiadanie.

Nie patrzył na nią, gdy wychodziła, lecz leżał wpatrując się w sufit, ręce pod pościelą wyciągnięte wzdłuż boków. Kobiety rozmawiały przy drzwiach ścisłym głosem; nie widział ich. Środki uspokajające. Odcięcie prądu. Narkoza. Operacja. Podciągnął stopy i dotknął ręką nogi. Goła skóra. Sięgnął wyżej. Goła skóra. Drzwi zamknęły się, lekarka znów była przy nim. Nacisnęła przycisk dzwonka przy łóżku i przez chwilę bacznie mu się przyglądała.

— Musi pan spróbować zrozumieć, że dla nich to też jest szok. Ludzie nie zdają sobie sprawy z tego, że rozpoznanie przez innych stanowi dla nich dowód ich istnienia. Kiedy znajdą się w takiej sytuacji jak ta, zaczynają się bać. Tracą poczucie bezpieczeństwa. Rozumie pan?

— Nic nie mam na sobie.

Uśmiechnęła się przelotnie na dźwięk jego słów; a może śmiała się z tego, że bardziej szokująca od utraty pamięci była dla niego strata ubrania.

— Niczego pan nie potrzebuje. Tutaj jest bardzo gorąco. Na dobrą sprawę, dużo za gorąco. — Dotknęła własnego fartucha. — Nie mam nic pod spodem. Tak jest ustawiony termostat, wszyscy się na to skarżymy. A na dokładkę nie ma okien — powiedziała. — Wie pan, co to jest termostat?

— Mniej więcej.

Wyciągnął nieco szyję i po raz pierwszy rozejrzał się po pokoju. Faktycznie, nie było okna, a za całe umeblowanie służyły mały stolik i krzesło w przeciwległym kącie pokoju. Ściany były wyłożone szarym materiałem tak jak sufit. Nawet drzwi naprzeciwko łóżka były wyściełane. Oszczędzono jedynie podłogę, próbując w ten sposób złamać monotonię całej reszty: wyłożona była dywanem w kolorze cielistoróżowym, kolorze zwanym niegdyś przez malarzy starym różem. Pikowane, wyściełane więzienie: brak mu było słów, lecz gdy odnalazł wzrok lekarki, ta domyśliła się, co go gnębi.

— To dla wyciszenia. Najnowsza rzecz. Izolacja akustyczna. Przeniesiemy pana natychmiast, gdy pański stan zacznie się poprawiać.

— Zegar.

— Tak. — Pokazała go. Wisiał za nim na ścianie w rogu po lewej stronie. Był to przeładowany ozdobami szwajcarski zegar z kukułką; miał alpejski daszek i pełen był dziwacznych postaci, pasterzy, krów, alpejskich rogów, szarotek i Bóg wie czego jeszcze, wyrzeźbionych w każdym dostępnym miejscu brązowej drewnianej powierzchni, i czynił absurdalnie dużo zamieszania. — Zostawił go nam poprzedni pacjent. Irlandczyk. Sądziliśmy, że dzięki niemu jest tutaj przytulniej.

— Jest okropny.

— Nie będzie panu przeszkadzał. Odłączyliśmy mechanizm wybijania godzin. Już nie kuka.

Wpatrywał się w ohydny zegar: w jego obłąkańczo zaśmiecony przód, w wypadające wnętrzości ciężarków i łańcuchów. Przeszkadzał mu, przypominał coś, czego się obawiał; nie wiedział dlaczego; była to jakaś anomalia, coś, co w nieokreślony sposób przypominało mu o wszystkim, czego nie pamiętał.

— Czy on wyzdrowiał?

— To był raczej skomplikowany przypadek.

Odwrócił głowę i ponownie na nią spojrzał.

— Nie wyzdrowiał?

— Opowiem panu o nim, kiedy poczuje się pan lepiej.

Zastanowił się przez chwilę.

— To nie jest...

— Nie jest co?

— Wariaci?

— Broń Boże. Jest pan tak samo przy zdrowych zmysłach jak ja. A może nawet bardziej.

Usiadła na brzegu łóżka. Ręce miała złożone na piersi, odwróciła się w jego stronę; czekali, aż ktoś odpowie na dzwonek. W górnej kieszeni fartucha miała wpięte dwa pióra i pochewkę termometru. Jej ciemne włosy związane były ciasno na karku. Była bez makijażu, lecz w jej twarzy było coś elegancko klasycznego, coś śródziemnomorskiego. Skórę miała bardzo jasną; spod bladości biło ciepło, niewykluczone, że w jej żyłach płynęła włoska krew, choć manieri miała doskonale angielskie. Niewątpliwie pochodziła z dobrej, a nawet bardzo dobrej rodziny. Jedna z tych młodych kobiet, które dzięki swojej inteligencji decydują się na poważną karierę zawodową, a nie na życie w beczynności. Zastanawiał się, czy nie była przypadkiem Żydówką, szlachetnym, młodym pędem jednego z tych znamienitych rodów, które od dawna łączą wielkie bogactwo z wykształceniem i zaangażowaniem w służbie publicznej. A potem zaczął się zastanawiać, skąd, do licha, w ogóle takie myśli przychodzą mu do głowy.

Wyciągnęła rękę i poufale klepnęła go w bok.

— Wszystko będzie w porządku. Mieliśmy cięższe przypadki.

— Czuję się, jakbym znowu był dzieckiem.

— Wiem. Terapia może nie poskutkować od razu. Oboje musimy być cierpliwi.

— Uśmiechnęła się. — Że tak powiem. — Wstała, jeszcze raz nacisnęła dzwonek przy łóżku i wróciła na swoje miejsce.

— Co to za miejsce?

— Szpital Centralny. — Przyjrzała mu się. Pokręcił głową. Opuściła wzrok, przez moment nic nie mówiła, a potem rzuciła jedno ze swych kpiących spojrzeń. — Moim zadaniem jest przywrócić sprawność pańskiej pamięci. Proszę pomyśleć. Każdy wie, co to jest Szpital Centralny.

Skupił się; w jakiś szczególny sposób czuł, że to strata czasu i że lepiej będzie w ogóle nie próbować. Po chwilowym szoku nie było to aż tak nieprzyjemne, to całkowite oderwanie się od tego, czym się kiedyś było lub mogło być: nikt od niego niczego nie oczekiwał, niczym się nie przejmował, zapomniał o zmartwieniach, choć ich brak uświadamiał mu ich istnienie — ciężar, którego nigdy nie doświadczył, choć w głębi duszy czuł ulgę. Przede wszystkim miał poczucie ukojenia, że znajduje się w rękach i pod opieką tej opanowanej i kompetentnej młodej kobiety. W dyskretnym wycięciu białego fartucha widać było delikatną szyję.

– Chciałbym zobaczyć swoją twarz.

– Ja jestem pańskim lustrem. Na razie.

Spojrzał w nie, lecz nie zobaczył niczego szczególnego.

– Czy ja przypadkiem nie miałem wypadku?

Miała poważną minę.

– Niestety tak. Został pan zamieniony w żabę. – Powoli, widział to w jej oczach, zrozumiał, że wyśmiewa jego przesadne obawy. Zdobył się na błady uśmiech.

– Tak lepiej – powiedziała.

– Czy wie pani kim... kim byłem?

– Jestem.

– Jestem.

– Tak.

Chciał, by mówiła dalej. Ale ona obserwowała go tylko w milczeniu: kolejny sprawdzian.

– Nie powie mi pani.

– To pan mi to powie. Wkrótce.

Milczał przez chwilę.

– Domyślam się, że jest pani...

– Kim?

– Kozetki, no wie pani.

– Psychiatrą?

– Właśnie.

– Neurologiem. Nienormalne funkcjonowanie mózgu. Specjalizuję się w mnemonologii.

– Co to jest?

– Jak działa pamięć.

– Albo nie działa.

– Czasami. Chwilowo.

Włosy miała związane na karku wstążką, był to jedyny kobiecy element jej stroju. Na końcach wstążki widoczny był wzór, który składał się przemiennie z niewielkich różyczek i pojedynczych, eliptycznych, czarnych liści na białym tle.

– Nie wiem, jak się pani nazywa.

Odwróciła się ku niemu i wsunęła kciuk pod lewą połą fartucha. Był na niej mały pasek plastyku z nazwiskiem: DR A. DELFIE. Po czym, jakby ujawnienie tego niewielkiego biurokratycznego detalu na swój temat było nie dość kliniczne, wstała.

— Och, gdzież jest ta siostra?!

Otworzyła drzwi i wyjrzała na zewnątrz; widocznie na próżno, bo jeszcze raz podeszła do łóżka i nacisnęła dzwonek. Tym razem długo i natarczywie. Spojrzała na niego z góry, usta miała kwaśno zaciśnięte; odebrała mu tym samym możliwość postawienia jej zarzutu o niecierpliwość.

— Jak długo tutaj jestem?

— Zaledwie kilka stron.

— Stron?

Złożyła ręce, a w swych czujnych oczach znów miała cień kpiny.

— A co powinnam powiedzieć?

— Dni.

— Dobrze. — Uśmiechnęła się szerzej.

— Dlaczego powiedziała pani "stron"?

— Stracił pan swoją tożsamość, panie Green. Muszę skupić się na pańskim poczuciu rzeczywistości. Wydaje się w niezłej formie.

— Coś jakby zgubić swój cały bagaż.

— Lepiej bagaż niż członki, jak powiadają.

Wpatrywał się w sufit i usilnie próbował na nowo zdobyć przeszłość, miejsce, cel.

— Zdaje się, że przed czymś uciekam.

— Być może. Po to my tutaj jesteśmy. Żeby pomóc panu to odkopać. — Dotknęła jego nagiego ramienia. — Lecz teraz powinien pan przestać się martwić. Po prostu się rozluźnić.

Jeszcze raz podeszła do drzwi. Panowała za nimi osobliwa ciemność, niczego nie mógł dojrzeć. Wpatrywał się w wyściełany, łukowaty sufit, w gęstwinę małych, wiszących poduszczyków, z których każda zakończona była guzikiem. Pomimo całej swej szarości przypominały piersi, piersi uczennic, rząd za rządem, sklepienie pełne zwieńczonych sutkami pączków. Chciał to pokazać lekarce, lecz ta nadal stała w otwartych drzwiach; a potem intuicja podpowiedziała mu, że nie jest to coś, na co powinien zwrócić uwagę lekarzowi-kobiecie. Było to zbyt osobiste, zbyt wymyślne i mogłaby poczuć się urażona.

Wreszcie lekarka odwróciła się. Ktoś szybko wszedł za nią do pokoju: młoda pielęgniarka karaibskiej urody, biały czepek i śniada twarz ponad wykrochmalonym niebiesko-białym fartuchem. W rękę trzymała zrolowane impregnowane prześcieradła. Przewróciła oczami na widok lekarki.

— Siostra na wojennej ścieżce. A to coś nowego. — Lekarka z rezygnacją kiwnęła głową i odezwała się do niego: — To jest siostra Cory.

— Miło tu pana widzieć, panie Green.

Spojrzał na pielęgniarkę zbaraniałym wzrokiem.

— Przepraszam.

Figlarnie pogroziła mu palcem; błysk w brązowych oczach, niski, śpiewny głos.

— A teraz koniec z przeprosinami. Bo dostaniesz po uszach.

Ładna dziewczyna, humor, wesoła apodyktyczność. Jakimś rzadkim zbiegiem okoliczności, pomimo niewątpliwych rasowych różnic genetycznych, jej oczy były dokładnie tego samego koloru co oczy lekarki.

— Siostrze, proszę zamknąć drzwi. Chciałabym zacząć.

— Oczywiście.

Jeszcze raz doktor Delfie stanęła z założonymi rękami. Niewątpliwie była to jej ulubiona poza. W jej spojrzeniu przez chwilę widać było zaciekawienie i wahanie, jakby nie była pewna, jaką terapię powinna zastosować; jakby widziała w nim raczej problem, a nie człowieka. W końcu uśmiechnęła się lekko.

— To nie będzie bolało. Wielu pacjentów uważa, że jest to przyjemny relaks. — Spojrzała na siostrę, która stanęła po drugiej stronie łóżka. — W porządku?

Pochyliły się i wprawnie wyciągnęły kołdrę spod materaca, najpierw z jednej, potem z drugiej strony. Serią szybkich ruchów zwinęły ją do końca łóżka. Próbował usiąść. Natychmiast obie znalazły się przy nim i stanowczo, choć delikatnie przytrzymały go.

Doktor Delfie odezwała się:

— Proszę leżeć. Właśnie tak. — Jej głos, mimo że cichy, był wyraźnie ożywiony; widziała jego zażenowanie. — Drogi panie, jestem lekarzem, a to jest pielęgniarka. Codziennie widzimy nagie męskie ciała.

— Tak. Przepraszam — dodał.

— Musimy teraz podłożyć impregnowane prześcieradło. Proszę obrócić się w moją stronę. — Odwrócił się; czuł, jak pielęgniarka układa prześcieradło wzdłuż jego pleców. — A teraz w drugą stronę. Na prześcieradło. Właśnie tak. Dobrze. A teraz z

powrotem na plecy. — Wpatrywał się w wyściełany sufit. Prześcieradło pod nim zostało naciągnięte. — A teraz proszę podnieść ręce i włożyć je sobie pod głowę. O tak. Dobrze. Proszę zamknąć oczy i odprężyć się. Jest pan w najlepszym tego typu szpitalu w Europie. Mamy bardzo wysoki wskaźnik wyleczeń. Nie jest pan już pacjentem bez pamięci; od tej pory jest pan na drodze do jej odzyskania. Proszę rozluźnić mięśnie. Wyłączyć się. Wszystko będzie dobrze. — Nastąpiła chwilowa przerwa. — Spróbujemy teraz zbadać pewne reakcje nerwowe. Musi pan leżeć zupełnie nieruchomo.

— Tak.

Oczy miał posłusznie zamknięte. Przez kilka kolejnych chwil panowała cisza przerywana jedynie tykaniem zegara, po czym lekarka odezwała się cicho:

— W porządku, siostró.

Dwie lekkie dłonie dotknęły wewnętrznej strony ramion wyciągniętych na poduszce, przesunęły się do pach, a potem powędrowały niżej, wzdłuż boków; zatrzymały się na kościach bioder i spoczęły na nich.

— Moje ręce są przyjemne i ciepłe, panie Green?

— Tak, dziękuję.

Pielęgniarka cofnęła dłonie, lecz tylko na chwilę. Jedna z nich zręcznie uniosła jego miękki członek, opuściła go i położyła się na nim; palce drugiej ręki oplótły mu mosznę i zaczęły ją powoli masować. Otworzył z przerażeniem oczy. Lekarka pochyliła się nad nim.

— Ośrodek pamięci w mózgu jest blisko powiązany z ośrodkiem zawiadującym czynnościami gonad. Musimy upewnić się, że funkcjonuje on normalnie. To rutynowe badanie. Nie ma powodu do wstydu. A teraz proszę zamknąć oczy.

W jej wzroku nie było już ani wesołości, ani wyrafinowania, jedynie zawodowa powaga. Znów zamknął oczy. Masaż moszny trwał dalej. Druga ręka zaczęła głaskać obnażoną spodnią część członka. Choć nie czuł się ani trochę odprężony, ruchy te wydały mu się kliniczną rutyną. Jak gdyby na potwierdzenie, lekarka zwróciła się ponad jego ciałem do pielęgniarki:

— Czy zrobili już coś z tym zatkanym odpływem?

— Chyba pani żartuje.

— Co jest z tymi konserwatorami? Im bardziej się człowiek skarży, tym dłużej to trwa.

— Nic nie robią, tylko grają w kotłowni w remika. Widziałam ich.

— Powiem panu Peacock, żeby ich pogonił.

– Powodzenia.

Zza zamkniętych powiek odniósł wrażenie, że lekarce podobała się sarkastyczna rezygnacja młodej pielęgniarki, że uśmiechnęły się do siebie po tej ostatniej uwadze. Zapanowała cisza. Nadal czuł delikatne ugniatanie, głaskanie i, od czasu do czasu, obracanie w palcach. Jednak coś w słowach, które wypowiedziały, nie dawało mu spokoju. Wydało mu się, że coś sobie przypomina, że już to przeżył, że skądś to pamięta... a jednak, jak mógł coś przeżyć i nie pamiętać? Lekarka zapytała półgłosem.

– Reakcja?

– Negatywna.

Dotknął swego członka; był nadal miękki. Podniósł go, a następnie puścił. Potem zabieg rozpoczął się na nowo. Desperacko próbował przebić się przez mgłę, okrutną szarą ścianę amnezji, odzyskać utracony gmach doświadczenia i wiedzy. Szpitale, lekarze, pielęgniarki, lekarstwa, zabiegi... od strony lekarki poczuł jakiś ruch.

– Proszę podać mi prawą rękę, panie Green.

Przerażony, nie uczynił żadnego ruchu, lecz ona wyjęła mu rękę spod głowy i uniosła do góry. Ręka natknęła się na nagą pierś. Ponownie wstrząśnięty i wystraszony otworzył oczy. Doktor Delfie pochylała się nad nim; fartuch miała rozpięty. Wpatrywała się w ścianę ponad jego głową, jakby było to zwykłe mierzenie pulsu. Jego ręka została poprowadzona ku drugiej piersi.

– Co pani robi?

Nie opuściła wzroku.

– Proszę nic nie mówić, panie Green. Chciałabym, żeby skoncentrował się pan na wrażeniach dotykowych.

Jego oczy powędrowały w dół rozpiętego fartucha, potem znowu w górę, a w trzecim odruchu zdumienia ku jej wciąż odwróconej twarzy. Nie wziął dosłownie jej uwagi, że pod fartuchem nie ma na sobie nic.

– Nie wiem, co robicie.

– Już to mówiłam. Musimy sprawdzić pańskie odruchy.

– To znaczy...

Spojrzała na niego z wyraźnym zniecierpliwieniem.

– Z pewnością w czasie egzaminów, które pan kiedyś zdawał, musiał pan uzyskiwać preparaty. To jest dokładnie to samo.

Cofnął rękę.

— Ale ja... pani...

Jej głos stał się nagle surowy i chłodny.

— Panie Green, siostra i ja mamy jeszcze innych pacjentów. Chyba chce pan być wyleczony?

— Tak, oczywiście, ale...

— Więc proszę zamknąć oczy. I na miłość boską, niechże pan spróbuje być choć trochę bardziej erotyczny. Nie możemy spędzić przy panu całego dnia. — Pochyliła się nad nim, podpierając się rękami po obu stronach poduszki. — A teraz obiema rękami. Gdziekolwiek pan chce.

Jednak on pozostał bez ruchu.

— Nie mogę. Jest pani dla mnie zupełnie obcym człowiekiem.

— Panie Green, wołałabym być dla pana zupełnie obcą kobietą. Czy też może sugeruje pan, że wołałby pan znaleźć się w rękach lekarza-mężczyzny i pielęgniarki?

— Wypraszam sobie.

Spojrzała na niego surowym wzrokiem.

— Czy uważa pan, że moje ciało jest odrażające? — Jej głos i oczy były teraz apodyktyczne, nie dopuszczające sprzeciwu. Opuścił wzrok z twarzy na pozostające w cieniu piersi, a potem odwrócił głowę w bok.

— Nie widzę, jaki związek miałyby to mieć z...

— Tak się składa, że owo "to" jest najnowszym i zaaprobowanym sposobem leczenia pańskiej przypadłości.

— Nigdy o tym nie słyszałem.

— Kilka minut temu nigdy nie słyszał pan o swojej żonie i dzieciach. Cierpi pan na bardzo poważny zanik pamięci.

— To bym pamiętał.

— A czy pamięta pan swoje poglądy polityczne? — Nie odpowiedział. — Przekonania religijne? Stan konta? Swoją zawód?

— Wie pani, że nie.

— A zatem, czy łaskawie uwierzy mi pan, że wiem, co robię? Nie po to długie lata człowiek uczy się mojej specjalności, by potem jego zawodowa ocena została podana w wątpliwość. Szczególnie z tak błahego powodu. Fizycznie jest pan w znakomitej formie. Dokładnie pana wczoraj zbadalam. Genitalia ma pan zupełnie normalne. Nie żądam niczego niemożliwego.

Głowę wciąż trzymał odwróconą; potem przełknął ślinę i odezwał się ściszym głosem:

— A czy nie mógłbym... sam?

— Nie badamy pańskiej zdolności produkowania spermy, panie Green.

W pogardliwym nacisku, jaki położyła na słowo "sperma", było coś, czego do końca nie rozumiał; zabrzmiało ono jak synonim brudnej piany lub szumowin.

— Ale to jest takie deprymujące.

— Na miłość boską! Jest pan w szpitalu. Proszę nie brać tego osobiście. Siostra i ja po prostu przeprowadzamy rutynowy zabieg. Prosimy tylko o odrobinę współpracy. Siostrze?

— Reakcja wciąż negatywna, pani doktor.

— W porządku, panie Green. Mam najzupełniej typowe ciało kobiety. Proszę zamknąć oczy i zrobić z niego użytek.

Jej głos i postura do złudzenia przypominały niańkę starej szkoły strofującą dziecko ociągające się z wykonaniem kolejnej czynności fizjologicznej.

— Ale dlaczego?

— Czy przestanie pan wreszcie zadawać te bezsensowne pytania?

Ucięła dyskusję, przenosząc wzrok na ścianę nad łóżkiem. Zamknął wreszcie oczy i żwawo podniósł ręce w kierunku wiszących piersi. Za ledwie jednak je trzymał; nie pieścił ich. Były twarde i ciepłe; przyjemnie mieściły się w dłoniach. Wyczuł bardzo słaby ciężki aromat, coś, co przypominało kwiat mirtu, a pochodziło niewątpliwie z antyseptycznego mydła, którego używała. Był jednak o wiele mniej świadom kobiecego powabu lekarki niż rosnącego w nim poczucia złości. Wiedział już, że niedawno musiał doznać jakiegoś ciężkiego urazu, że jego umysł znajduje się w szczególnie delikatnym stanie, a one...? Nie tylko nieprzyzwoicie wykorzystywały jego słabość, fakt, że wciąż jeszcze znajdował się pod działaniem leków, ale, co gorsza, nie okazywały ani odrobiny szacunku jego zasadom moralnym.

Siostra Cory nie przestawała go drażnić; ku swemu wielkiemu przerażeniu poczuł pierwsze oznaki zbliżającej się erekcji. Prawdopodobnie pielęgniarka dała lekarce jakiś niemy znak, bo jej głos stał się nieco mniej kwaśny; brzmiał mniej więcej jak głos ministra do spraw turystyki zwracającego się do delegacji zagranicznych biur podróży, recytującego tekst ułożony przez jakiegoś urzędnika, który nigdy nie zetknął się z przedstawicielem biura podróży twarzą w twarz.

— A teraz proszę skupić uwagę na innych częściach mojego ciała.

Tego było już zbyt wiele. Opuścił ręce na poduszkę, choć nadal oczy miał zamknięte.

— To jest nieprzyzwoite.

Doktor Delfie zamilkła na chwilę, po czym, okazując mniej przyjemną stronę swego towarzyskiego i intelektualnego pochodzenia, stała się chłodno i wyniośle ostra.

— Jeśli chce pan wiedzieć, panie Green, pańska utrata pamięci może być po części spowodowana nie uświadomioną żądzą, by pieścić ciała anonimowych kobiet.

Z oburzeniem otworzył oczy.

— To jest zupełnie bzdurna insynuacja.

— Wręcz przeciwnie. Nosi wszelkie cechy prawdopodobieństwa. Monogamia jest biologicznym nonsensem, chwilowym wypadkiem historii. Pańską rzeczywistą funkcją w procesie ewolucji, jako samca, jest wprowadzenie swoich plemników, czyli genów, do tyłu macic, do ilu to tylko będzie możliwe. — Czekala, lecz nic nie powiedział. Ściszyła głos. — Powtarzam. Proszę dotknąć innych części mojego ciała.

Spojrzał z nadzieją w jej oczy: szukał najmniejszego śladu humoru, ironii czy choćby człowieczeństwa. Nie znalazł niczego. Była nieprzejednanie obojętna wobec jego skrupułów, wstydu, jego poczucia estetyki. Zamknął w końcu oczy i na nowo dotknął jej piersi. Potem ostrożnie przesunął ręce do góry w stronę delikatnego gardła, do miejsca, gdzie szyja łączy się z ramionami, a potem znowu w dół, do piersi, boków, krągłego wcięcia w talii. Na zewnętrznych częściach dłoni czuł dotyk materiału jej rozpiętego kitla. Lekarka obróciła się i podniosła kolano do krawędzi łóżka.

— Wszędzie, gdzie pan tylko zechce. — Prawa ręka wsunęła się do środka; zatrzymała się. — Śmiało, panie Green. Dotykał pan już przecież kobiecego łona. Nie ugryzie pana.

Cofnął rękę.

— To zupełnie inna sprawa. A moja żona?

— Pani Green jest w pełni świadoma natury tej terapii. Wyjaśniłam jej to, zanim się pan obudził. Mam w gabinecie jej pisemną zgodę.

Znienacka wpadł mu do głowy pewien zapomniany fakt, niespodziewany sojusznik. Na nowo otworzył oczy i oskarżycielsko wpatrzył się w lekarkę.

— Sądziłem, że jest coś takiego jak przysięga Hipokratesa.

– Lekarz użyje wszelakich sposobów, jakie są w jego mocy, by pomóc pacjentowi. Jeżeli dobrze pamiętam.

– Właściwych sposobów.

– Właściwe sposoby to najskuteczniejsze sposoby. Czyli terapia, którą pan otrzymuje.

Niewidzialne dłonie pielęgniarki nie dawały mu spokoju. Przez chwilę jeszcze wpatrywał się w oczy lekarki, lecz nie mógł długo znieść ich zupełnie już teraz nieukrywanego rozdrażnienia i nagany. Znów zamknął oczy. Po chwili doktor Delfie pochylała się nad nim niżej. Sutek dotknął jego ust, i jeszcze raz, a woń kwiatu mirtu stała się mocniejsza, przywołując w jakimś najodleglejszym zakamarku jego umysłu obraz rozświetlonych słońcem górskich zboczy dominujących nad lazurowym morzem. Otworzył oczy; były teraz w cieniu, osłonięte połami fartucha jak namiotem. Jeszcze raz został zachęcony, by possać natrętną pierś. Odwrócił głowę.

– Burdel.

– Wyśmienicie. Wszystko, co drażni pańskie libido.

– Nie jest pani lekarzem.

– Kajdany. Pejcz. Czarna skóra. Cokolwiek, na co miałby pan ochotę.

– To jest przerażające.

– Czy chciałby pan, żeby siostra się rozebrała?

– Nie!

Lekarka nieznacznie się cofnęła.

– Mam nadzieję, że nie jest pan rasistą, panie Green.

Głowę wciąż trzymał odwróconą.

– Żądam widzenia z lekarzem dyżurnym.

– Ja jestem lekarzem dyżurnym.

– Nie będzie nim pani, kiedy stąd wyjdę. Postaram się, żeby straciła pani prawo wykonywania zawodu.

– Mam nadzieję, iż zauważył pan, że coraz łatwiej przychodzi panu dobór słów. A zatem coś może jest...

– Idź do diabła. Odwal się.

Zapanowało milczenie. Głos lekarki stał się jeszcze zimniejszy.

– Może pan nie być tego świadom, panie Green, ale wszystkie odniesienia do wizerunków defekacji czy oddawania moczu są symptomami kulturowo uwarunkowanego stłumienia seksualnego i poczucia winy.

— Odpiardol się.

Znowu zapanowała cisza. A potem odezwała się pielęgniarka:

— Pani doktor, uciekł nam.

Usłyszał niecierpliwe westchnienie doktor Delfie. Po chwili wahania zdjęła kolano z łóżka i stanęła z boku.

— Siostró, obawiam się, że nie pozostaje nic innego, jak zastosować WN.

Usłyszał szelest materiału. Rzucił zaniepokojone spojrzenie i zobaczył, że lekarka, która zdjęła fartuch i stała teraz zupełnie naga, wręcza go pielęgniarce. Spojrzała na niego z równie nagim poirytowaniem.

— Poświęcamy panu tyle uwagi tylko dlatego, że jest pan prywatnym pacjentem. Mogę panu zaręczyć, że nie tolerowałabym takiego zachowania, gdyby był pan pacjentem państwowej służby zdrowia. Ani przez chwilę. — Złożyła ręce. — Pomijając wszystko inne, bardzo długo czeka się na łóżko na tym oddziale. Pracujemy w dużym stresie.

Zebrał w sobie dość siły, by stawić czoło jej spojrzeniu.

— Co to jest WN?

— Wspomaganie naczyniowe. — Obejrzała się niecierpliwie w stronę drzwi. — Siostró, proszę się pospieszyć. Wie pani, ilu mam jeszcze dzisiaj pacjentów.

W trakcie rozmowy siostra Cory podeszła do drzwi i powiesiła biały kitel na wieszaku. Nie wróciła jednak do łóżka, lecz rozpięła i zdjęła swój fartuszek, i również powiesiła go na wieszaku. W tej chwili zaabsorbowana była rozpinaniem niebieskiego kitla. Słowa lekarki ponagliły ją; zsunęła kitel z brązowych ramion i powiesiła go na fartuszkę. Zwieńczyła wieszak swym czepkiem i wysunęła stopy z butów. Miętko i lekko podeszła do łóżka i stanęła obok lekarki — równie naga jak ona. Zdjęty paniką, ale i zafascynowany, wpatrywał się w ciała obu kobiet — jedno jasne, jedno ciemne. Były tego samego wzrostu, chociaż dwudziestoletnia pielęgniarka nie była tak szczupła; nie była też tak kliniczna — wydawało mu się, że widzi w jej wzroku pewną uciechę, cień sardonicznego uśmiechu błakający się na wargach. Lekarka odezwała się:

— Zanim zaczniemy, sądzę, że właściwe będzie, jeżeli powiem panu, że pański upór wcale nie musi być aż tak moralnie zasadny, jak się panu wydaje. Znamy przypadki pacjentów, którzy utrudniają terapię w nadziei, że zostaniemy zmuszeni do zastosowania perwersyjnych praktyk... że tak powiem. Rzeczywiście, stosujemy je czasami w autentycznych przypadkach uporczywych zahamowań seksualnych. Leczą

nigdy w tak wczesnym stadium. Więc jeżeli ma pan ukrytą nadzieję na stymulację wzrokową lub analną, z góry mówię panu: nic z tego. Czy to jest jasne?

— Nie mam zielonego pojęcia, co to jest.

— To samo dotyczy brazylijskiego widelca.

— Albo to!

Po raz kolejny zapadła chwila ciszy. Lekarka przyjęła pozę nauczycielki, która wie, że uczeń próbuje wyprowadzić ją z równowagi. Oparła ręce na biodrach.

— I jeszcze jedna rzecz, panie Green. Najbardziej nie lubimy symulowania amnezji. — Przerwała, by upewnić się, że ostrzeżenie wywarło pożądaną skuteczną. — A teraz proszę położyć się na boku. Twarzą do mnie.

Ręka pielęgniarki wśliznęła się pod jego lewe ramię, by go odwrócić.

— Proszę, panie Green. Pani Grundy* prosi. Niech pan będzie grzecznym chłopcem.

Rzucił uśmiechniętej karaibskiej twarzy podejrzliwe i niechętne spojrzenie, lecz w końcu obrócił się na bok. Obie natychmiast znalazły się przy nim na łóżku, każda po jednej stronie. Zgrabność ruchów i zgranie w czasie, z jakim to zrobiły, zdawały się sugerować duże doświadczenie. Siostra Cory leżała wzdłuż jego pleców, a lekarka niepokojąco przycisnęła się do niego plecami z przodu. Czuł, jak obie poruszają się lekko, na przemian, raz w przód, raz w tył, jak gdyby próbowały jeszcze mocniej zamknąć go w grzechu swoich ciał. Wdzięczny skurcz lędźwi czarnej dziewczyny przy jego pośladkach potwierdził to, o co ją podejrzewał. Wpatrywał się w ciemne włosy lekarki, we wstążkę na wysokości swego nosa. Panowała cisza. Wreszcie odezwała się lekarka. Mówiła ciszej. Widać było, że chce zabrzmieć mniej apodyktycznie, lecz nie bardzo jej się to udało.

— Tak. A teraz łaskawie proszę położyć lewą rękę na moich piersiach.

Podniosła rękę. Zawahał się, ale w końcu zrobił, tak jak mu kazano; jakby na polecenie instruktora jazdy miał położyć rękę na jakiejś dźwigni czy przełączniku. Lekarka opuściła ramię. Położyła dłoń na jego dłoni, by zatrzymać jego rękę tam, gdzie leżała.

— Proszę posłuchać uważnie, panie Green. Jeszcze raz spróbuję to panu wytłumaczyć. Pamięć jest ściśle powiązana z ego. Pańskie ego przegrało w walce z super-ego, które zdecydowało się je stłumić, stać się jego cenzorem. Wszystko, czego

* Pani Grundy – jedna z osób dramatu T. Mortona z 1798 roku pt. *Speed the plough*. Uosobienie pruderii (przyp. tłum.).

siostra i ja próbujemy dokonać, to zaprzęć do pomocy trzeci składnik pańskiej psyche, id. Pańskie id to pański miękki członek dotykający moich pośladków. Potencjalnie jest to pański najlepszy przyjaciel. I mój, jako pańskiego lekarza. Rozumie pan, co mówię?

Poczuł, jak siostra Cory całuje, a potem liże mu kark.

— To jest niecny zamach na moją prywatność.

— Obawiam się, że przemawia przez pana pańskie superego. Nasza terapia przypomina nieco sztuczne oddychanie metodą usta-usta; tak jak amnezja przypomina utonięcie. Rozumie pan?

Przyglądał się jej włosom.

— Z największą niechęcią.

Wzięła oddech, choć jej głos świadomie pozostał neutralny i rzeczowy.

— Panie Green, czuję się w obowiązku powiedzieć panu, że takiej postawy spodziewam się po pacjentach ubogich duchowo. Lecz nie po kimś z pańskim pochodzeniem i wykształceniem.

— Sprzeciw moralny.

— Nie przyjmuję tego do wiadomości. Potrzebuję współpracy pana świadomości, a nie moralności.

— Być może nie wiem w tej chwili, kim jestem. Ale jestem najzupełniej pewien, że nie mogłem być kimś, kto by kiedykolwiek...

— Proszę mi wybaczyć, ale pańskie przekonanie jest logicznie błędne. Z matematycznego punktu widzenia istnieje bowiem połowiczne prawdopodobieństwo, że prowadził pan rozwiązy tryb życia. A statystycznie rzecz biorąc, mogę pana zapewnić, że nawet większe. Właśnie w pańskiej grupie społecznej i zawodowej. W szczególności pańska grupa zawodowa od dawna uczciwie zapracowała sobie na opinię zupełnie nie przy-stosowanej do stawiania czoła realiom życia.

— Ta cholerna baba musiała pani coś naopowiadać.

— O wiele mniej niż mógłby na to wskazywać pański wrogi stosunek do niej.

— Nie mogłem sobie przypomnieć, kim ona jest, ot co.

— Ale wyglądało na to, że woli pan patrzeć na mnie. Mimo że również nie wiedział pan, kim jestem.

— Wydała mi się pani bardziej wyrozumiała. Wtedy.

— I bardziej atrakcyjna?

Zawahał się.

— Możliwe. Fizycznie — dodał.

— Czyli mówiąc prościej, wpadłam panu w oko.

— Jestem chorym człowiekiem. Seks jest ostatnią rzeczą, która by mi przyszła do głowy. I na miłość boską, proszę powiedzieć pielęgniarce, żeby przestała skubać mi szyję.

— Czy wolałby pan, żeby przeniosła swe usta w inne miejsce?

Milczał przez chwilę.

— Ohyda.

— Dlaczego, panie Green?

— Bardzo dobrze wie pani, dlaczego.

— Nie, nie wiem.

— Dobra kobieto, mogłem zapomnieć poszczególne fakty. Ale nie zapomniałem zwykłej ludzkiej przyzwoitości. Gdyby nie to, najprawdopodobniej już dawno bym panią udusił.

Przycisnęła jego bierną rękę nieco mocniej do swej piersi.

— W tym cała zagadka, panie Green. Dlaczego pańska, rzekomo gwałtowna, niechęć do naszych metod objawia się tylko w słowach.

— Nie wiem, o co pani chodzi.

— Nawet nie próbował pan nas od siebie odepchnąć, zejść z łóżka, wyjść z pokoju. Jest pan do tego zdolny. Wydawałoby się, że powinno to być naturalnym następstwem pańskiego stanu ducha.

— To nie moja wina, że jestem na wpół zamroczony lekarami.

— Nic podobnego. Wcale pan nie jest, panie Green. Mógł się pan tak czuć zaraz po przebudzeniu. Ale obudził się pan dlatego, że dałam panu środek pobudzający. Już dawno zadziałał, więc nie może się pan zasłaniać lekarami. — Poczul się jak szachista zwabiony w pułapkę bez wyjścia. Lekarka ponownie przycisnęła jego rękę. — Nie robię panu wyrzutów, panie Green. Po prostu proszę.

— Bo... ja niczego nie mogę sobie przypomnieć. Ten, kto przysłał mnie tutaj, wiedział chyba, co robi.

— Czy mam przez to rozumieć, że przyznaje pan, iż nasze metody mają jednak jakiś sens?

— To wasze zachowanie mi się nie podoba.

Przez chwilę nie odpowiadała, potem milcząco zdjęła jego rękę ze swej piersi, nieznacznie się odsunęła i odwróciła na drugi bok, tak że znalazła się z nim twarzą w twarz. Była teraz tak blisko, że miał kłopot, by spojrzeć jej prosto w oczy, lecz coś w

nich i całej twarzy zdawało się świadczyć o tym, iż zdała sobie sprawę, że nie da się go dłużej zastraszać. Tym razem to ona spuściła wzrok. Odezwała się prawie szeptem, tak jakby nie chciała, by usłyszała ją leżąca tuż za nim siostra Cory.

— Panie Green, nasza praca nie należy do łatwych. Nie jesteśmy tak do końca pozbawieni zwykłych ludzkich uczuć. Są pacjenci, do których... hm, do których czujemy większą sympatię niż do innych. Nie powinnam tego mówić, ale kiedy badałam pana po przywiezieniu do nas, nie żalowałam, a przyznaję, iż czasami zdarza mi się to w tym stadium, że nie spełniła się moja odwieczna ambicja, czyli specjalizacja w pediatrii. Prawdę mówiąc, z niecierpliwością czekałam, by się panem zająć, po części dlatego, że na podstawie pewnych symptomów zakładałam, że sam pan będzie chętny do współpracy. Jako pacjent, oczywiście. Bardzo pana przepraszam, jeżeli zbyt wiele sobie obiecywałam. Z drugiej strony mam nadzieję, że uwierzy mi pan, jeśli powiem, że na naszym oddziale mogą pracować jedynie ludzie, którzy przedkładają zdrowie pacjenta ponad swe prywatne odczucia. Któż z nas nie nauczył się poświęcać swego osobistego poczucia skromności czy prywatności na ołtarzu ludzkich potrzeb? — Podniosła swe śmiertelnie poważne oczy. — Wierzę, że choć tyle może pan zaakceptować?

— Jeśli muszę.

— Panie Green, za chwilę zamknę oczy. Chciałabym, żeby mnie pan pocałował, a potem obrócił się i pocałował siostrę. Jako symbol naszego wspólnego człowieczeństwa w sytuacji, która jest trudna dla każdego z nas trojga. Być może potem uda nam się zacząć wszystko od nowa, wzbudzić w panu erekcję i odrobinę erotyzmu. Wiem, że pana na to stać.

Zanim zdążył odpowiedzieć, wydeła nieco usta; nie była już lekarzem, nauczycielką czy nawet dorosłą kobietą. Przypominała teraz wstydliwą i posłuszną siostrzenicę czekającą na cmoknięcie wuja. Poczul z tyłu nacisk dyskretnie ponaglający go, by zrobił to, o co go proszono. Spojrzał na znajdującą się tuż przed nim twarz, ciemne rzęsy na tle jasnej skóry, klasyczny nos, delikatne, regularne usta. W innych warunkach można by rzec, iż jest to piękna twarz — wyśmienite połączenie inteligencji z ukrytą zmysłowością. Wahał się, wciąż miał opory, czuł się podstępnie schwytny. Musiał jednak coś zrobić. Pochylił się do przodu, zaciśniętymi ustami dotknął jej ust i natychmiast się cofnął.

— Dziękuję, panie Green. — Otworzyła oczy; znów była lekarzem. — Jestem pewna, że nie jest pan rasistą, lecz był pan co najmniej nieuprzejmy dla siostry Cory.

Na wypadek, gdyby i ten fakt został przez pana zapomniany, pozwolę sobie przypomnieć niezaprzeczalny wkład Karaibów w sprawne funkcjonowanie naszego systemu szpitalnego. Jestem pewna, że siostra byłaby zadowolona, gdyby się pan odwrócił i wymienił z nią ten sam symbol porozumienia.

Nieznacznie się odsunęła; poczuł, że ciało za plecami robi to samo. Swymi srogimi profesjonalnymi oczyma doktor Delfie wiązała jego wzrok, i przede wszystkim chyba po to, żeby uciec spod ich rygoru, zdecydował się wreszcie odwrócić. Rękę trzymał sztywno wyciągniętą wzdłuż boku, jakby stał na baczność. Ręka siostry Cory zawędrowała na jego ramię. Oczy miała również zamknięte, a swe nieco pełniejsze usta podała w ten sam oczekujący, uległy, dziecięcy sposób. Jej ciało jednak wydawało się cieplejsze, krągłejsze i bardziej gibkie niż ciało lekarki; i choć leżała zupełnie bez ruchu, wyczuł drżącą w niej żywotność.

Pochylił głowę, by wymienić drugi symbol porozumienia. Tym razem jednak nie napotkał tej samej pasywności. Ręka pielęgniarki wsunęła mu się za głowę. Ledwo zdążył musnąć usta pielęgniarki, gdy znów zwarli się w pocałunku. Rozchyliła nieco usta; wyczuł ten gam ciężki aromat co u lekarki. Widocznie stosowano go w mydle i płynie do płukania ust używanym przez całą obsługę szpitala. Minęła chwila; chciał się cofnąć, lecz ręka spoczywająca za jego głową postanowiła inaczej, a ciało dziewczyny wyprężyło się ku niemu. Poczul w ustach jej język. Następnie ciemna noga zgięła się i wsunęła na jego nogi, jeszcze bardziej ich do siebie zbliżając.

Nie był wcale mniej przerażony, zszokowany czy oburzony niż poprzednio; z jakiegoś powodu jednak brak mu było silnej woli, by odepchnąć natrętną młodą pielęgniarkę. Koniec końców była stosunkowo niewinna; a i doznawał pewnej przyjemności, że może zagrać na nosie lekarce, będąc bardziej skory do współpracy z jej podwładną. Nie mylił się co do jej żywotności; giętka i niecierpliwa położyła go na wznak na poduszce i na poły wspięła się na niego jak gdyby po to, by nie przeszkodził jej w zademonstrowaniu swej umiejętności przedłużenia i pogłębienia pocałunku. Za chwilę cała była już na nim. Lekarka widocznie zeszła z łóżka. Poczul, jak pielęgniarka sięga w dół, podnosi z impregnowanego prześcieradła jego bezwładną dłoń, unosi ją i kładzie na swym krągłym prawym policzku. Do zupełnie już teraz bezwstydnie sugestywnych synekdoch języka dodane zostało trzepotanie i delikatne drążenie płaszczyzny pod jego ręką. W daremnej próbie uspokojenia jej podniósł prawą rękę i położył ją na drugim policzku.

Widział jak w koszmarnym śnie, że stacza się ku przepaści; był jednak zupełnie bezsilny i nie mógł temu zapobiec. W otchłani zaślepionej psyche jego moralna istota nie ustawała w proteście przeciwko tej poniżającej kapitulacji wobec zezwierżenia, temu rażącemu oddaniu się we władanie nagich instynktów. Wtórowała jej istota estetyczna, smakosz, prawdziwy, nawet jeśli chwilowo zagubiony Miles Green, który – czuł to w kościach – nigdy nie dałby się zaskoczyć w tak wulgarnej i poniżającej sytuacji czy choćby przez chwilę słuchał pokrętnych usprawiedliwień lekarki. Z nagłym podnieceniem odkrył, że to intuicyjne przekonanie o tym, kim nigdy nie mógł być, może stać się użytecznym sposobem odkrycia tego, kim jest. Zaczął snuć domysły na temat stosownego zawodu; nie było to łatwe, gdyż siostra Cory tymczasem podniosła się na rękach i drażniła mu twarz i usta swymi bujnymi młodymi piersiami. Niemal natychmiast poczuł, że jest na właściwym tropie, że lekarka jeszcze raz świadomie wprowadziła go w błąd, sugerując rozpasanie i rozwiązłość.

Nie wiedzieć skąd, cudem, wpadło mu do głowy pierwsze wspomnienie dotyczące jego zapomnianej przeszłości, o którym był przekonany, że jest prawdziwe. Choć był to zaledwie mglisty przeblysk, bez szczegółów, wiedział, że ma to coś wspólnego z rzędami uważnie wpatrzonych twarzy. Wiedział też, że były wpatrzone w niego samego. Tego był zupełnie pewien. W podnieceniu spowodowanym tak ważnym odkryciem, niechcący wpił się paznokciami w pośladki pielęgniarki, która tak opacznie odebrała ten gest, że w odpowiedzi musiał ścierpieć paroksyzm jej piersi i lędźwi. Za żadną cenę nie chciał dać się odwieść od swego toku myśli. Wydało mu się najstosowniejsze, by upewnić pielęgniarkę w jej przypuszczeniach. Poprawił uścisk wyeksponowanych pośladków, doświadczył jeszcze jednego napadu spazmów i wreszcie na nowo mógł skoncentrować się na swym odkryciu.

Kontuzjowana pamięć nie podsuwała mu bardziej szczegółowych informacji, lecz był przekonany, że często występował publicznie. W roztargnieniu drażnił końcem języka podniecony sutek – tylko i wyłącznie po to, by uspokoić znajdujące się nad nim ciało; jednocześnie próbował przywołać na pamięć jakąś stosownie poważną i szanowaną profesję. Niewątpliwie było to coś odległego od frywolności sztuk pięknych, od zwykłej rozrywki – może prawo? Stan duchowny jakoś do niego nie przemawiał. Dyrektor renomowanej prywatnej szkoły – tak, to była jedna z możliwości. Albo marynarka wojenna. Kapitan Miles Green, Królewska Marynarka Wojenna – brzmiało to całkiem prawdopodobnie, lecz niestety nie rozstrzygało sprawy definitywnie. Przyszło mu na myśl, że aktor dramatyczny mógłby, mimo

wszystko, wchodzić w rachubę, ponieważ w tej mglistej, a jednak wyrazistej wizji publicznych wystąpień było coś urzekającego, coś na poły skrytego w ciemności. Z drugiej jednak strony aktorzy nie wyróżniali się szczególną odpowiedzialnością, a był coraz bardziej przekonany, że taki był właśnie prawdziwy Miles Green.

Czerpał to przekonanie stąd, że jego równie mglista jak i wyrazista istota gwałtownie powstała — zupełnie jak siostra Cory, która nagle wyprostowana klęczała z kolanami po obu stronach jego klatki piersiowej — przeciwko myśli, że będąc w pełni władz, mógłby kiedykolwiek dopuścić do takiej sytuacji. Kolejna myśl nasunęła mu się w momencie, gdy ciemna dziewczyna ujęła jego dłonie i przesuwała nimi jak gąbką w górę brzucha, dokonać ablucji znajdujących się powyżej ciemno uwieczonych stożków. Czyż nie jest bardziej niż prawdopodobne, że jest posłem do Parlamentu? Zdeklarowanym przeciwnikiem sił zła i rozpustnej moralności w społeczeństwie?

A co ta nieszczęsna lekarka powiedziała o jego nieprzystosowaniu do stawiania czoła realiom życia? Czyż nie było to jedno z tych oszczerstw, jedna z tych dziecinnie złośliwych uwag, które obywatele uwielbiają kierować pod adresem swych wybranych przedstawicieli? Poczul dreszcz intuicyjnej pewności, że jest już bardzo blisko... Kolejny dreszcz uświadomił mu, że lekarka powiedziała coś jeszcze. Właściwie, dlaczego natychmiast nie wyszedł z pokoju? Chwileczkę, załóżmy, że naprawdę był posłem i właśnie natknął się na jaskrawy przykład nadużycia praktyki lekarskiej, którego znaczenie wykraczało poza mury tego szpitala? To wyjaśniało sprawę. Gdy trzeba było wybierać pomiędzy osobistą odrazą a poświęceniem dla społeczeństwa, wybór mógł być tylko jeden, jak tego dobitnie doświadczył Gladstone* w swej pracy z prostytutkami.

Gladstone — pamiętał Gladstone'a! Poczul trzeci dreszcz zbliżającego się olśnienia, gdyż przypomniał sobie nie tylko jego, lecz i całą rzeszę o wiele bardziej współczesnych postaci, z mandatu swych wyborców bezinteresownie stawiających czoło jaskiniom rozpusty Hamburga czy Kopenhagi. Poczul ogromną ulgę. Aczkolwiek nieświadomie, pozostając w pokoju, dokonał właściwego wyboru, postąpił odpowiedzialnie i stosownie do celu, do którego został — był o tym coraz bardziej przekonany — wybrany. Gdyby tak się miało stać — mój Boże, nadejdzie dzień, kiedy pociągnie do odpowiedzialności lekarkę, szpital, terapię, to wszystko, i rozprawi się z nimi raz na zawsze. Jego ręka została poprowadzona w dół i zachęcona do działania

między rozchyłonymi udami klęczącej pielęgniarki. Nie będzie parlamentarną martwą duszą: poprosi o głos, wstanie — nic nie będzie mogło go powstrzymać — z taką pewnością siebie, dostojeństwem i siłą, na jakie tylko pozwoli mu jego postura. Czy pan minister świadom jest wzrastającej liczby przypadków poważnych nadużyć seksualnych wobec pacjentów ułomnych umysłowo, popełnianych przez nimfomański i wielorasowy personel jednego ze znanych szpitali? Czy zdaje sobie sprawę z tego, że ich nieszczęsne ofiary...

Niestety, nie dane mu było dokończyć konstrukcji swej przemowy, ponieważ uwagę siostry Cory przyciągnęło poruszenie za jej plecami. Puściła jego dłoń i sięgnęła za siebie.

— Wspaniale, panie Green. Udało się panu!

W następnej chwili poczuł ją na całym ciele. Krótko, lecz namiętnie pocałowała go w usta, a potem miał wrażenie, że wiję się i ślizga po nim niczym wąż. Czuł, jak liże mu sutki i zaprzestał prób wyobrażenia sobie, jak ta przerażająca scena może się skończyć.

— Wystarczy, siostrze. Siostrze!

Po drugim, ostrzejszym napomnieniu pielęgniarka zastygła bez ruchu przytulona policzkiem do jego brzucha. Otworzył oczy. Doktor Delfie stała przy łóżku, ręce miała złożone i przypatrywała się swojej gorliwej asystentce z ową naganą w oczach, którą do tej pory miała zarezerwowaną tylko dla niego. Siostra Cory zeszła i z niego, i z łóżka i stanęła ze spuszczoną głową.

— Przepraszam, pani doktor.

— Ile razy mam siostrze przypominać, że stosujemy tutaj metodę Hopkinsa-Sezscholsky'ego.

— Zapomniałam.

— To już trzeci raz w tym tygodniu.

— Ale zadziałało, pani doktor.

— To nie jest kwestia skuteczności. Ja mówię o regulaminie oddziału. To dla pani własnego dobra, siostrze. Wciąż powtarzam, że nadmierna stymulacja dokłada nam tylko pracy. Dlatego nalegamy na stosowanie metody Hopkinsa-Sezscholsky'ego. Wie siostra o tym. — Po czym, ze świętoszkowatą miną kogoś, kto lubi podkreślić swoją pozycję, dodała: — Nie chciałabym być zmuszona do rozmowy z siostrą przełożoną.

* William Gladstone (1809-1898) – czterokrotny premier Wielkiej Brytanii w latach 1868-1894 (przyp. tłum.).

Siostra Cory rzuciła ponad łóżkiem przerażone spojenie.

— Och, doktor Delfie, proszę, nie. Proszę! I bez tego mam tej starej krowy po dziurki w nosie.

— Siostro, wypraszam sobie, by siostra mówiła w ten sposób o swoich przełożonych i to w obecności pacjentów.

Pielęgniarka jeszcze raz spuściła głowę.

— Wszyscy tak o niej mówią.

— Nie o to chodzi.

— Naprawdę. Już nigdy tego nie zrobię, pani doktor. Przysięgam.

Doktor Delfie nieco złagodniała.

— Bardzo dobrze. Ale wolałabym już więcej siostry nie upominać. — Spojrzała wreszcie na pacjenta; na twarzy, jako znak przeprosin, miała niepewny uśmiech.

— Proszę mi wybaczyć, panie Green. Siostra nadal jeszcze się uczy. — Opuściła wzrok na środkową część jego ciała. — A teraz sprawdzimy, jak się miewa pański wrażliwy organ.

Poczuł, jak waży i bada wielkość i sztywność wrażliwego organu. Zamknął oczy.

— Proszę spróbować sprężyć się jeszcze odrobinę. Jeszcze centymetr. — Organ został poklepany od spodu. — Wyśmienicie. Jeszcze. Jeszcze. Jeszcze raz. Bardzo dobrze. — W jej głosie zabrzmiała nowa nuta. Była to nieomal pochwała z pewną domieszką zdziwienia. Znowu stanęła nad nim. — Ponieważ jest to pierwszy zabieg, dzisiaj dokończę go osobiście. Zwykle robią to pielęgniarki. Oczywiście, od czasu do czasu będę przychodziła, by skontrolować postępy. Zgoda?

Otworzył oczy, lecz brak mu było słów i jedyną odpowiedzią było cierpiętnicze spojrzenie, które jednak zignorowała. Bez ostrzeżenia jej lewe kolano znalazło się na łóżku, a potem zwinnym i zgrabnym ruchem znalazła się nad nim na czworakach.

— Siostra dokona wprowadzenia.

Nadal mógł się jedynie przypatrywać, niedowierzając, że to wszystko dzieje się naprawdę — nawet kiedy już zdarzyło się naprawdę. Czuł, jak lekarka, opierając się na ramionach, opuszcza lędźwie, wygina się w łuk, dopasowuje. Wprowadzenie. Był pojmany, wessany, pogrzebany.

— Mam nadzieję, że nie jest zbyt niewygodnie?

Wciąż się wpatrywał. Wydawało się, że stała się inną osobą. Nie było w niej już poirytowania czy niecierpliwości, a jedynie cicha koncentracja. Odezwała się, znowu nie zwracając uwagi na jego spojrzenie, ani na to, co miało ono wyrażać.

— Ręce na piersi, proszę.

Zamknął oczy. Coś kazało mu unieść ręce i poszukać piersi.

— O to chodzi. Proszę spróbować opóźnić orgazm. We własnym interesie. Ja nie będę szczytowała. — Wciąż opierając się na ramionach, zaczęła wolno kołysać się w górę i w dół. Przywarła do niego wzgórkami łonowymi i zastygła w bezruchu. — Chciałabym przeciągnąć to jak najdłużej, więc proszę dać mi znać, jeżeli uzna pań, że ten ruch jest zbyt intensywny. — Zaciśnął usta zdecydowany, by się nie odezwać. Lędźwie wolno unosiły się i opadały. Minęło może pół minuty. — Bardzo dobrze. Umiejętnie wstrzymane.

Nie mógł dłużej tego znieść i otworzył oczy.

— Nie wiem jak może pani nawet myśleć o czymś takim.

Rzuciła mu przelotny uśmiech pobłażania.

— Widać, że nie ma pan odpowiedniego przygotowania naukowego, panie Green.

— Jak ulicznica.

— Podejrzewam, że większość współczesnych socjologów zgodzi się, że prostytutki spełniają bardzo użyteczną funkcję. — Wzgórek łonowy natarł po raz kolejny, zatrzymał się i cofnął. — Przede wszystkim, bez nich zjawisko gwałtu byłoby znacznie częstsze. Jest też wiele dowodów na to, że i na inne sposoby przyczyniają się do rozładowywania stresów poszczególnych jednostek, a zatem i całego społeczeństwa. — Ruch lędźwi ustał. — Odpoczniemy przez chwilę.

Pozwolił rękom opaść.

— To nic innego jak zwykły gwałt. Tyle że w drugą stronę.

— Ależ, panie Green. Nie chce pan chyba powiedzieć, że tylko i wyłącznie z tego powodu, iż jestem w chwilowym posiadaniu tych kilkunastu centymetrów pańskiej anatomii, które z medycznego i biologicznego punktu widzenia są relikami przeszłości... Wydawało mi się, że ta dziecinna stara męska fobia ogranicza się tylko do najbardziej prymitywnych społeczeństw. — Zamknął oczy. — Nawet w połowie nie jestem tak silna jak pan. Jestem zwykłą, nagą kobietą, panie Green.

— Zauważyłem.

— Jeszcze lepiej zdałby pan sobie z tego sprawę, gdyby otworzył pan oczy i zrobił lepszy użytek ze swoich rąk. Chciałabym, żeby zobaczył pan i poczuł, jaka jestem bezbronna. Jaka mała i słaba w porównaniu z panem. Jak łatwo mnie skrzywdzić. — Nawet nie drgnął. — Panie Green, nie chciałabym, żeby wyglądało to na

przechwałki, ale pracuję na tym oddziale wystarczająco długo, by wiedzieć, że pańska niechęć, by poddać się najzupełniej naturalnym instynktom, jest bardzo osobliwa. Jedną z przyczyn, jak widzę, jest to, że zbyt wielkie znaczenie przypisuje pan werbalizacji uczucia, zamiast jego bezpośredniemu aktowi, co z kolei oznacza, że...

— Na miłość boską, czy musi pani tyle gadać?

Jej głos przybrał odcień nieznośnie oficjalnego — gdyby tylko przymiotniki nie były tak zwodnicze w opisie zjawisk fizycznych — pouczenia.

— Mówię, by to panu wytłumaczyć. Ponadto chcę sprawdzić, czy pańska erekcja potwierdza pańskie wrogie nastawienie wyrażane słownie. Z zadowoleniem stwierdzam, że nie.

— Potwierdziłaby, gdybym tylko miał z tym cokolwiek wspólnego.

Uśmiechnęła się.

— Niezły z pana numer, panie Green. Najpierw lęk przed kastracją. A teraz lęk przed przyjemnością. Należałoby pana wypchać i wystawić w muzeum.

— Jednej przyjemności oczekuję z wielką niecierpliwością. Niezapłacenia waszego rachunku.

— Panie Green, to jest naprawdę niepotrzebne. No, chyba że pańskie groźby jeszcze bardziej podniecają pana seksualnie. W takim wypadku jak najbardziej, proszę kontynuować. Doskonale rozumiemy, że dla niektórych mężczyzn pojęcie kopulacji jest nierozzerwalnie związane z pojęciem ponizenia, ze względu na nie rozwiązany...

— Powiem pani jeszcze coś. Siostra wie o niebo więcej na temat postępowania z pacjentem niż pani. Ona przynajmniej zrobiła swoją robotę z odrobiną ciepła. To pani potrzebuje paru lekcji.

Miał nadzieję, że wyprowadzi lekarzkę z równowagi, lecz gdy się znów odezwała, jej głos był nadal nieznośnie i oficjalnie obojętny i pełen poczucia wyższości.

— Już panu tłumaczyłam, panie Green, dlaczego nie mogę okazywać żadnych uczuć. Niestety, musi pan do tego przywyknąć. Nawiasem mówiąc, siostra Cory też. Dlatego ją upomniałam. Naszym jedynym zadaniem jest dostarczyć panu źródła podnieć erotycznych. W tym zakresie, w dziedzinie techniki spółkowania, wystarczy, by pan tylko poprosił, a zrobimy wszystko, by zaspokoić pańskie życzenia, oczywiście w granicach rozsądku i w miarę dostępności personelu. Jeżeli wołałby pan coś innego, możemy zaoferować większość pozycji z *Kamasutry*, *Aretina*, *Hokuwata Monosaki*,

Kinseya, Sjöstroma z wyjątkiem wymienionego już brazylijskiego widelca — Mastersa i...

— Wiesz co? Jesteś tak seksowna jak jakaś cholerna góra lodowa.

— Cieszę się, że tak pan to ujął. Jestem wielką zwolenniczką pełnego współuczestnictwa pacjenta w terapii. Widzę, że wskazana byłaby ustna terapia wyrównawcza.

Zanim zdążył odpowiedzieć, ugięła ręce i dosiadła go. W ostatniej chwili próbował ją jeszcze odepchnąć, lecz było już za późno. Pół minuty później wyprostowała się na łokciach tuż nad jego twarzą. Jej wzrok wyrażał teraz niejasne oszołomienie i oczywiste zakłopotanie. Bezskutecznie próbował spojrzeć w ciemnobrązowe oczy ponad sobą.

— A zatem, panie Green. Mam nadzieję, że przekonał się pan, iż nasza metoda kliniczna nie wyklucza pewnych wzajemnych ustępstw z zależności od indywidualnych upodobań. — Spojrzała na jego usta i złożyła na nich lekki pocałunek. — Wydaje mi się, że będzie pan jednym z moich najlepszych pacjentów. — Znów uniosła się na rękach. — A teraz zobaczmy, czy uda nam się na dokładkę osiągnąć orgazm. Siostrze, czy siostra jest gotowa?

— Tak, pani doktor.

Spojrzał w bok i zobaczył ubraną już siostrę Cory. Wstała od stolika w rogu pokoju, gdzie siedziała, i podeszła ku nim. Czuł, jak Doktor Delfie kurczy mięśnie pochwy.

— Wyśmienicie, panie Green. Bardzo dobrze. Zwiększę teraz nieznacznie tempo. Proszę położyć mi ręce na biodrach. Dobrze. Proszę chwycić mnie tak mocno, jak pan chce. Chcę ustalić rytm. — Ruchy stały się szybsze. — Nic na siłę. Rytmiczne ruchy. Proszę się nie spieszyć. — Jej pochylona głowa zniżyła się jeszcze bardziej, gdy spojrzała na miejsce, gdzie ich ciała się łączyły. — Wspaniale. Spokojnie... parcie. Do końca, panie Green. Spokojnie. Parcie. Jeszcze raz. Właściwe, stałe tempo, oto cała tajemnica. Doskonale. I jeszcze raz. Odrobinę szybciej. Najgłębiej jak pan tylko może. Cudownie. Całym ciałem. Proszę trzymać rytm. Tak będzie lepiej dla pana, tak będzie lepiej dla pańskiego dziecka.

— Mojego dziecka!

Lecz lekarka wydawała się zbyt zaabsorbowana terapią, by odpowiedzieć. Z desperacją spojrzał na stojącą u wezglowia siostrę Cory.

— O co jej chodzi, jakie dziecko?

Pielęgniarka uniosła palec i przyłożyła go do ust.

— Niech się pan skoncentruje, panie Green. To już nie potrwa długo.

— Ale na miłość boską, przecież ja jestem mężczyzną!

— Więc niech pan to wykorzysta — powiedziała pielęgniarka, puszczając oko.

— Ale...

— Proszę przestać werbalizować, panie Green — wtrąciła się doktor Delfie.

Zaczynała oddychać coraz głębiej i po każdym zdaniu robiła przerwę. — Jeszcze trochę. Czuję to. Dobrze. Dobrze. Znakomicie. Biodrami. Tak mocno jak pan tylko potrafi. — Głowę nadal miała opuszczoną, całkowicie pochłonięta coraz szybszymi i gwałtowniejszymi ruchami ich lędźwi. — O tak... tak... wspaniale. Znakomicie. Jeszcze. Jeszcze. Aż do ostatniej sylaby. Siostro!

Zauważył, że siostra Cory stanęła za łóżkiem; zniknęła mu z oczu, gdyż rozgorączkowana lekarka, wciąż oparta na rękach, zasłoniła widok.

— Jeszcze jedno parcie. Jeszcze jedno. Jeszcze jedno. Ostatnie.

Ciężko westchnęła, jakby to właśnie ona urodziła; potem nastąpił bezruch. Cisza. Zobaczył, że siostra Cory wraca do kąta pokoju. Lekarka głowę nadal miała opuszczoną, końce wstążki zwieszały się po bokach. Oddychała szybko, jak ktoś, kto zanurkował zbyt głęboko. Potem opadła na niego. Skórę miała zroszoną potem; czuł bicie jej serca. Nie miało to jednak nic wspólnego z uniesieniem — był to tylko i wyłącznie skutek wysiłku fizycznego, gdyż odwróciła głowę.

Przez jakieś pół minuty wpatrywał się w sufit w stanie szoku. Nie do końca, niestety, udało mu się pozostać tak obiektywnym, jakby sobie tego życzył, lecz nie zapomniał się aż tak dalece, by nie pamiętać pewnych dziwnych słów czy wyrażenia... poczuł przerażenie na myśl, że pomimo jej zaprzeczeń, naprawdę znajdował się w zakładzie dla obłąkanych, w szpitalu dla wariatów, i że jakimś dziwnym trafem, na skutek niedbalstwa personelu, znalazł się w rękach dwójki innych pacjentów. Lecz cóż, do diabła, mógłby robić w takim miejscu? I jak mogłoby ono być aż tak źle pilnowane?

Rzucił ukradkowe spojrzenie na pielęgniarkę. Siedziała na wpół odwrócona do niego plecami, pochylając się nad czymś leżącym na stole, jakimiś papierami, niewątpliwie jego kartoteką. Nie wyglądała na wariatkę; wręcz przeciwnie, tak pilnie studiowała jakieś zdanie, że wyglądała wręcz na intelektualistkę. Ciało, pod którego ciężarem leżał, też jawiło mu się jak najzupełniej normalne. Nie słychać było żadnych histerycznych szlochów czy rechotów. Z jakiegoś dziwnego powodu widok cichej

lekarki, jej widoczne wyczerpanie, poruszyło go. I tak jak ktoś mógłby chcieć pocieszyć długodystansową biegaczkę, która dała z siebie wszystko, a mimo to nie udało jej się wygrać (czuł, że przypomnienie sobie czegokolwiek, co nie należało do jego profesji — a nawet i ona sama — musiało opierać się raczej na prawdopodobieństwie niż pewności, a zatem w dręczący sposób pozostawało poza jego zasięgiem), otoczył ją nieco poniewczasie ramionami i delikatnie trzymał w objęciach.

Leżąc we względnym spokoju i tykającej ciszy, zastanawiał się. Być może w tym, co mówiła lekarka, poza freudowskim żargonem, była jakaś prawda, jakiś kliniczny sens. Przemyślał to głębiej i doszedł do wniosku, że nie ma co spieszyć się z demaskatorską przemową w Parlamencie. Dalsze badania były niewątpliwie wskazane. Jak by nie było, podstawowym obowiązkiem każdego przyzwoitego współczesnego polityka jest nie tyle ukazać zło, ile pod żadnym pozorem nie dać się na nim przyłapać.

Jeszcze raz podniósł wzrok na wdzięcznie umundurowane ciało siostry Cory, która nadal z przejęciem przeglądała jego papiery. Jej delikatne, brązowe dłonie, szczupłe, ciemne łydki i kostki poniżej rąbka wykrochmalonego niebiesko-czarnego fartucha... jeżeli faktycznie jest trudnym przypadkiem — a miał coraz mocniejsze przeczucie, że tak jest w istocie — musi się liczyć z możliwością długiego leczenia i znosić jego trudy jak prawdziwy mężczyzna. Poczul dziwną chęć, by wyszeptać to w kierunku kępki włosów przy swoim policzku, lecz z jakiegoś powodu wydało mu się to przedwczesne. Trzeba pomyśleć, w jakiej to postawi go sytuacji na przyszłość. Poklepał jednak spocone plecy lekarki w delikatny, braterski sposób; były to milczące i bynajmniej nie pozbawione pewnej dozy sympatii przeprosiny — dowód uznania, że zrobiła co w jej mocy, mimo że przegrała.

Lekarka nie zareagowała. Podejrzewał, że zdrzemnęła się na chwilę. Nie przeszkadzało mu to, wręcz przeciwnie, poczul się jeszcze bardziej — jakkolwiek nadal nieco wbrew swej woli — wzruszony. W końcu była to oznaka jej ludzkiej natury. Ciężar jej szczupłego i kształtnego ciała — prawie tak kształtnego jak ciało siostry Cory — nie był niemły. W tych okolicznościach nie można było powiedzieć, że spadł na cztery łapy, lecz zaczęło do niego docierać, że mógł trafić o wiele gorzej. Teraz, kiedy o tym pomyślał, czuł się raczej przyjemnie wyczerpany i zdecydowanie mniej przejęty utratą pamięci.

Zamknął oczy, lecz znów je otworzył, gdy usłyszał pewien dźwięk. To siostra Cory, szeleszcząc jego papierami, składała je. Odwróciła się, wesola i beztroska,

zupełnie odmieniona. Podeszła w stronę łóżka i opuściła na niego wzrok; ręką przyciskała do piersi papiery, które przed chwilą ułożyła.

— A któż to jest takim mądrym chłopcem, panie Green? I któż ma takie szczęście?

— Jakie szczęście?

Podeszła o krok czy dwa bliżej i spojrzała na mały plik kartek, który przytrzymała prawą ręką. Potem uśmiechnęła się skromnie i figlarnie.

— Śliczna historyjka. I sam pan to wszystko napisał.

Wpatrywał się ze zdziwieniem w jej beznadziejnie sentymentalny uśmiech. Wątpliwości, których zdołał się już pozbyć, wróciły na nowo. Był w szpitalu psychiatrycznym, dziewczyna była wariatką, obie były obłąkane. Muszą wiedzieć, że jest ważną figurą, niemal na pewno członkiem Parlamentu. A ta wydaje się sugerować, że jest jakimś gryzipiórkim, jakimś tam pisarzyną czy czymś takim. To było zbyt absurdalne; wkrótce stało się jeszcze bardziej absurdalne, gdyż pielęgniarzka, wykorzystując chwilę słabości lekarki i po raz kolejny łamiąc wszelkie zasady sztuki pielęgniarzkiej, usiadła nagle na krawędzi łóżka.

— Proszę posłuchać, panie Green. — Pochyliła swą ładną, przybraną czepkiem głowę i zaczęła czytać pierwszą stronę, śledząc słowa palcem, tak jakby dotykała nosa noworodka lub jego drobnych, pomarszczonych ust. — Ono świadome było świetlistej i nieskończonej mgiełki, jak gdyby unosiło się, boskie, alfa i o-me-ga... — Posłała mu żywy uśmiech. — Czy tak to się wymawia, panie Green? To greka, co? — Nie czekając na odpowiedź, zaczęła znowu czytać: — ...ponad morzem oparów i spoglądało...

TRACH!

II

MNEMOSYNE, córka Coelusa i Terry, matka dziewięciu muz z ojca Jupitera, który przyjął postać pasterza, by cieszyć się jej towarzystwem; słowo symbolizuje *pa-mięć*. Mnemosyne przypisana jest sztuka logicznego rozumowania oraz nadawania wszystkiemu właściwych nazw, tak że jesteśmy w stanie je opisać i o nich rozprawiać, nie widząc ich.

Lemprière pod Mnemosyne

ERATO opiekuje się liryką i czułą poezją miłosną; przedstawiona w koronie z róż i mirtu, z zamyślonym, czasem wesołym i ożywionym wyrazem twarzy; w rękę trzyma lirę; przyzywana przez kochanków, zwłaszcza w kwietniu.

Lemprière pod Erato

Drzwi sali szpitalnej zostają otwarte wściekłym kopniakiem. Staje w nich niesłychanie groźna zjawia rodem z sennego koszmaru, czy też — bardziej dosłownie — prosto z festiwalu muzyki punk... wysokie czarne buty, czarne dżinsy, czarna skórzana kurtka. Jej płeć jest nierozpoznawalna — hermafrodytyzm jest najbardziej stosownym określeniem. Jediną pewną rzeczą jest jej gwałtowna wściekłość. Pod czarną kurtką nabijaną niezwykle wielkości ćwiekami (inny zwiesza się z lewego ucha) i znaczkami ze swastyką widoczna jest biała koszulka z wymalowanym na niej wycelowanym pistoletem. Zmierzwiona czupryna postawionych na sztorc włosów jest również biała — jak u albinosa. Trudno powiedzieć, czy to w wyniku wybielenia, ufarbowania, czy też zwykłego strachu przed twarzą, którą okala.

Oczy drażniąco obwiedzione są czarnym tuszem, co daje gorszy efekt, niż gdyby ich właściciel właśnie stał się ofiarą mordobicia. Pasują za to do ust, które wyglądają na pomalowane tą samą czarną pastą co buty, które przed chwilą kopniakiem rozwarły drzwi na oścież. Zaciśnięta lewa pięść opiera się na biodrze; prawa zaś ręka ściska gryf niemalże pozbawionej pudła elektrycznej gitary. Zwisa z

niej krótki, poszarpany kawałek kabla wyrwanego ze wzmacniacza z taką siłą, że pękł na strzępy.

Jednak najbardziej przerażająca rzecz ma dopiero nastąpić. Jakkolwiek niewiarygodne by to było, pomimo odrażającego wyglądu w postaci i twarzy upiornego intruza jest coś znajomego. Okazuje się, że nie jest to hermafrodyta, lecz osobnik płci żeńskiej. I to nie jakikolwiek osobnik płci żeńskiej, lecz wierna kopia leżącej na łóżku doktor Delfie. Widać to wyraźnie w podkreślonych czarną obwódką oczach. Widać to również po reakcji adresata jadowicie oskarżycielskiego spojrzenia tego makabrycznego klonu. Choć jest w widoczny sposób przerażony, potencjalny parlamentarzysta nie wydaje się całkowicie zaskoczony. Unosi się z szybkością i wigorem, jakich brakowało jego poprzedniemu zachowaniu, siada podparty na ręce, rzuca wściekle spojrzenie swej wciąż leżącej partnerce, przenosi wzrok na stojącą w drzwiach postać spod szubienicy i w końcu odzywa się do niej.

— Ty... — Przetyka ślinę. — Ja... — Znów przetyka ślinę.

W odpowiedzi wcielenie szatana wmaszerowuje do pokoju i gwałtownie zatrzymuje się z szeroko rozstawionymi nogami. Gryf gitary zostaje energicznie wyrzucony do przodu, jak pistolet maszynowy, i wycelowany w biedną, bezbronną doktor Delfie. Ręka z pomalowanymi na czarno paznokciami unosi się i uderza w struny ruchem, jakim zbrojny w brzytwę zbir mógłby okaleczyć czyjąś twarz w ciemnym zaułku. Potem następuje nieopisany brzęk wymęczonego arpeggio. Chwilę później na łóżku nie ma już doktor Delfie, a jedynie niewyraźne wgłębienie w miejscu, gdzie jej głowa leżała na poduszce.

Siostra Cory skacze na równe nogi, otwiera usta, by krzyknąć, lecz bezlitosna gitara zostaje skierowana na nią, a strunami wstrząsa kolejne gwałtowne uderzenie. Ona też — śliczne brązowe ramiona, biało-niebieski uniform, zdziwione oczy — natychmiast znika jak kamfora, pozostawiając po sobie jedynie opadające białe kartki. Grzmot, łomot, grzmot — brzmi straszliwa gitara, a kolejne kartki papieru rozpływają się w nicości.

Po tym błyskawicznym i bezwzględnym ataku do złudzenia przypominającym masakrę Dnia św. Walentego*, Nemezis zwraca swój wzrok ku pacjentowi na łóżku. Wzrok jej płonie, trawiony bachicznym szałem. Bardziej eksploduje, niż mówi.

* Masakra Dnia św. Walentego — 14.02.1929 r., w Chicago. Podstępne morderstwo siedmiu bezbronnych gangsterów dokonane przez członków rywalizującego gangu (przyp. tłum.).

– Ty sukinsynu!

Miles Green zwleka się z łóżka, kurczowo trzymając prześcieradło i używając go jako zaimprovizowanego fartucha.

– Chwileczkę, obawiam się, że trafiła pani na zły oddział. I na złe słowo.

– Ty kurewska, szowinistyczna świnió.

– Tylko spokojnie.

– Ja ci dam spokojnie. O Boże!

– Ale nie może pani...

– Czego nie mogę?

– Taki język.

Jej kruczoczarne usta wykrzywiają się w okrutnym, pełnym szyderstwa uśmiechu.

– Do cholery, mogę używać takiego języka, jaki mi się podoba. I użyję.

On cofa się, przyciskając prześcieradło do brzucha.

– To przebranie. To wcale nie jesteś ty.

Ona groźnie postępuje o krok.

– Ale tak się składa, że wiemy, kim jestem. – Jej usta znów wykrzywia szyderstwo. – Pomimo przebrania. Tak?

Chciałby cofnąć się jeszcze bardziej, lecz nagle zdaje sobie sprawę, że stoi oparty o wyściełaną ścianę.

– To był tylko taki pomysł.

– Niewątpliwie. Ty kłamliwy gnojku.

– Mała próba. Pierwszy szkic.

– Gównó prawda.

– Myślałem, że już cię nigdy nie zobaczę.

– A jednak mnie widzisz, sukinsynu.

Próbuje uciec w bok, wzdłuż ściany, lecz po chwili zostaje osaczony w kącie. Za plecami ma piersi uczennic, przed sobą wycelowany straszliwy gryf gitary. Ona rzuca mu jadowite spojrzenie, a potem nagle wycelowuje z wściekłością palec w jego twarz.

– Wiesz, co zrobiłeś? Rozpieprzyłeś mój najlepszy od lat występ. Wystarczyło uderzyć w struny, a szesnaście tysięcy dzieciaków darło się, jakby je ktoś zarzynał.

– W to gotów jestem uwierzyć.

– Jeśli sądzisz, że nie mam nic lepszego do roboty niż szwendać się po twojej pornograficznej grafomanii, to twój ptasi mózdzek mocno się myli.

— Odnoszę wrażenie, że w naszej rozmowie niezupełnie posługujemy się tym samym rejestrem języka.

Pogardliwie mierzy go wzrokiem od stóp do głów; potem jej twarz przybiera drwiący wygląd.

— Ach, oczywiście. Zapomniałam. Oprócz tego dochodzą — kąciki jej ust sarkastycznie wykrzywają się w dół — głębokie struktury znaczeniowe. Ohyda. — Wpatruje się w niego groźnie, jakby zdecydowała się napluć mu w twarz. — Jesteś żaloszny. Już nawet nie wiesz, o co w tym głównie chodzi.

— Wybacz mi moją uwagę, ale wydaje mi się, że nadużywasz wulgaryzmów w stychomytii.

— Wiesz, gdzie możesz sobie wsadzić swoje uwagi. — Rzuca mu kolejne zjadliwe spojrzenie. — Na twój widok chce mi się rzygać. Dr A. Delfie. To nie jest gra słów, to psie gówno. I siostra Cory. Boże, miej nas w swojej opiece. Gówniany, elitarny kit. Pewnie ci się wydaje, że cały cholerny świat nadal mówi greką.

Rzuca jej niewyraźne spojrzenie — na poły niepewne, na poły błagalne.

— Nie mów mi, że nagle zaangażowałaś się w politykę.

Ona kręci głową w nowym ataku wściekłości.

— Przyzwoite pisarstwo, czyli nieburżuazyjne pisarstwo, zawsze było upolitycznione. Z wyjątkiem takich mieszczańskich trupów jak ty.

— Ale ty przecież kiedyś...

— Jak śmiesz wytykać mi, co kiedyś robiłam. Toż to, do cholery, nie moja wina, że stałam się ofiarą historycznego faszystowskiego spisku mężczyzn.

— Ale ostatnim razem my przecież...

— Zamknij się.

Opuszcza wzrok, a potem próbuje z innej beczki.

— Większość ludzi nigdy by nawet o tym nie pomyślała.

— Pieprzyć większość ludzi! — Ze złością wskazuje pistolet na swej koszulce. — Nie ze mną te numery. Mnie kitu nie wciśniesz. Jesteś typowym kapitalistycznym, seksistowskim pasożytem. Odkąd tylko byłam na tyle głupia, żeby poświęcić ci mój czas, bez przerwy trujesz mi dupę. — On otwiera usta, lecz ona nie daje mu dojść do słowa. — Sztuczki. Gierki. Nigdy nie potrafisz zdeklarować się do końca. Ale to już ostatni raz robisz ze mną takie numery, sukinsynu. — Piętą kopie łóżko. — I pomyśleć, że oddałam temu tekturowemu pajacowi moją twarz, moje ciało.

— To był zaledwie bardzo ogólny opis.

— Pierdolisz.

— Byliśmy kiedyś takimi przyjaciółmi.

Przedrzeźnia jego głos.

— Byliśmy kiedyś takimi przyjaciółmi. — Potrząsa głową w jego kierunku. —
Przejrzałam cię lata temu. Zawsze chciałeś mnie tylko przelecieć na chybcika.

— Mylisz mnie z Walterem Scottem*. Albo Jamesem Hoggiem*.

Zamyka oczy, jakby liczyła do dziesięciu; potem strzela w niego jadowitym wzrokiem.

— Jezu, gdybyś choć jeszcze miał charakter. Gdybym choć mogła zmasać cię
razem z twoimi beznadziejnymi, pedałowatymi, papierowymi bohaterami.

Grzbietem dłoni gniewnie ociera usta. On przez chwilę milczy.

— Zdajesz sobie sprawę z tego, że zachowujesz się jak typowy mężczyzna?

— A cóż to ma znaczyć?

— Wszystko wiesz najlepiej. Gwałtowne uprzedzenie seksualne. Nie mówiąc już
o tym, że próbujesz się ukryć, przyjmując pozę i język środowiska, do którego nie
należysz.

— Zamilcz.

— Przed wszystkim kompletnie pomyliłeś stroje trzech zupełnie różnych
subkultur: skinheadów, Hell's Angels i punków. One dość znacznie różnią się od
siebie, wiesz?

— Zamknij się. O Boże!

Jej oczy znów płoną czarnym ogniem, lecz Miles Green czuje, że w końcu udał
mu się maleńki kontratak; ona odwraca się od niego, przekłada przez głowę pas od
gitary i z rozdrażnieniem ciska instrument na łóżko. Przez chwilę stoi odwrócona do
niego tyłem. Na plecach jej skórzanej kurtki widnieje rysunek białej czaszki, pod
którym hitlerowskim gotykiem napisane jest: ŚMIERĆ ŻYJE. Potem znów się
odwraca, oskarżycielsko wyciągając ku niemu palec.

— A teraz posłuchaj. Od tej chwili ja tu rządzę. Rozumiesz? Jeśli jeszcze raz...
kaput. Cześć pieśni. Czy to jest jasne?

— Jasne jak słońce.

Wpatruje się w niego.

— A więc spadaj. — Składa ręce i kiwa głową w bok. — No już. Dalej.

* Sir Walter Scott (1771—1832) — wybitny szkocki autor powieści historycznych.

* James Hogg (1770—1835) — popularny dziewiętnastowieczny poeta szkocki (przyp. tłum.).

On podnosi prześcieradło o kilka centymetrów.

— Ale ja jestem całkiem goły.

— I bardzo dobrze. Niech cały pieprzony świat zobaczy, jaki naprawdę jesteś.

Mam nadzieję, że zdechniesz.

On waha się, wzrusza ramionami, robi kilka kroków po dywanie, potem staje.

— Czy przynajmniej nie możemy podać sobie ręki?

— Chyba żartujesz. Jesteś nienormalny.

— Muszę przyznać, że brzmi to jak wyrok bez sądu. Ja po prostu próbowałem w lekkich słowach wyrazić...

Ona pochyła się do przodu.

— Posłuchaj. Odkąd tylko zaczęłam na poważnie z ruchem wyzwolenia kobiet, robisz sobie ze mnie jaja. Przejrzałam cię, koleś. Jesteś świnią pierwszej klasy. *Numero uno*. — Jej oczy rzucają gromy w stronę drzwi, a przypominająca trupią czaszkę głowa z marionetkowymi wiechciami białych włosów wykonuje gwałtowny ruch w bok. — Won!

On robi kolejnych kilka kroków. Tym razem tyłem, jak dworzanin w zamierzonych czasach, ponieważ prześcieradło nie do końca owija go w pasie. Potem jeszcze raz staje.

— Mogłem to zrobić o wiele gorzej. Tak?

— Mogłem kłiwie kazać ci jak łabędź sunąć przez oliwne gaje w przezroczystej tunice czy czymś takim. Jak Isadora Duncan* w dniu niedyspozycji.

Jej ręce wędrują na biodra. Głos przechodzi w syk.

— Czy jesteś na tyle bezczelny, by sugerować...

— Jestem pewien, że to nie było takie bezsensowne. W swoim czasie.

Stoi z szeroko rozstawionymi nogami; rękami wzięła się pod boki. Po raz pierwszy oprócz złości w jej wzroku przebija coś innego.

— Dzisiaj moglibyśmy się tylko z tego śmiać. Czy o to ci chodzi?

On skromnie wzrusza ramionami.

— Zawsze miałem wrażenie, że to jest odrobinę absurdalne. Teraz ty to potwierdzasz.

Ona kilka razy kiwa potakująco głową, a potem mówi przez zęby:

— No, dalej.

— Oczywiście, nie był to pomysł tylko i wyłącznie literacki. Raczej część

ikonografii renesansowego humanizmu. Botticelli i tak dalej.

— Ale aż taka bezdenna kretynka?

— Przez myśl nie przeszłoby mi użycie tak niestosownego wyrażenia.

Ona znów składa ręce. Przygląda mu się bacznie.

— W porządku, niech ci będzie. Jakiego wyrażenia byś użył?

— Zwariowana? Pomyłona? Lekko szurnięta? — Gorączkowo mówi dalej: — Przecież wiesz, jak fantastycznie czasem wyglądasz. To obcisłe czarne nic, które miałaś na sobie, gdy ostatni raz... — Jej ręce opadają, pięści ma zaciśnięte. On dodaje niepewnie: — Fantastycznie.

— Fantastycznie?

— Absolutnie. Wciąż mam to przed oczami.

— A przecież wszyscy doskonale wiedzą, jakim jesteś wyśmienitym znawcą. Zwłaszcza jeżeli chodzi o poniżanie kobiet i zamianę nas w jednowymiarowe obiekty seksualne.

— Określenie "dwuwymiarowe" byłoby chyba...

— Zamknij się. — Rzuca na niego spojrzenie, a potem podnosi z łóżka gitarę. — Wydaje ci się, że jesteś tak cholernie mądry, co? "Ikonografia renesansu", Jezu. Nie masz zielonego pojęcia. Nawet nie wiesz, jak wyglądałam, gdy zaczynałam. Próbowałam więcej renesansów niż ty grzanek na śniadanie.

— Zdaję sobie z tego sprawę.

— Wcale nie. Od dawna ci się to należy. Ale teraz już się nie wymigasz. Ty zakłamany sukinsynu.

Prawą ręką zaczyna grać gamę, jakąś niewyraźną, w tonacji lidyjskiej. Zmiana nie jest gwałtowna; następuje płynnie, a mimo to jest niesamowita. Jej włosy miękną, stają się dłuższe i zmieniają kolor. Przeróżający makijaż znika z twarzy, a kolory z ubrania. Samo ubranie zaczyna się rozmywać i zmieniać w tunikę z czystego, białego brokatu, odkrywającą ręce oraz jedno ramię i sięgającą do połowy łydki. Talię przecina szafranowy pas. W miejscach, gdzie jest naciągnięty, materiał nie jest całkiem nieprzezroczysty. Znikają buciory, jest bosa. Ciemne włosy ma związane na styl grecki. Na czole pojawia się niewielki wianek z kremoworóżowych pączków róż umieszczonych pomiędzy liśćmi mirtu; gitara zmienia się w dziewięciostrunową lirę, na której ona gra teraz tę samą lidyjską gamę, tyle że w odwrotną stronę. Metamorfoza skończona.

* Isadora Duncan (1878-1927) — amerykańska prekursorka baletu nowoczesnego (przyp. tłum.).

Twarz jest wciąż ta sama, choć jakby młodsza, jakby odmłodziła o jakieś pięć lat; skóra emanuje miodo-złotym ciepłem, a wszystko to jeszcze bardziej podkreśla przylegająca biała materia. Ogólny efekt jest oszałamiający. Helena Trojańska może się schować ze swoją twarzą. Ta twarz mogłaby zatrzymać ciała niebieskie w ruchu, a na dokładkę kazać im się za sobą obejrzeć. Pozwala opaść lirze, a jemu pozwala wpatrywać się z rozdziawionymi ustami w to odwieczne i niezaprzeczalne bóstwo. Po kilku chwilach jednak jej wolna ręka wędruje na biodro. Pewne rzeczy pozostały chyba jednak bez zmian.

— I co pan na to, panie Green?

Jej głos również stracił poprzedni, nie do końca przekonujący akcent i intonację.

— Kompletnie się myliłem. Wyglądasz wspaniale. Nie z tej ziemi. — Szuka właściwych słów, a przynajmniej takie robi wrażenie. — Wyglądasz bardziej jak dziecko. Niewinnie. Słodko.

— Bardziej kobieco?

— Niewątpliwie.

— Bardziej bezbronne.

— Zupełnie nie przyszło mi to na myśl. Szczerze... jak marzenie. Dziewczyna, którą bez przeszkód można przedstawić rodzicom. Nawet ten wianek.

— Czego chcesz od mojego wianka?

— Te róże to hybryda herbacianej Ofelii. Wyhodowano ją dopiero w 1923 roku.

— Jakież to typowe. Jesteś takim cholernym pedantem.

— Przepraszam.

— Tak się składa, że jest to moja ulubiona róża. Od 1923 roku.

— I moja.

Ona unosi lirę.

— I można zobaczyć identyczną, a raczej to, co z niej zostało, w Metropolitan Museum w Nowym Jorku. Zanim i na ten temat zaczniesz bawić się w słówka.

— Wygląda niezaprzeczalnie autentycznie.

— Jest autentyczna!

— Oczywiście.

Rzuca mu niechętnie spojrzenie.

— A kiedy już o tym mówimy, na miłość boską, przestań w tak ordynarnie oczywisty sposób wpatrywać się w moje piersi.

Patrzy na jej nagie, rozkoszne stopy.

— Jeszcze raz przepraszam.

— To nie moja wina, że w tamtych czasach biustonosz nikomu się nawet jeszcze nie przyśnił.

— Oczywiście, że nie.

— Te monstrualne pęta prawdziwej kobiecości.

— Co ja słyszę, proszę bardzo.

Przypatruje mu się.

— Nie mam nic przeciwko temu, że od czasu do czasu rzucisz okiem. To kolejna z twoich wad. Nie pozostawiasz zupełnie nic wyobraźni.

— Spróbuję.

— Nie o to chodzi. Zrobiłam to tylko po to, by pokazać ci, co straciłeś. Ale ty nie jesteś w stanie tego docenić. — Odwraca się. — Jeśli chcesz wiedzieć, większość mężczyzn pada na kolana, gdy widzą mnie po raz pierwszy. Prawdziwą mnie.

— Jestem na kolanach. Duchem. Wyglądasz zachwycająco.

— Zdaje się, że chcesz przez to powiedzieć, iż wyglądam ponętnie. Zapominasz, że znam cię na wylot. Ciebie i twój chorobliwy rozumek. Zawszę będę dla ciebie tylko i wyłącznie kawałkiem niezłej dupy.

— Nieprawda.

— Oczywiście, nie oczekuję, że będziesz komponował hymny i ody oraz wznosił toasty na moją cześć — unosi nieznacznie lirę, po czym opiera ją na biodrze — i tak dalej. Kiedy świat był wciąż jeszcze jako tako cywilizowany... doskonale zdaję sobie sprawę z tego, że oczekiwanie czegoś takiego od kogokolwiek w tych nachalnie materialistycznych czasach to zbyt wiele. — Ponad nagim ramieniem rzuca mu na poły złe, na poły obrażone spojrzenie. — Proszę jedynie, byś uznał mój status metafizyczny za równy swemu.

— Przepraszam.

— Za późno. — Unosi nieco wzrok, jakby zwracała się do odległego łańcucha górskiego. — Ta ostatnia zniewaga dopełniła miary. Wiele jestem w stanie wybaczyć, lecz nie takie obrzydliwe oszczerstwo kwestionujące moralność mego zachowania. Każdy wie, że jestem z natury nieśmiała i powściągliwa. Nie pozwolę zmienić się w bezwolne kobiece ciało gotowe, by na każde skinienie spełniać twe perwersyjne zachcianki. Zapominasz, że ja nie jestem jakąś tam postacią z książki. Jestem krańcowo realna. — Opuszcza wzrok na dywan i mówi ściszym głosem: — Oprócz

tego, że jestem boginią.

— Nigdy nie podawałem tego w wątpliwość.

— O tak, podawałeś. Zawsze to robisz, gdy tylko otwierasz swój głupi dziób. — Odkłada lirę na łóżko i, unikając jego wzroku, składa ręce. — Muszę cię ostrzec, że poważnie myślę o tym, by poruszyć tę sprawę na naszym najbliższym zebraniu kwartalnym. Bo, szczerze mówiąc, nie tylko ja, lecz cała moja rodzina czuje się obrażona. Mamy już dość. Za dużo tego ostatnio. Najwyższy czas, żeby kogoś przykładowo ukarać.

— Jest mi naprawdę bardzo przykro.

— Będziesz musiał znaleźć sobie jakiś bardziej przekonujący dowód niż to. — Unosi lewe przedramię i przypatruje mu się. W chwilowym roztargnieniu niewątpliwie zapomniała, że tak jak róża Ofelia, tak i ręczny zegarek nie istniał w czasach antycznych. Odwraca wzrok i z poirytowaniem przygląda się zegarowi z kukułką. — Tak się składa, że mam dzisiaj masę zajęć. Daję ci jeszcze dziesięć zdań, byś ułożył pełne i stosownie oficjalne przeprosiny. To twoja ostatnia szansa. Jeżeli uznam, że są do przyjęcia, gotowa jestem odłożyć decyzję o wpisaniu cię na czarną listę. Jeżeli nie, poniesiesz konsekwencje. A w takim wypadku muszę ci uczciwie doradzić, byś przez resztę życia trzymał się z dala od pojedynczych drzew i domów bez piorunochronu. Zwłaszcza w czasie burzy. Czy to jest jasne?

— Tak, ale to niesprawiedliwe.

Rzuca mu ostre spojrzenie.

— Biorąc pod uwagę okoliczności, jest to nie tylko sprawiedliwe, ale i niezwykle wyrozumiałe. A teraz przestań się kłócić. — Odwraca się, podnosi lirę, a potem lekko się prostuje. — Możesz zacząć od padnięcia na kolana. Darujmy sobie całowanie śladów moich stóp, bo mi się spieszy. Masz dziesięć zdań. Ani mniej, ani więcej. A potem wynocha.

Sztywno trzymając swój zaimprovizowany fartuch, on niezręcznie osuwa się na kolana.

— Tylko dziesięć?

— Słyszałeś.

Ona wpatruje się w odległy kąt pokoju; czeka. On chrząka.

— Zawsze byłeś moim ideałem kobiety.

Ona unosi lirę i szarpie strunę.

— Dziewięć. Obrzydliwie to banalne.

– Mimo to, że nigdy cię nie rozumiałem.

Kolejne szarpnięcie struny.

– Powtórz to.

– Zupełnie.

– Siedem.

On wpatruje się w jej surowy odwrócony profil.

– Twoje oczy są jak kwiaty niesplika, jak oliwki z Amfissy, jak czarne trufle, jak grona muszkatelu, jak figi... zaczekaj...

– Sześć.

– Jeszcze nie skończyłem.

Ona pogardliwie prychna.

– Niepotrzebnie się ślinisz.

– Nigdy nie traktowałem nikogo innego poważnie.

– Łżesz. Pięć.

– Rozumiem, dlaczego doprowadzasz mężczyzn do szaleństwa.

– Cztery. I kobiety.

W milczeniu bacznie się jej przygląda.

– Naprawdę?

Rzuca mu z góry szybkie spojrzenie.

– Nie zmieniaj tematu.

– Oczywiście. Tak się tylko zastanawiałem.

Ona odwraca się do ściany.

– Jeśli chcesz wiedzieć, ta biedna, stara, kochliwa wariatka na Lesbos nigdy nie otrząsnęła się z tego widoku, gdy któregoś dnia zobaczyła, jak rozbieram się do porannej kąpieli.

– I to wszystko, co się wydarzyło?

– Oczywiście, że to wszystko, co się wydarzyło.

– Ale wydawało mi się...

Rzuca mu kolejne zniecierpliwione spojrzenie.

– Posłuchaj, jedną z bardzo wielu rzeczy, których o mnie nie wiesz, jest to, że nie jestem aż taka naiwna. — Odwraca wzrok. — Oczywiście, próbowała tych wszystkich lesbijskich sztuczek. Chciała sfotografować mnie w bikini i tak dalej.

– Sfotografować cię w...

Ona wzrusza ramionami, potrząsa głową.

— Cokolwiek to wtedy było. Wyrzeźbić mnie czy coś takiego. Nie pamiętam wszystkich drobiazgów. Skończ już z tym, na miłość boską. Zostały ci trzy zdania.

— Były cztery.

— W porządku. — Ciężko wzdycha. — Cztery. I postaraj się, by zabrzmiały lepiej niż poprzednie.

— Pojawiasz się, znikasz.

Ona dwukrotnie uderza lirę.

— Dwa.

— Chyba kpisz, przecież wyraźnie słyhać, że jest tam tylko przecinek.

— Nie słyhać było tego w sposobie, w jaki ty to powiedziałaś.

— To była tylko przerwa dla uzyskania efektu retorycznego. Te pojęcia łączą się ze sobą. Odejścia, powroty. Przecież to widać. — Rzuca mu ostrzegawcze spojrzenie. On mówi powoli: — Jesteś najbardziej seksowną istotą w całym dziele stworzenia, wiesz?

Ona odwraca wzrok.

— Teraz zdecydowanie dwa.

— Ja też potrafię przestrzegać reguł.

— Jedno. — Wstaje, a na jej twarzy maluje się zadowolenie płynące z poczucia przewagi spowodowanego z wewnętrznym przekonaniem; przypomina nieco słynne cy-kladzkie marmurowe głowy — jest to nie do zniesienia.

On bierze głęboki oddech.

— Właściwie zastanawiałem się nad następującą rzeczą (dwukropek) czy naprawdę nie ma (przecinek) pomimo twojej mocno przesadzonej urazy z powodu pewnych niewielkich założeń (przecinek) które czułem się zmuszony powziąć przy kreśleniu twego literackiego wizerunku (przecinek) a za które powinnaś przede wszystkim winić swą niesłychaną przebiegłość (nawias) jeśli nie wręcz kokieterię (myślnik) a mówię to jako ktoś (przecinek) kto więcej razy niż jest w stanie sobie przypomnieć (przecinek) był przez ciebie obrzydliwie wystawiony do wiatru i nie dostąpił zaszczytu zostania ostrzeżonym (przecinek) że akurat z kimś się puszczasz (zamknąć nawias i przecinek) obszarów zasługujących na bardziej gruntowne studia zarówno przez bohaterkę (przecinek) jak i przez pisarza lub (przecinek) jeśli wolisz (przecinek) pomiędzy uosobieniem jako *histoire* a przedstawiającym jako *discours* lub (przecinek) mówiąc jeszcze prościej (przecinek) przez ciebie i mnie (średnik) a ponieważ jestem przekonany (przecinek) iż co do jednej przynajmniej rzeczy

zgodzimy się bez zastrzeżeń (dwukropek) jest to obopólne niezrozumienie faktu (przecinek) w jaki sposób twa niekwestionowana prawdziwa obecność w świecie literatury nie zdołała skupić na sobie uwagi (nawias) choć możesz poczytywać to sobie za błogosławieństwo anonimowości (zamknąć nawias) uniwersyteckich fabryk magistrów (przecinek) strukturalistów i dekonstruktywistów (przecinek) semiologów (przecinek) marksistów i całej tej akademickiej zgrai (przecinek) na jaką zasługuje (średnik) ponadto (przecinek) jako iż jestem pewien (przecinek) że szczegółowe seminarium *à deux* na nasz własny temat zabierze nieco czasu (przecinek) a czuję się nieco niewygodnie (przecinek) próbując zakryć moje wstydlive części prześcieradłem (przecinek) podczas gdy z drugiej strony (przecinek) w twoim wyglądzie (nawias) chociaż wyglądasz absolutnie rozkosznie i prawdziwie bosko (przecinek) trzymając tak swoje śliczne paluszki na niewątpliwie autentycznej lirze (zamknąć nawias) uderza mnie to (przecinek) że sprawiasz wrażenie (myślnik) jeśli nie jest to tylko ślad po twym przerażającym makijażu (myślnik) odrobinę zmęczonej (przecinek) co jest zrozumiałe po przebyciu tak długiej drogi (przecinek lub średnik wedle uznania) więc przyszło mi na myśl (przecinek) że nie byłoby najgorzej odpocząć odrobinę (myślnik) tylko i wyłącznie (przecinek) zaznaczam (przecinek) dla potrzeb dyskusji oczywiście (średnik) a muszę dodać (przecinek) że łóżko jest wyjątkowo wygodne (przecinek) więc jeśli miałabyś ochotę odpocząć przez kilka minut (przecinek) lecz ja (wielokropek)

— To do niczego nie prowadzi!

On uśmiecha się.

— Obawiam się, że jeszcze nie skończyłem.

Patrzy na niego uważnie. Potem się odwraca, kładzie lirę obok siebie i obrażona siada na krawędzi łóżka. Składa ręce i intensywnie koncentruje swój wzrok na zegarze z kukułką.

— (Wielokropek) kontynuując (przecinek) lecz muszę zrobić zastrzeżenie (przecinek) że będzie to oparte na uznaniu faktu (przecinek) iż choć mógłbym ciągnąć tak w nieskończoność (przecinek) aż tak czy siak musiałabyś położyć się na łóżku z czystego wyczerpania (przecinek) zgodzimy się (przecinek) że formalną podstawą naszej dyskusji musi być twoje uznanie nie podlegającego kwestii faktu (przecinek) że gdybyś tylko wcześniej pojawiła się w tekście (przecinek) do którego zgłaszasz tyle zastrzeżeń (myślnik) a zwłaszcza w tej nadzwyczajnej klasycznej szacie lub w chitonie (myślnik) narracja (przecinek) którą w osobliwy sposób czujesz się dotknięta

(przecinek) prawie na pewno przybrałaby inny obrót i dlatego nie stalibyśmy ani nie klęcelibyśmy w tym absurdalnym pokoju szpitalnym (przecinek) dla którego nie miałem nawet dość cierpliwości (przecinek) by go właściwie opisać według rzetelnych starych wzorców (przecinek) nie mówiąc już o wzorcach *nouveau roman* (średnik) lecz (przecinek) a biorąc pod uwagę (przecinek) że od tego powinienem był zacząć (przecinek) ponieważ naprawdę jesteś (przecinek) i nie (nacisk) przemawia przede mną męski szowinista (myślnik) jedną z najbardziej obrzydliwych kokietek w historii tej planety i czasami myślę (przecinek) o ile to wszystko byłoby łatwiejsze (przecinek) gdybyśmy wszyscy byli homoseksualni (średnik) a jeżeli nadal będziesz się tak zachowywać (przecinek) to pewnie i będziemy (przecinek) a dokąd ty wtedy pójdziesz (myślnik) z powrotem będziesz snuć się po tej górze na zadupiu (przecinek) zawodząc swe nieszczęsne pienia w tym chropowatym jońskim dialekcie (przecinek) brzdąkając na tej strasznej lirze (myślnik) a przy okazji (przecinek) dobrze by było (przecinek) jakbyś ją sobie nastroiła (przecinek) bo jedna z basowych strun nie stroi co najmniej o pół tonu (przecinek) a oprócz tego wyświadczyłabyś nam wszystkim wielką przysługę (przecinek) gdybyś tylko poprosiła swą siostrę Euterpe lub świętą Cecylię, czy któregokolwiek choć trochę wprawnego muzykanta grającego na buzuki o kilka podstawowych rad (przecinek) jak poprawnie trzymać kostkę do gry i...

W końcu zagalopował się. Ona chwyta lirę i staje, potrząsając nią w jego kierunku.

— Gdyby nie to, że nastroszenie jej jest taką sztuką, miałbyś ją już na swoim łbie. I nie próbuj nawet dyskutować! Jeszcze jedno słowo i koniec! — Przez krótką, zatrważającą chwilę wydaje się, że spełni swą groźbę, nie licząc się z konsekwencjami. Lecz opuszcza lirę. — W ciągu czterech tysięcy lat nigdy nie spotkałam się z taką arogancją. Takim bluźnierstwem! Ja nie inspiruję pornografii. Nigdy mi się to nie zdarzyło. A co do tego drugiego odrażającego słowa... każdy wie, że moją wyróżniającą cechą jest święta niewinność... i czy raz na zawsze przestaniesz wpatrywać się w moje sutki! — On gorączkowo na powrót przenosi oczy na dywan. Ona wpatruje się w niego, potem w lirę, potem znowu w niego. — Jestem niesłychanie zła. — On kiwa głową. — Nieśmiertelnie obrażona. Pomijając wszystko inne, zdajesz się zapominać, czyją jestem córką. — On szybko podnosi wzrok i zaprzecza ruchem głowy. Nie uspokaja jej to. — Nic na to nie poradzę, że jest, kim jest. Staję na głowie, by zachowywać się jak jedno z was. By nie być snobką, nie szukać pomocy u tatusia jak jakaś mała bogata dziewczynka. — Urażonym wzrokiem spogląda na dywan u swych

stóp. — A ty próbujesz wykorzystać moją uczciwość, to, że próbuję być na bieżąco. — Dąsa się. — Chciałabym zobaczyć, jak ty próbujesz być wiecznie młody, mając na karku tysiąclecia, i to w tym samym czasie.

Na tyle, na ile pozwala mu na to jego milczenie, próbuje wyrazić najszczerze współczucie. Ona przypatruje mu się jeszcze przez długą chwilę, po czym nagle odwraca się i ponownie siada na krawędzi łóżka, trzymając lirę na kolanach. Zaczyna nerwowo wodzić palcem po zdobieniach na jednym z jej wygiętych ramion.

— W porządku. Być może nie mam pojęcia, w jaki sposób; być może na skutek źle pojętego poczucia odpowiedzialności zasugerowałam ci jakimś słowem pewien nowy rodzaj związku między nami. Jednak ja widziałam w tym jedynie interesującą, współczesną wariację na odwieczny temat. Coś dla wykształconych czytelników. Nie te obscena... — Kiwa głową w stronę wezglowia. — Myślałam, że na początek będziesz przynajmniej miał dość rozumu, by zajrzeć do kilku klasycznych tekstów. — Jej palec obsesyjnie wędruje w górę i dół strojnej złotem łabędziej szyi liry. — To jest niesprawiedliwe. Nie jestem kołtunem. I ponizające. Gdyby moja nieszczęsna rodzina to widziała. — Jej głos staje się coraz bardziej bolesny. — Oni i tak sądzą, że to wszystko jest jednym wielkim dowcipem. Wszystko przez to, że wydawało mi się, że jestem przebiegła, układając miłosne strofy, kiedy ciągnęłyśmy losy. A potem dostała mi się na dokładkę cała powieść. Muszę pracować dziesięć razy ciężiej niż pozostałe muzy razem wzięte. — Zamyśliła się nad swoją krzywdą. — Oczywiście, cały ten gatunek to jeden wielki bajzel. Śmierć powieści, śmiechu warte. Modłę się, żeby tak było. Krzyż na drogę. — Znowu milknie. — Tego nienawidzę w tym zgniłym kraju. A Ameryka jest jeszcze gorsza. Przynajmniej Francuzi robią coś, by uśmiercić tę jedną wielką bzdurę raz na zawsze.

On wstaje. Ona siedzi z pochyloną głową; potem odrzuca lirę na bok. Po chwili sięga po swój wianek z kwiatów, zdejmuje go i z nadąsaną miną zaczyna się nim bawić.

— Nie wiem, po co mówię ci to wszystko. Przecież i tak masz to gdzieś.

On zbliża się ostrożnie, z wahaniem, po czym siada przy niej na łóżku. Lira leży pomiędzy nimi. Ona rzuca na instrument gorzkie spojrzenie.

— Wiem, że jest rozstrojona. Nienawidzę jej. Jak to się stało, że cały świat się zasluchał, kiedy ten mój głupekowaty kuzyn dał jeden ze swoich nie kończących się koncertów, Bóg jeden raczy wiedzieć. Brzdęk, brzdęk, bęc, bęc. Wszystkich, których znałam, usypiała przeraźliwa nuda tych przedstawień. — Skubie wianek, jakby to on

był temu winny. — I to absurdalne okrycie. Nie myśl, że nie wiem, iż tylko udajesz, że ci się podoba. Rzuca mu ukradkiem zimne spojrzenie swych ciemnych oczu. — Świnia. — Szarpie pączek róży. — Nienawidzę cię. — On czeka. — A poza tym bardziej podobały ci się cycki tej czarnej dziewczyny.

On zaprzecza ruchem głowy.

— Jestem zdumiona, że w końcu nie wzięłeś i jej. Lub obu nas razem. — Wyszarpuje z wianka kolejny pączek i zaczyna wyrywać z niego płatki, jeden po drugim. — Dobrze rozwinięta; to mógł być ciekawy i mieszczący się w granicach dobrego smaku pomysł. Nie jestem nierozsądna. Nie oponowałabym przeciwko subtelnym niuansom romantycznego uniesienia. Nie jestem tak do końca nieświadoma faktu, że ty jesteś mężczyzną, a ja kobietą.

On odkłada lirę do tyłu i przysuwa się nieco ku niej.

— Nie myśl, że coś ci to pomoże.

Ujmuje jej dłoń; ona próbuje ją wyswobodzić, lecz on nalega. Ich złożone dłonie leżą na białym prześcieradle, więzień i strażnik. Ona rzuca na niego pogardliwe spojrzenie, potem odwraca głowę.

— Nie, nawet gdybyś jeszcze raz padł na kolana i błagał mnie. I jeszcze jedna rzecz. Mam nadzieję, że to wszystko zostanie między nami.

Ścisną jej dłoń, potem przysuwa się jeszcze trochę, a po kolejnym uścisku dłoni kładzie rękę na jej nagim ramieniu. Ona nie reaguje.

— Doskonale wiem, o co ci chodzi. Mimo że w mojej rodzinie to nie ja zajmuję się muzyką, jestem w stanie rozpoznać wariację, gdy ją zobaczę.

On schyla się i całuje ją w ramię.

— Nie mam już dla ciebie ani odrobiny sympatii czy czułości. Jestem po prostu tak zmęczona, że jest mi wszystko jedno. To był cholernie nieprzyjemny lot. Chorowałam.

Ponownie całuje ją w ramię.

— Nie masz odrobiny szacunku dla moich uczuć.

On zdejmuje prześcieradło. Ona rzuca mu szybkie spojrzenie, a potem odwraca głowę.

— Czasami jesteś niewymownie wulgarny.

Próbuje poprowadzić jej rękę w kierunku niewymownej wulgarności, lecz ona wyrywa mu ją i znów składa dłonie na piersiach; wpatruje się w wyściełaną ścianę.

— Nie myśl, że nie widziałam tego głupawego uśmiechu na twojej twarzy, kiedy

mówiłam o niewinności. Tylko dlatego, że raz czy dwa pozwoliłam sobie kiedyś na chwilkę zapomnienia w twojej obecności. Wydaje ci się pewnie niekonsekwentne i na dodatek głupie to, że czasami miewam ludzkie odruchy, które stoją w sprzeczności z moim oficjalnym wizerunkiem.

Studiuje jej profil, a potem delikatnie zaczyna zsuwać białe ramiączko tuniki z jej smakowicie krągłego, złotego ramienia. Lecz gdy górna część szaty ma już opaść, ona przyciska ją ramieniem do boku.

— Zanim pomyślisz sobie, jakimż to jesteś wspaniałym uwodzicielem, pozwól sobie przypomnieć, że nie jesteś bynajmniej jedyny. Bywałam rozbierana przez artystów, geniuszy zmysłowości. Nie zaimponuje mi byle erotyczny skryba.

On cofa rękę. Zapada cisza. Potem, wciąż wpatrując się w ścianę, ona zsuwa wiszące ramiączko i wsuwa je pod rękę. Trwa cisza. Ona nadal wpatruje się w ścianę.

— Nie mówiłam, żebyś cofnął rękę.

On kładzie ją z powrotem.

— Nie, żeby mi zależało. Osobiście.

On delikatnie drażni przód tuniki ponad tym, co przeszkadza opaść jej na biodra.

— Wydaje ci się, że nic nie wiem o mężczyznach. Powiem ci tylko tyle, że mój pierwszy kochanek miał więcej seksu w paznokciu małego palca u nogi niż ty w całym swoim nudnym ciele. A właściwie miałby, gdyby miał paznokieć małego palca u nogi. On nie poprzestałby tylko na gapieniu się na piersi Miss Grecji 1982 roku. — Dodaje: — Oczywiście, mam na myśli rok 1982 przed naszą erą.

On unosi jedną rękę, a drugą opuszcza z jej ramienia na nagą talię i przyciąga ją bliżej ku sobie. Pochyliła się, by pocałować jej policzek; na próżno. Ona odwraca głowę.

— Ale też nie miał infantylnej fiksacji na temat Murzynka Bambo. — On chrząka. — Cofam to. Ale też nie miał tego absolutnie typowego pseudointelektualnego i seksistowskiego przekonania, że obracanie czarnych sióstr czyni z niego liberała. — Zapada cisza. Ona spogląda w dół, na jego prawą rękę i jej ruchy. — Mam szczerzy zamiar ci o nim opowiedzieć. Żebyś sobie nie myślał. — Przygląda się kolejnym ruchom. — A to, tak się składa, jest czysto odruchową reakcją. Mogę uzyskać dokładnie ten sam efekt, używając własnych rąk. — Prycha pogardliwie. — I często jestem do tego zmuszona, biorąc pod uwagę, jak wielką nieudolnością i ignorancją większość z was się popisuje. — Jego ręka się zatrzymuje. Ona

niecierpliwie wzdycha. — Na miłość boską. Teraz, kiedy już zacząłeś, możesz równie dobrze kontynuować. — On kontynuuje. — Nie wiem, dlaczego mężczyźni przywiązują do tego tak wielką wagę. Naprawdę nie jest to nawet w połowie tak podniecające, jak wam się wszystkim naiwnie wydaje. To tylko biologiczny mechanizm przetrwania. By ułatwić karmienie. — Chwilę lub dwie później, z kolejnym westchnieniem przechyła się do tyłu, podpierając się na łokciach. — Szczerze. Jak szczury w laboratorium. Najprostszy bodziec... i do dzieła. — Nadal opierając się na łokciach, osuwa się coraz bardziej. — Jeść i gryźć. Gryźć i jeść. — Zapada cisza. Lecz wtedy ona siada gwałtownie i odpycha go. — Nie możesz tego zrobić, dopóki nie rozepniesz mi pasa cnoty. Poza tym, próbujesz tylko mnie rozkojarzyć. Tak naprawdę potrzebujesz dobrego kubła zimnej wody. — Uderza go po rękę. — Przestań. To bardzo skomplikowany węzeł. Jeśli chcesz zrobić coś pożytecznego, to idź i zamknij drzwi. I zgaś światło, kiedy tam będziesz.

On idzie do drzwi i zamyka je na stojącą za nimi nieprzeniknioną noc. Ona również stoi, przy łóżku, odwrócona do niego gołymi plecami. Ręce trzyma przy sobie i rozsupłuje szafranowy pas. Lecz gdy już ma pozwolić opaść tunice na ziemię, spogląda na niego przez ramię.

— Jeśli nie masz nic przeciwko temu. Dość już było podglądactwa w tym obskurnym pokoju.

On naciska przycisk przy drzwiach. Biała lampa nad łóżkiem gaśnie, lecz inna, nad drzwiami — widocznie włączana z zewnątrz — nadal się pali. Jest ciemna, przyćmiona jak światło księżycy w lecie.

On rozkłada ręce w przepaszającym geście.

— Cholera. Właśnie to wymyśliłeś. — On unosi przecząco ręce. — Tak, wymyśliłeś. Wcześniej nie było o tym ani jednej wzmianki. — Gani go długim, oskarżycielskim spojrzeniem, po czym odwraca się i robi krok ponad leżącą tuniką. Stoi twarzą do niego, a szatę trzyma przed sobą jak modelka wiktoriańskiego artysty. — Znowu zaczynasz. Jedyne dobre kwestia, którą napisałeś, to ta, gdy ta lekarka mówi, że powinieneś być wypchany i wystawiony w muzeum.

Rozgląda się w półmroku, by gdzieś powiesić tunikę; potem obchodzi łóżko i podchodzi do zegara z kukułką w odległym kącie. Wiesz ją na głowie kozicy wystającej spod jednego z okapów. Nie patrząc na niego, wraca do łóżka, poprawia poduszki i siada na nich z założonymi rękami. On rusza, by do niej dołączyć.

— Nie, ty nie. Możesz sobie wziąć krzesło i usiąść tam. — Wskazuje miejsce na

dywanie trzy metry od łóżka. — I choć raz w życiu posłuchaj kogoś.

On bierze krzesło i siada we wskazanym miejscu; potem również zakłada rękę. Dziewczyna w greckiej fryzurze spogląda na niego z nie ukrywaną niechęcią i podejrzliwością, potem rzuca szybkie spojrzenie na niższe partie jego ciała, a w końcu przynosi pogardliwy wzrok na lampę nad drzwiami. Zapada cisza, w czasie której jego oczy nie opuszczają jej ciała. Teraz, gdy ukazało się w swej całej krasie, nie zachęca go ono bynajmniej do odejścia. Wymyślnie łączy w sobie pruderię z prowokacją, klasykę z nowoczesnością, indywidualizm z kobiecością Ewy, czułość z nieprzejednaniem, terażniejszość z przeszłością, rzeczywistość ze snem, miękkość z... Rzuca mu ostre spojrzenie.

— Na miłość boską, przestań wpatrywać się we mnie jak sroka w gnat. — On opuszcza wzrok. — W przeciwieństwie do ciebie, ja próbuję pomyśleć, zanim coś opowiem. — Przytakuje jej skinieniem głowy. — I potraktuj to jako lekcję pogładową. Nie tylko na temat arogancji seksualnej. Na temat, jak szybko i prosto przejść do rzeczy bez nie kończącego się obchodzenia tematu. Mogłabym tu wymienić parę nazwisk. — Znow zapada cisza, po czym ona zaczyna mówić:

— Jeżeli chcesz wiedzieć, stało się to u mnie w domu. Miałam dopiero szesnaście lat. Było tam takie miejsce, górskie łąka otoczona gęstymi zaroślami, gdzie czasami chodziłam, by się w samotności popalać. Było bardzo gorąco, lipiec; zdjęłam tunikę. Moja ulubiona ciotka, w zasadzie zawsze bardziej traktowała mnie jak córkę niż jak siostrzenicę, była zagorzałą naturystką. Ona pierwsza nauczyła mnie, by nie wstydzic się własnego ciała. Niektórzy mówią, że jestem do niej nawet podobna. Lubi się też kąpać w morzu latem i zimą. Ale to pewnie nic ci nie mówi. — Rozplata rękę i zakłada je sobie za głowę, wciąż wpatrując się w światło ponad drzwiami. — No więc jestem sobie na mojej łące. W krzakach śpiewają słowiki. Dzikie kwiaty, brzęczące pszczoły, te rzeczy. Promienie słońca na moich piętnastoletnich plecach. Wtedy pomyślałam sobie, że mogę się poparzyć. Ukłękłam więc i natarłam całą skórę oliwą. Nie potrafię sobie wyobrazić dlaczego, ale kiedy tak rozcierałam oliwę, zamiast skupić się na naturystycznych pryncypiach, zaczęłam rozmyślać o pewnym młodym pasterzu. Zupełnie przypadkowo spotkałam go raz czy dwa razy wcześniej. Nazywał się Mopsus. Zupełnie przypadkowo, podczas spacerów. Był tam taki buk, pod którym się wylegiwał, gdy było gorąco. Grywał na fujarce, a jeśli sądzisz, że moja lutnia jest rozstrojona... mniejsza o to. Na miesiąc zanim moja matka... wiesz o moich rodzicach?

Potakuje.

— Po prostu czuła coś do pasterzy. Po rozwodzie.

Ponownie potakuje.

— Jesteś mężczyzną, nigdy tego nie zrozumiesz. To znaczy, bliźniaki to już aż nadto. Ale dziewięcioraczki, i do tego same córki. Nawet w tamtych czasach powinien panować jakiś umiar. — Spogląda na niego takim wzrokiem, jakby oczekiwała jego sprzeciwu, lecz on przyjmuje najbardziej wyrozumiały wyraz twarzy. — Musiałam z tym żyć przez całe dzieciństwo. Ciągłe kłótnie o alimenty. To nie była tylko wina taty; przez jej ręce przeszło więcej prawników niż ciuchów na wyprzedaży. A poza tym, Bóg mi świadkiem, nieźle na nas zarobiła, kiedy byliśmy już wystarczająco duże. Objazdowy gabinet osobliwości. Na początku prawie cały czas byliśmy w drodze. To było gorsze, niż gdybyśmy należały do Rolling Stones. Miałyśmy jeszcze do tego okropnego menedżera, tak zwanego Przodownika Muz, straszna ciota. Oczywiście, dlatego mama go wybrała; był tak zainteresowany kobietami jak gwiazda filmowa anonimowością. Talia i ja przezywałyśmy go "ciotką Polly". Talia to jedyna moja siostra, która ma poczucie humoru. Z egzaltacją trącał struny, a my miałyśmy płaszać dookoła w naszych specjalnych kostiumach i sprawiać wrażenie niesłychanie uduchowionych i inteligentnych, no i w ogóle. To znaczy, na tym polegał występ. W życiu nie widziałeś czegoś bardziej żalosego.

On unosi brwi w podzięcie za ten wgląd w prymitywną religię Grecji.

— Apollo Musagetes, tak się naprawdę nazywał. Na scenie.

Tym razem on otwiera usta z pewną dozą zdziwienia.

— To właśnie to mnie tak rozdrażniło, kiedy mówiłeś o sunięciu przez oliwne gaje. Akurat. Jeszcze dobrze nie zaczęłyśmy miesiączkować, kiedy wypchnięto nas na pierwsze tournée. Pindus, Helikon i każda zakazana górka pomiędzy nimi. Poważnie, zanim skończyłam czternaście lat, poznałam wszystkie świątynne garderoby w całej Grecji. Mogą nazywać nas w książkach Czarownicami Muzami. Ale tak naprawdę byliśmy bardziej girelaskami z Delf. Większość przedstawień była mniej więcej taką frajdą jak występ w Bradford w mokrą niedzielą noc.

On składa ręce jak do modlitwy w geście proszącym o przebaczenie.

— Świnia. W każdym bądź razie, moja matka kazała wyrzucić tego chłopca z góry miesiąc wcześniej. Dwie z moich sióstr poskarżyły się, że widziały, jak coś robi, ale nigdy nie dowiedziałam się, co to było. Ponoć potraktował jedną ze swoich owieczek w dość zwierzęcy sposób. To oczywiście przesądziło sprawę, wyleciał. Nie

mam zielonego pojęcia, dlaczego przyszedł mi na myśl akurat tamtego dnia. — Opuszcza się trochę niżej na poduszkach i podciąga kolana. Potem wyciąga jedną nogę w powietrze; przez moment obraca wkoło szczupłą kostkę i bacznie się jej przygląda, by po chwili dostawić ją do drugiej. — Właściwie... niech tam, było coś, o czym ci lepiej opowiem. Znowu, przez czysty przypadek, dzień zanim został wykopany, spacerowałam sobie samotnie i tak się złożyło, że przechodziłam obok jego buku. Tego dnia też było wściekle gorąco. Byłam trochę zaskoczona, że go tam nie ma, mimo że były tam wszystkie jego stare, śmierdzące owce. Wtedy sobie przypomniałam, Zeus Olimpijski jeden wie dlaczego, że w pobliżu jest źródło. Wypływało z jaskini i tworzyło niewielki staw. Właściwie to był nasz staw, miał służyć moim siostram i mnie jako połączenie wanny i bidetu, ale mniejsza o to. Tak więc nie miałam nic lepszego do roboty, wszystko to działo się w tych absolutnie fantastycznych czasach przed wynalezieniem alfabetu i pisma... Mój Zeusie, gdyby człowiek zdawał sobie wtedy z tego sprawę. Bylibyśmy tacy szczęśliwi. — Rzuca mu ponure spojrzenie. — Więc poszłam w stronę stawu. Kąpał się. Naturalnie, nie chciałam zakłócać mu spokoju, więc wślizgnęłam się za krzaki. — Spogląda na mężczyznę siedzącego na krześle. — Czy to ciebie nudzi?

On zaprzecza ruchem głowy.

— Jesteś całkiem pewien?

Potakuje.

— Miałam tylko czternaście lat.

On znów potakuje. Ona przewraca się na bok, w jego stronę, i podciąga nieco nogi. Prawa ręka wygładza prześcieradło.

— Wyszedł z pieryjskiej fontanny — to pedantyczne określenie ciotki Polly — i usiadł na kamieniu, by obeschnąć. A wtedy... był on oczywiście tylko prostym, wiejskim chłopcem. Żeby się nie rozwodzić za długo, zaczął... hm, zabawiać się innym rodzajem fujarki. Swą fistułą, jak to nazywałyśmy. Myślał oczywiście, że jest sam. Szczerze mówiąc, byłam zszokowana. Pełna obrzydzenia. Nie to, że nie widziałam nigdy wcześniej nagich mężczyzn. Choćby u mojej ciotki na Cyprze. — Podnosi wzrok. — Mówiłam ci już, że ona mieszkała na Cyprze? — On zaprzecza ruchem głowy. Ona ponownie zaczyna gładzić prześcieradło. — Wracając do rzeczy, ich zwisające drobiazgi zawsze wydawały mi się nieco niepoważne. I te obrzydliwe kudły, które je otaczały. Nie mogłam zrozumieć, dlaczego codziennie golili sobie brody, a tego nie. Czy nie widzieli, że moja ciotka, jej przyjaciółki i ja wyglądałyśmy o wiele

atrakcyjniej? — Znów podnosi wzrok. — Mam nadzieję, że zauważyłeś? — On uśmiecha się i kiwa głową. — Ona nienawidzi wszystkiego, co zniekształca naturalną linię. Z czysto estetycznych względów. — On rozkłada ręce. — Pewnie myślisz, że to moje kolejne dziwactwo.

On zaprzecza ruchem głowy, lecz tym razem towarzyszy temu ledwo widoczne wzruszenie ramion, powątpiewanie skrętnie ukryte za niechęcią do wszczynania kolejnej kłótni. Przygląda się jego łagodnemu wyrazowi twarzy, potem siada podparta na ręce.

— To kwestia formy. Moja ciotka ma całą masę różnych wspaniałych przyjaciół artystów. Wszyscy to mówią. — On rozkłada ręce. — I nie chodzi tu tylko o stronę wizualną. To również aspekt plastyczny. — On kiwa głową. Ona przygląda mu się bacznie. — Sądzisz, że to dziwaczne, co? — On rzuca jej nieco zażenowany uśmiech i opuszcza wzrok. Ona przygląda mu się jeszcze przez chwilę z lekką naganą w oczach, po czym unosi się i kłęcząc wyprostowana na łóżku, przodem do miejsca, w którym on siedzi; uda ma mocno ściśnięte. — Wcale nie gniewam się na ciebie ani odrobinę mniej, nie wyobrażaj sobie, ale ponieważ ma to być lekcja pogładowa, a ty, mam wrażenie, nie bardzo rozumiesz, o co mi chodzi, pozwalam ci na szybką ocenę... tego drugiego aspektu. — Jej ręce sięgają w dół i odnajdują dwie linie. — Jeśli chodzi o ścisłość, to biorą one swą nazwę od mojej ciotki. Bruzdy Afrodyty. — Unosi wzrok. — Tak miała na imię.

On kiwa głową. Ona składa ręce za plecami i wpatruje się w ścianę za nim, jak uczennica czekająca na nagrodę. On wstaje, podchodzi i siada przy niej na krawędzi łóżka; następnie muska koniuszkami palców ten drugi aspekt.

— Robię to specjalnym środkiem depilującym. Ziołowym. Pewien mały człowiek z Ktimy. Niedaleko domu mojej ciotki. — Cisza. Jej ręce pojawiają się nagle i odpychają go. — Pozwoliłam ci podziwiać zewnętrzną formę. Z czysto artystycznego punktu widzenia. Jesteś gorszy niż dziecko. Zupełnie nie można porozmawiać z tobą poważnie. — Odwraca się i siada tak jak wcześniej, z założonymi rękami i plecami opartymi o poduszki. — Świnia. — Kopie w bok lewą nogą. — Siedź już tutaj, jeśli musisz. Ale trzymaj ręce przy sobie. — On zostaje na brzegu łóżka, zgina się, potem prostuje, patrzy prosto w jej ciemne oczy.

— Zboczeniec.

On przesuwa się odrobinę bliżej.

— Nie można ci dać nawet palca. — On kładzie jej rękę na biodrze. Ona

podnosi rękę, by trzymać go na dystans. — Tylko dlatego, że nie mam nic na sobie, nie musisz zaraz zachowywać się jak neandertalczyk. Ja miałam na myśli klasyczne sympozjum. Przed chwilą wymyśliłeś kompletnie nie istniejącą lampę. Dlaczego, do diabła, nie możesz wymyślić drugiego łóżka lub attyckiego szezlongu? Nie wiem. — On uśmiecha się. Ona płonie gniewem. — Znam facetów, którzy daliby obciąć sobie rękę, by usłyszeć tak osobisty rozdział mojej autobiografii. Dlaczego ze wszystkich ludzi musiałam wybrać akurat ciebie... Mam wielką ochotę już skończyć. — On czeka. — I skończyłabym, gdyby nie to, że wiem, iż zaraz byś wkoło rozgłosił, że kiedy przyszło co do czego, to stchórzyłam. Chciałbyś, co? — Patrzy na niego nie widzącym wzrokiem. — Nic z tego, będziesz słuchał.

Nieco ciałniej zaplata ręce; potem, unikając jego wzroku, ciągnie dalej:

— Teraz wiem, że przez zupełny przypadek, temu wyjątkowo hojnie wyposażonemu przez naturę młodzieńcowi zawdzięczam moją wzrokową inicjację. W jakiś przedziwny sposób moja odraza zmieniła się we współczucie dla niego. Podobny był do ciebie. Taki niesłychany narcyz, że nie można było zastosować do niego zwyczajnej miary. To był zawsze mój słaby punkt. Mam zbyt miękkie serce dla umysłowych kalek. Ale do rzeczy. W końcu chciałam do niego podejść i poprosić, by był dla siebie nieco łagodniejszy. Miałam wrażenie, że zachowuje się dziwnie i brutalnie. Jakby był na to wściekły lub coś takiego. Oczywiście nie podeszłam, byłam zbyt nieśmiała. Miałam zaledwie trzynaście lat. W końcu wymknęłam się stamtąd i próbowałam udawać, że to się nigdy nie stało. Lecz zawsze miałam dość bujną wyobraźnię. Po prostu chłonęłam obrazy. — Przerywa. — Nawet nie słuchasz. On podnosi wzrok i kiwa głową.

— Jeśli ci się wydaje, że to mnie w najmniejszym stopniu... och, nie wiem, poddaję się. — Unosi prawe kolano. — Zapewne dzieci... no, dalej. Masz trzydzieści sekund. — Jej ręce z powrotem wędrują za głowę, z rezygnacją odchyła głowę, kładzie ją na górnej poduszce, patrzy na sufit, a potem zamyka oczy. Kiedy trzydzieści sekund ma się ku końcowi, on wykorzystuje fakt, że ona ma zamknięte oczy i zaczyna całować piękne, młode greckie ciało aż do szyi, z którą rywalizować może tylko szyja Nefretete; lecz gdy pochyla się w stronę ust, jej ręce chwytają go za ramiona i ponownie odpychają.

— Nie.

Zatrzymuje się pochylony nad nią. Ona zapada nieco głębiej w poduszki, jakby usiłowała przed nim uciec, i patrzy mu w twarz ponurym wzrokiem.

— Nie przeszkodzisz mi skończyć, nawet o tym nie myśl.

On kiwa głową.

— Jeżeli jakimś cudem uda ci się oderwać myśli od tego odwiecznego jednego toru, którym biega, być może przypomnisz sobie, że wszystko to zaczęło się na mojej łące. — On potakuje. — Kiedy skończyłam się smarować, położyłam się na brzuchu, tak jak to robią niewinne dziewczynki. — Mierzy go wzrokiem. — Jeśli możesz to sobie wyobrazić. Jaka byłam bezbronna, jaka obnażona. — On spogląda nieco w bok i marszczy brwi. — O Boże, jesteś niemożliwy. Jak cała twoja epoka. Słowa to dla ciebie papka bez smaku. W nic nie uwierzysz, dopóki nie zobaczysz tego w telewizji. — On wzrusza ramionami, ofiara zrzędzenia losu i historii. Ona waha się, ciężko wzdycha, potem obraca się na brzuch. Głowę na poduszce ma obróconą w bok. — Może teraz będziesz miał jakieś pojęcie, jak to wyglądało. Szczerze mówiąc, to jeszcze nie wszystko. Niesłychanie niefortunnym zbiegiem okoliczności uwierała mnie jakaś niewielka kępka trawy, którą usiłowałam wygładzić ruchami bioder. Teraz zdaję sobie sprawę, że nieświadomie wystawiałam się na zupełnie opaczny interpretację. Zapada cisza przerwana kolejnym westchnieniem narratorki. Ciągnie dalej:

— Oni są tak przebiegłymi bydlakami, musiał zakraść się w trawie. Jest jeszcze coś gorszego; mają zdolności telepatyczne, potrafią czytać w myślach. To ma jakiś związek z ich zwierzęcą poławą. Więc on nie tylko widział, co robię, ale musiał też wiedzieć, co myślę. Wtedy, w najbardziej... krępującym momencie, właśnie wtedy, gdy mój wymaginowany pasterz robił ze mną takie rzeczy, o których skromność każe mi milczeć i do których, rzecz jasna, nigdy bym w rzeczywistości nie dopuściła ku memu przerażeniu poczułam włochate cielsko intruza i... coś jeszcze, co opadło na moją lśniąca oliwką, dwunastoletnią pupę. Znowu cisza. — Naprawdę. Czy ty zawsze musisz być taki dosłowny?

Całuje ją w kark.

— Chciałam krzyknąć, szarpać się, lecz czułam, że to wszystko na nic. Albo mogłam poddać się jego chuci, albo by mnie zgniótł. W gruncie rzeczy, wcale nie był brutalny. Ugryzł mnie w szyję, ale tylko tak, dla zabawy. A potem zaczął szeptać różne rzeczy. To były świństwa, ale zmusiłam się do słuchania. Mówił o innych kobietach, innych dziewczętach, a nawet, ku memu zdumieniu, o jednej z moich sióstr, najstarszej, tej, która narobiła tyle hałasu o pasterza. Okazało się, że jest najbardziej niewiarygodną hipokrytką. Gdyby tylko historycy... ale mniejsza o to. — Przerywa na moment. — Prawdę mówiąc, po chwili wydał mi się nieco mniej odrażający, niż się

spodziewałam. Miał śliczną, brązową skórę, a włochata część jego ciała była o wiele przyjemniejsza, niż można było sądzić. Zupełnie nie była szorstka. Jak moher. Albo angora. — Znow przerywa na chwilę. — Nie zgniótł mnie też na śmierć. — Jej słuchacz unosi się nieco. Ona obraca głowę i kątem oka rzuca mu niedowierzające spojrzenie. — Nie zrobił też tego, co chodzi ci po rozgorączkowanej głowie. A wręcz miał na tyle przyzwoitości, by obrócić mnie na plecy. — Kilka chwil później, patrząc mu w oczy, na nowo podejmuje wątek. — W tym momencie nie stawiałam już oporu. Byłam miękka jak wosk w jego rękach. Mogłam tylko wpatrywać się w jego pożądliwe, lubieżne oczy. Jeśli możesz to sobie wyobrazić. Rzuca uśmiech jej niemym oczom i potakuje.

— To nie jest śmieszne.

On kręci głową.

— Zmusił mnie, bym rozstawiła nogi... trochę się opierałam, ale był za silny, zbyt podniecony. — Zamyka oczy. — Wciąż to czuję. — Znow milknie na kilka chwil, a potem patrzy mu prosto w oczy. Jej kostki krzyżują się i zaciskają na jego nogach. — To było ohydne; kompletna biologiczna dominacja. Mój wrażliwy jedenastoletni umysł cierpiał straszliwe katusze. Z każdym brutalnym centymetrem tego odrażającego gwałtu. Zdecydowałam, że mu nigdy nie wybaczę. Ani jego płci. Że od tamtej chwili do końca mego życia musi to być wojna z całym męskim rodem. Wojna do samego końca. Że będę zadawać tortury i nękać każdego mężczyznę, który stanie mi na drodze. Och, mogłam pozwolić im wierzyć, że ich pieszczoty, pocałunki, namiętne ręce sprawiają mi przyjemność. Ale w głębi duszy pozostałam, nawet w momencie defloracji, wieczną dziewicą. — Rzuca mu śmiertelnie poważne spojrzenie. — Zabraniam ci komukolwiek kiedykolwiek o tym mówić.

On potrząsa głową; nigdy.

— Powiedziałaś kiedyś o tym komuś. Jak głupia.

On wyraża zdumienie.

— Oczywiście, musiał to wypaplać wokoło przy pierwszej sposobności. I to ze zwykłego męskiego szowinistycznego punktu widzenia. A przecież to jest moja historia. Wiele da się o mnie powiedzieć, ale nie to, że jestem jakąś idiotyczną parą nimf w wolne popołudnie jakiegoś dziwaczego poety żabojada. — Dodaje: — Proszę to łaskawie wziąć pod uwagę. A jeżeli ciekawi cię, dlaczego mnie podwoił... był zalany w pestkę. Jak zwykle. Nazywał się Verlaine.

On zaprzecza szybkim ruchem głowy.

— Czy coś takiego. Jeden z tej bandy.

On bezgłośnym ruchem ust próbuje pokazać właściwe sylaby. Ona przypatruje mu się bacznie.

— Co, bolą cię ramiona? Trzeba było o tym pomyśleć, zanim ułożyłeś tę absurdalną lekarzkę w tej samej pozycji. Jesteś taki jak wszyscy pornografowie. Gdy w rachubę wchodzi przyjemność jego lordowskiej mości, jakakolwiek wiarygodność realiów nie odgrywa żadnej roli. — Spogląda mu na usta, a potem znów w oczy. — Słowo daję, zaczynam mieć wrażenie, że jesteś bardziej przykry, gdy milczysz, niż gdy mówisz. Możesz znowu zacząć mówić. Jeśli koniecznie musisz. — Lecz zanim on zdąży otworzyć usta, ona ciągnie dalej. — I jeżeli nie sądzisz, że cielesny aspekt tej rozmowy ma jakikolwiek wpływ na moją prawdziwą opinię o tobie. Czy na moją metaforyczną niechęć do ciebie i wszystkiego, co twoja pleć sobą reprezentuje. I niech ci się nie wydaje, że nie przejrzałam na wylot twoich żałośnie oczywistych prób wmanewrowania mnie w tę pozycję. — Jej stopy zaciskają się na jego nogach jeszcze mocniej, a ona sama opuszcza się trochę niżej. — Nie sprawia mi to zupełnie żadnej przyjemności. Wygląda na to, że tobie też. Jestem pewna, że wolałbyś w tej chwili prowadzić jakąś nudną dyskusję na temat wyznaczników współczesnej struktury narracyjnej.

— Miej litość. Za chwilę ręce mi odpadną.

— Możesz oprzeć się na łokciach. Ale nic więcej.

Leży z twarzą tuż ponad jej twarzą.

— Chcę cię pocałować.

— Możesz poczekać. Jeszcze nie skończyłam opowiadać o tym, co stało się na wzgórzu. Zapomniałam, na czym stanęłam.

— Pewnego popołudnia byłaś deflorowana. Przez fauna.

— Oni nie są zwykłymi mężczyznami. Są czterojajeczni, jeśli chcesz wiedzieć. Mogą to robić na okrągło. Tak właśnie było.

— Za każdym razem w ten sam sposób?

— Oczywiście, że nie. Zaliczyliśmy cały alfabet.

— Ale przecież właśnie powiedziałaś, że nie był...

— Gdyby był już wynaleziony.

— Dwadzieścia sześć razy?

— Obudź się. Jesteśmy w Grecji.

— Dwadzieścia cztery?

— Nie licząc wielu dyftongów.

— Nie bardzo potrafię je sobie wyobrazić. Chyba, że w kontekście.

— Nie będziemy wchodzić w szczegóły. Chodzi o to, że pomimo całego mojego gniewu i wściekłości, muszę przyznać, że był wspaniałym kochankiem. Z nieprawdopodobną wyobraźnią. Na dobrą sprawę, twoje dokładne przeciwieństwo.

— To nie fair.

— A ty skąd miałbyś to wiedzieć? Za każdym razem wydawało mi się, że to już jest koniec. Ale za każdym razem znajdował jakiś sposób, by mnie podniecić. Sprawił, że chciałam być taka jak on. Chciałam być dzikim zwierzęciem. Ciągnęło się to godzinami i godzinami... i godzinami. Począwszy od sigmy, byłam taka wyczerpana, że ledwo mogłam się poruszyć. Ale to mi nie przeszkadzało. Miałam ochotę znów wrócić do alfy. Razem z nim.

Milknie.

— To wszystko?

— Zupełnie nie słuchałeś.

— Słuchałem.

— Gdybyś słuchał, nie powiedziałbyś z takim wrednym rozbawieniem "to wszystko". Przepraszałbyś, że kiedykolwiek miałeś czelność zakładać, że twoja własna cherlawa wyobraźnia mogłaby się mierzyć z autentycznym zdarzeniem, takim jak to.

On wyciąga przed siebie palec i obwodzi nim zarys jej ust.

— Musiałeś być bardzo niezwykłą jedenastoletnią dziewczicą.

— Jeśli chcesz wiedzieć, nie zużyłam do końca całej oliwy.

Trąca ją lekko palcem w nos.

— To jest jawny plagiat z *Carmina priapea*.

— Tak się składa, że moje zapierające dech w piersiach zmysłowe doświadczenie wyprzedza ten przestarzałe wulgarny zbiorek o co najmniej dwa tysiące lat.

— Uwierzę w to, że leżałaś na brzuchu.

Ona milczy; a im bardziej on się uśmiecha, tym bardziej ona pochmurnieje.

— Czy chcesz przez to powiedzieć, że zmyśliłam całą resztę?

Z rozbawieniem znów trąca ją palcem w nos.

— Wiesz równie dobrze jak ja, że satyrowie zawsze byli czymś mitem.

Jej oczy się zwężają, a ciemne tęczęwki wydają się jeszcze ciemniejsze.

— Tak?

On wciąż się uśmiecha.

– Tak

– Ściskasz mi piersi.

Z westchnieniem odsuwa się od niej. Czuje, że jej nogi rozluźniają uścisk. Potem ona krzyżuje ręce i podnosi na niego wzrok. Wygląda, jakby zawisła nad nią chmura, jakby jej nastrój uległ kompletnej odmianie. A on nadal się uśmiecha.

– Uwielbiam, gdy udajesz, że jesteś zła.

– Jestem zła.

– Ależ. Przecież to tylko żart.

– Czy chcesz powiedzieć, że nie wierzysz w to, co powiedziałam? Tak?

– Dość się już nagadaliśmy.

– Chcę usłyszeć odpowiedź.

– Daj spokój.

– Dobrze by było, gdybyś przestał używać tych wyświechtanych frazesów. – Jej twarz jest pozbawiona jakichkolwiek oznak humoru. – A zatem wierzysz czy nie w to, co ci przed chwilą opowiedziałam?

– Metaforycznie.

Ona wpatruje się w niego zimnymi oczyma.

– A więc teraz tak to ma wyglądać, tak?

On nie uśmiecha się już.

– Nie mam zielonego pojęcia, o czym mówisz.

– A zatem naga prawda, tak?

– Bardzo dobrze wiesz, dlaczego została ci przypisana powieść. Nie miało to nic wspólnego z tym, że wyciągnęłaś krótką słomkę. Po prostu zawsze potrafiłaś kłamać dziesięć razy lepiej niż wszystkie twoje pozostałe siostry razem wzięte.

– Jakie siostry? Ja nie mam żadnych sióstr.

– Oczywiście. Nie nazywasz się Erato i...

– Nie, nie nazywam się Erato! Masz całkowitą rację. Oczywiście satyrowie są czczym mitem. Oczywiście ta groteskowa scena nigdy nie miała miejsca. Zwłaszcza, że wymagała udziału nie jednej, lecz dwu całkowicie mitycznych postaci.

Spogląda na nią z góry; odpowiada mu zawziętym spojrzeniem.

– A co to ma znaczyć?

– Obnażam twoje odwieczne obrzydliwe, męskie zakłamanie, ot co. Powiem ci jeszcze, kim jest współczesny satyr. Otóż jest to ktoś, kto wymyśla kobietę na papierze po to, by zmusić ją żeby mówiła i robiła rzeczy, jakich żadna realna kobieta przy

zdrowych zmysłach nigdy by nie powiedziała ani nie zrobiła.

— Nie wiem, co chcesz przez to...

— Staję na głowie, by zachowywać się tak, jak ty sobie tego życzysz. Tak jak tylko mogę to fizycznie znieść. A jedyna nagroda, jaka mnie w końcu spotyka, to wyśmianie.

— Erato!

— Nie bądź śmieszny. Nie mogę być Erato. Ona nigdy nie istniała. A gdyby nawet istniała, czy sądzisz, że jej noga stanęłaby bliżej niż dziesięć lat świetlnych od tego ohydneho pokoju, nie mówiąc już o tym, że miałyby zdjąć przed tobą szaty i pozwolić... kiedy ty w końcu zmądrzejesz?

— Kim zatem, do diabła, wydaje ci się, że jesteś?

— Nie wydaje mi się, ja wiem. Jestem jeszcze jedną z tych nieszczęsnych fikcyjnych postaci, które twój chory umysł usiłuje stworzyć z niczego. — Odwraca głowę w drugą stronę. — Modłę się, żebyś zrobił swoje i wreszcie z tym skończył. A potem rzuć mnie na swój kolejny stos.

On patrzy z góry na profil na poduszce.

— Fikcyjne postacie nie mogą mieć życzeń. A potrwa to tak długo, jak zechcę. Przepraszam. Tak długo, jak, kurwa, zechcę.

— Wydawało mi się, że twój rodzaj wymarł razem z Imperium Ottomańskim.

— Albo nawet wcześniej. Przecież jesteś nierealna.

Ona znów podnosi na niego swój gniewny wzrok.

— Tylko i wyłącznie dlatego wydaję się realna, że jest twoim kaprysem, by całkowicie nierealna postać, którą mam uosabiać, taka właśnie była. Moje prawdziwe ja w tej sytuacji unikałoby jakiegokolwiek wzmianki o całej tej sprawie, zwłaszcza, że, przede wszystkim, nigdy nie pozwoliłoby postawić się w takiej sytuacji. Gdyby miało wybór. Ale nie ma. Ponieważ nie jest prawdziwe. — Wyciąga ku niemu szyję i potrząsa głową. — Robisz dokładnie to samo co zwykle: gonisz w piętę.

— Bardzo śmieszne. A skąd ty wiesz, co ja zwykle robię?

— Nie wiem.

— Ale przecież właśnie...

Ona odwraca głowę w bok.

— Ja jedynie powtarzam kwestie, które włożysz mi w usta. One są twoje. Nie moje.

— Pieprzysz — mówi, podczas gdy ona nadal z odrazą trzyma głowę odwróconą

w bok. — Jesteś tylko moim słowem? Zwykłym woskiem w moich rękach?

— Wydaje mi się, że tania plastelina jest bardziej stosownym określeniem.

On wciąga powietrze.

— Tak bez cienia własnej woli?

— Dawno już wyszłabym z tego pokoju, gdybym ją miała.

— To znaczy, że mógłbym z tobą zrobić wszystko, a ty byś tylko tak leżała?

— Nie ma tak dobrze. — Prycha. — Znając zgniły harem twojej wyobraźni, kazałbyś mi wić się dookoła siebie i skamleć o więcej.

On rzuca zaczepnie:

— A skąd niby znasz moją wyobraźnię?

— W tej sytuacji określenie "znać" jest epistemologicznym nonsensem.

— Mniejsza o to. Ty go użyłaś.

— Ponieważ twoja wyobraźnia tak prymitywnie goni w piętękę, wystarczy być jej ofiarą zaledwie przez kilka stron, by z łatwością domyślić się, co też stworzy w przyszłości.

— A jak, do diabła, harem może być zgniły?

— Powinieneś spróbować w nim zamieszkać. Zamiast być w nim baszą.

Spogląda na nią z góry.

— Ani jedno z tych słów nie pochodzi ode mnie.

— Za żadne skarby nie chciałabym być częścią twojego dialogu. Z własnej nieprzymuszonej woli. Gdybym taką miała.

— Jeśli cię to interesuje, mówisz dokładnie to, co chcesz i tak, jak chcesz. Czyli tak jak przewrotna, mała suka, która jest tak prostolinijna jak kąt prosty i tak niewinna jak striptizerka.

— Dziękuję.

— Nie dam się zwieść ani na moment. Uwielbiasz takie sytuacje. Najpierw podpuszczasz, a potem uporczywie przeszkadzasz od samego początku. Co więcej, wiesz o tym. Czyż nie?

— Jeśli tak twierdzisz. To znaczy jeśli chcesz, żebym powiedziała: Jeśli tak twierdzisz". Na to wygląda.

— Żądam szczerzej odpowiedzi.

— No, w końcu mówi normalnie.

— Wydaje mi się, że mam prawo do szczerzej odpowiedzi.

— Więc ją wymyśl.

– To na pewno nie ta odpowiedź.

Ona wzrusza ramionami.

– Spróbuj jeszcze raz. Ty tu rządzisz.

Ze złością spogląda na jej odwróconą twarz. Przez chwilę trwa cisza, potem on mówi:

– Właśnie cię przyłapałem.

– Jak?

– Kazałem ci coś zrobić. A ty tego nie zrobiłaś.

– Nie czytam w twoich myślach. Jestem zaledwie nadmuchiwaną lalką.

– Bardzo dobrze. Życzę sobie więc, by nadmuchiwana lalka powiedziała mi, że mnie kocha. Namiętnie. Natychmiast.

– Kocham cię. Namiętnie.

– Nie tak. Z uczuciem. *Con amore*.

– Nie wiem, jak to mogę zrobić.

– Hm, hm.

Spogląda na niego z pogardą.

– To nie moja wina, że jestem tylko zaprogramowaną niewolnicą każdego idiotycznego nastroju, który wymyślisz. Każdego niezdarnego zestawu wyimaginowanych kobiecych reakcji, który dla mnie wykombinujesz. Że nie wspomnę o twojej postaci. Zauważyłam, że nie padło ani jedno słowo na temat jej niezwykle niejasnego statusu. Ciekawe, kto nim dyryguje.

– Ja. Jestem sobą. Nie bądź śmieszna.

Rzuca mu sarkastyczny uśmiezek i odwraca głowę.

– Boże, jaki ty jesteś naiwny.

– To ty jesteś naiwna. Nie kazałbym swej własnej postaci sugerować, że nie jest mną.

– Więc dlaczego cały czas mówi się o nim „on”. Co próbujesz ukryć?

On milczy przez chwilę.

– Posłuchaj, nie zamierzam ciągnąć dalej tych zupełnie nieistotnych bzdur. Cały czas próbujesz wymigać się od odpowiedzi. Dlaczego nie robisz tego, co ci każę?

– Zapewne fizycznie mogłabym udać namiętność. Zacząć obłapiać cię i jęczeć. Czy to by wystarczyło?

– Nie wystarczyłoby.

– A zatem niech twoja postać spróbuje. Każ jemu powiedzieć, że namiętnie

mnie kocha. — Znów odwraca głowę na poduszce. — Czekam.

— Wiem, co cię boli. Jesteś klasycznym przykładem ponuraka. Kiedy tylko coś ci się zaczyna podobać, masz poczucie winy. Uciekasz w te bzdury o realności i nierealności.

— Na twoim miejscu nie zaczynałabym rozmowy na ten temat.

— To znaczy?

— Mój Boże, kiedy pomyślę, że w tym wieku, w tej epoce... to jest żalosne. Świat pełen jest znaczących damsko-męskich sytuacji, których literackie wykorzystanie spełnia istotną funkcję socjologiczną, a co ty masz do powiedzenia? Muzy... to znaczy, Jezu! Jakież to żenujące. Czy którakolwiek realna współczesna kobieta mówiłaby tym idiotycznie mdlejącym, zażenowanym językiem o pasterzach i fujarkach, i...

— Kobiety, które mówią o wykorzystaniu, które spełnia istotne funkcje socjologiczne, są równie złe.

— Tak, wiem, że to bardzo niegodziwe z naszej strony, kiedy pokazujemy, że potrafimy myśleć. Co dalej?

— Złośliwie i sadystycznie łamiesz wszelkie ustalone reguły.

Ona gwałtownie odwraca gniewną twarz.

— Twoje reguły.

— W porządku. Moje reguły.

Ona znów odwraca głowę.

— Mam ich już szczerze dość. Dość udawania, że istnieję, i to w sposób, na jaki nigdy bym nie przystała, gdybym istniała naprawdę.

— Ależ, do cholery, istniejesz. Przynajmniej dla mnie. Właśnie taka.

— Heil Hitler.

— W porządku. Niech ci będzie: Hitler mówi, że istniejesz. Właśnie taka.

— Nie może. Trzeba mieć pewną elementarną swobodę, by istnieć.

— Jeśli chcesz wiedzieć, gdyby ktoś nas usłyszał, dawno już by sobie pomyślał, że jesteś realna. Cholernie zbyt realna.

— A jeżeli ty chcesz wiedzieć, jesteś najbardziej niezgrabnym, nieprzyjemnym i nieszczerym facetem, z jakim kiedykolwiek poszłam do łóżka.

— To najlepszy przykład twojej oślej kobiecej logiki! W jednej chwili nie istniejesz, a w drugiej pieprzysz się z tabunem facetów. Zdecyduj się na coś, do diabła.

— Jestem w pełni zdolna dokonać porównania, którego mogłabym dokonać,

gdybym kiedyś istniała, tak jak teraz istnieję. Gdybym była.

— Nie możesz nie istnieć i zarazem być. To się wzajemnie wyklucza.

— Rozumiem. Zostałam pozbawiona nawet prawa do wyobraźni.

— O Boże. Poddaję się.

— Nie wolno mi nawet pomyśleć, kim mogłam być, gdyby nie pech, że zostałam stworzona przez ciebie. Nie mogę pomyśleć o tych wszystkich sympatycznych, inteligentnych, pracowitych artystach, którzy mogli wymyślić mnie wcześniej. Zamiast tego musiałam wybrać to jedno jedyne zgniłe jabłko, tego urodzonego nieudacznika, tego słonia w składzie porcelany, który i za miliard lat nie byłby w stanie docenić mojej delikatności i subtelności.

— Ty niewdzięcznico... beze mnie byłabyś nikim!

— Modłę się, żeby tak było. Przy tobie jestem gorzej niż nikim. — Spogląda na niego z pogardą. — Prawda jest taka, że nie zaczynasz nawet rozumieć mojego potencjału. — Odwraca głowę. — Nie winię cię za to. Biorąc pod uwagę twoją niezręczność, nie widzę takiej możliwości.

— Co chcesz przez to powiedzieć? Jaką niezręczność?

— Niewątpliwie umknęło to twojej uwagi, lecz nie umknęłoby uwagi jakiegoś postronnego obserwatora będącego świadkiem tej sceny, że pozostajemy oboje w absurdalnie niestosownej pozycji seksualnej.

— Jest na to lekarstwo.

On gwałtownie podnosi się i odchodzi od łóżka; wraca do krzesła, siada na nim i składa ręce, a potem zakłada nogę na nogę. Intensywnie wpatruje się w ścianę po drugiej stronie pokoju. Ona rzuca mu skupione spojrzenie, po czym podnosi się na łokciu i odwraca do niego plecami. Panuje cisza. W końcu ona odzywa się bezbarwnym, matowym głosem:

— Jeśli nie jest to dla ciebie zbyt wiele, czy nie mógłbyś choć raz wymyślić czegoś praktycznego? Na przykład jakiegoś ubrania dla mnie. Mogłabym je założyć i pójść sobie. Cokolwiek. Choćby i szlafrok.

— Najpierw ja mam coś do powiedzenia.

— Wszystko już zostało powiedziane. *Ad nauseam*.

— Nie, nie zostało. — Naga kobieta cicho wzdycha, po czym w geście rezygnacji zgina rękę w łokciu i kładzie zaciśniętą lewą pięść na biodrze. On spogląda na jej plecy, a potem odzywa się cichszym głosem: — Przyznaję, że popełniłem jeden poważny błąd. Nie w stosunku do ciebie, w stosunku do niej. W porządku, być może

ona nie istnieje w sensie historycznym czy naukowym. Ale twój subtelny umysł zgodzi się, że stała się swego rodzaju istotą apostofoficzną, bytem prozopopeicznym.

— Nie przeszkadzaj sobie. Byłabym wdzięczna, gdybyś spróbował przestać mówić tak słownikowo.

On wciąga powietrze.

— Ale ponieważ ona nie istnieje i oboje zgadzamy się, że ty nie jesteś nią, mogę mówić otwarcie. Mój błąd polegał na tym, że przedstawiłem, gdyby naprawdę istniała, taką całkowicie niemoralną i namolną starą zdzirę pod postacią tak atrakcyjnej, przynajmniej zewnętrznie, dziewczyny jak ty. Kim stałaby się do dzisiaj, gdyby naprawdę kiedyś istniała? Byłaby nocną przygodą byle pisarzyny, parą wiecznie, od czterech tysięcy lat, rozstawionych nóg. Powinienem być z niej zrobić wymalowaną, starą, syfilityczną wiedźmę. To przynajmniej nie byłoby dalekie od prawdy. Czyż nie?

— Czy już skończyliśmy?

— Co więcej, powinna była, gdyby naprawdę istniała, spróbować rozeznaczyć rynek pod swoim kątem. Spróbować zapukać do paru drzwi. "Cześć. Nazywam się Erato. Sprzedaję inspirację do krainy ułudy. Czy mogłabym zainteresować cię epitalamium? Czy mogę zaprezentować ci naszą nową tanią serię alcejskich strof na indywidualne zamówienie?" Każdy roześmiałby się jej w twarz. Jeśli nie pomyślałby sobie, że uciekła z najbliższego szpitala dla czubków. — Przygląda się odwróconym plecami. — W każdym bądź razie, wszystko to, co robiła, można dzisiaj zrobić za pomocą komputera i edytora tekstu, i to pięćdziesiąt razy lepiej. Nawet odrobinę współczuję tej biednej, starej, wydojonej krowie. Gdyby naprawdę istniała.

Tym razem to dziewczyna na łóżku głęboko wciąga powietrze. Lecz nadal pozostaje niemo wpatrzona w kąt pokoju.

— Wystarczy, że spojrzę na ciebie, gdy tak leżysz w pozie Wenus z Rokesby, a widzę, jakie to było idiotyczne. Oczywiście, do dzisiaj byłaby jakimś starym babskiem okutanym w pelerynę, myszkującym po śmietnikach i mruczącym coś do siebie... gdyby naprawdę istniała.

To nieco nagłe zakończenie (lub apozjopeza) spowodowane jest wcześniejszym poruszeniem postaci na łóżku. Na dźwięk imienia Wenus z Rokesby odwraca się i siada. Ręce ma założone, usta zaciśnięte; przygląda się mężczyźnie na krześle wzrokiem twardym jak obsydian.

— Czy teraz całkiem już skończyłeś?

— Tak.

— Założę się, że wiele by dała, by być wymalowaną, starą wiedźmą. Wtedy przynajmniej mogłaby się wycofać. Gdzieś, gdzie nie istnieją mężczyźni.

— To i tak nie miałyby przecież znaczenia. Ponieważ ona również nie istnieje.

— Ja tylko wychodzę z twojego założenia.

— Co jest niesłychanie hipotetyczne.

— I typowo szowinistyczne.

On odchyła głowę i przypatruje się zgiętym palcom swej nogi.

— Ciekawe, że to mówisz.

— Że biorę stronę mojej płci?

— Bo gdyby naprawdę istniała, a nie było jej tutaj, znaczyłoby to, że całą czarną robotę zostawia tobie. Przecież to twoje ciało doznaje haniebnego upodlenia seksualnego, gdy musi zaspokoić moje żądze. A to by znaczyło, że nie jest lepsza od stręczycielki. Nie?

— Widzę, że w bardzo charakterystyczny dla siebie sposób całkowicie pomijasz jej kontekst historyczny.

— Nie bardzo podoba mi się ten czysto teoretyczny element, który wprowadzasz.

— W przeciwieństwie do ciebie, ja posiadam dużą zdolność empatii. Próbuję postawić się w jej egzystencjalnej sytuacji.

— Gdyby taka istniała. — Ona unosi oczy ku górze. — Oboje musimy pamiętać, że prowadzimy całkowicie abstrakcyjną i nierealną dysputę. Na dobrą sprawę taką samą jak stary scholastyczny spór o to, ile aniołów może zagrać w klasy na główce od szpilki. — On rozkłada ręce. — Udzielam ci głosu.

Ona przygląda mu się.

— Domyślam się, że nigdy nie przyszło ci do głowy, jakaż to by była makabra, gdyby taka sytuacja zaistniała naprawdę. Musieć funkcjonować w roli, która kłóci się ze wszystkimi normalnymi prawami biologii. Zdana sama na siebie. Żadnej pomocy z zewnątrz, ani jednego dnia wypoczynku. Cały czas musieć ubierać się a to tak, a to siak. Niesłychana nuda. Monotonia. Schizofrenia. Dzień po dniu maltretowana w ludzkich umysłach, nie zrozumiana, trawestowana, poniżana. I ani słowa podziękii. Nigdy...

— Chwileczkę. A co...

Ona unosi głos.

— Nikt nie myśli o niej jako o istocie, a tylko o tym, ile da się z niej wycisnąć.

Ani chwili zastanowienia nad jej odczuciami. Nigdy nie staje wyobraźni, by uświadomić sobie, że może w sekrecie marzyć o odrobinie czułości i sympatii, że też jest kobietą i nic na to nie może poradzić, jeżeli pewne sploty okoliczności i nastroju spowodują, że nagle, w całkiem naturalnie kobiecy sposób, zapragnie usług męskiego ciała, co, przy okazji, nie ma nic wspólnego z poniżeniem, i... — Nabiera powietrza. — Ale jakież to może mieć znaczenie, jeżeli jego lordowska mość, kimkolwiek by on był, chce czegoś innego. Jeżeli ma akurat chętkę na swoje zabawy, pozostawiając ją...

— Ja tego nie zacząłem.

— Wyłąby zawiedziona. — Ona odwraca głowę ku ścianie. — Gdyby, oczywiście, istniała.

— Ten szlafrok. Czy jest jakiś konkretny kolor lub materiał, na który masz ochotę? — pyta on, przypatrując się swojej przekrzywionej stopie.

— Nienawidzę cię.

— A zatem co byś powiedziała na zielony?

— Bardzo by ci się to podobało, co? Ma czelność protestować przeciwko traktowaniu jej jako obiektu seksualnego, a więc won. Wyrzucić ją w nicość jak stary, zużyty kapeć.

— Sama prosiłaś, minutę temu.

Przez chwilę patrzy na niego wściekłym wzrokiem, a potem znów gwałtownie obraca się na bok; plecami do niego, i wpatruje się w przeciwległą ścianę.

— Nie powiem już ani jednego słowa. Jesteś nieznośny. — Cisza trwa pięć sekund. — Jesteś jak wszyscy mężczyźni. Kiedy tylko ten absurdalny kawałek dyndającej tkanki pomiędzy waszymi nogami dostanie swoją porcję uciechy, jedyne, co chodzi wam po głowie, to jak tu najszybciej się nas pozbyć.

— Gdyby to było prawdą, dawno już bym się ciebie pozbył. Właśnie przekonałaś mnie, że mogę zrobić to, na co tylko mam ochotę.

— Dokładnie!

— Dokładnie co?

— Jestem pozbawiona wszelkich praw. Wykorzystywanie seksualne jest niczym w porównaniu z wykorzystywaniem ontologicznym. Jeśli zechcesz, możesz mnie uśmiercić w pięciu linijkach. Wyrzucić mnie do kosza, nigdy już o mnie nie pomyśleć.

— Na to się chyba nie zanosz.

— Zanosz, zanosz. Tak jak ze wszystkimi innymi.

— Jakimi innymi?!

— Och, nie bądź taki niedorzeczny. — Rzuca mu przez ramię pogardliwe spojrzenie. — Czy chcesz przez to powiedzieć, że jestem pierwsza?

— Możliwe... że nie jesteś pierwsza.

— I możliwe, że nie jestem ostatnia.

— To jest możliwe.

— A zatem jest bardziej niż prawdopodobne, że jestem zaledwie ostatnią z całej serii wyimaginowanych nieszczęśnic, które miały pecha wpaść ci w ręce. Po to tylko, by zostać porzucone w chwili, gdy ktoś bardziej atrakcyjny pojawi się na horyzoncie.

— Dla uściślenia, nasze wzajemne stosunki były i pozostają nadal głęboko ludzkie i przynoszą wiele satysfakcji obu stronom. Pozostajemy wspaniałymi przyjaciółmi.

— Dla mnie brzmi to jak pierwszorzędna gromada żeńskich lizodupców.

— Nie będę odpowiadał na inwektywy.

— A to ci niespodzianka.

— Nie dalej jak kilka dni temu jedna z nich powiedziała mi, że według niej pozostawiłem jej o wiele za dużo swobody w naszym związku.

— Zanim ją wykończyłeś.

— Nie wykańczam moich przyjaciółek.

— Nieczęsto. Tylko je kolekcjonujesz i mumifikujesz. Zamykasz je w piwnicy i pożerasz wzrokiem jak Sinobrody.

— Uważam, że jest to bardzo ohydne porównanie.

— Z powodu jeszcze bardziej ohydneho nawyku. Znanego też pod nazwą nekrofilii.

On wstaje.

— W porządku. Wystarczy. Właśnie powiedziałaś, że wolałabyś być nikim beze mnie niż gorzej niż nikim ze mną. A więc gra. Twój wybór. Tam są drzwi. — Wyciąga kciuk w stronę drzwi. — Wisi na nich zielony szlafrok. Zupełnie prosty. Wstajesz z łóżka, podchodzisz do drzwi, zakładasz szlafrok, wychodzisz, zapominamy o całej sprawie. Nigdy się nie wydarzyła. Twój ruch.

Ona rzuca spojrzenie w stronę drzwi, a potem jeszcze raz odwraca głowę. Panuje cisza. Odrobinię podciąga nogi, odwraca się nieznacznie.

— Zimno mi.

On idzie i bierze zielony szlafrok, wraca do łóżka i niedbale zarzuca jej na ramiona. Potem znowu siada na krześle. Ona milczy, lecz po chwili, osobliwie wolno,

jakby miała nadzieję, że on nie zauważy, pozwala swemu ciału opaść, a twarzy zagłębić się w poduszki. Narasta cisza. Jej lewa ręka ukradkiem wysuwa się spod szlafroka i dotyka oczu. Następuje nieśmiały, stłumiony wydech. On wstaje, znów podchodzi do łóżka, niezdecydowanie wyciąga rękę w stronę jej ramienia, potem zmienia zamiar. Kolejny stłumiony wydech. On siada na krawędzi łóżka, tyłem do niej. Nie dotyka jej; jego słowa brzmią bardziej neutralnie.

— Nie jesteśmy za bardzo konsekwentni. Jej głos jest prawie szeptem, brzmi, jakby miał się zaraz załamać.

— To dlatego, że nigdy nie chcesz przyznać, że nie masz racji. Jesteś dla mnie taki niemiły. Nawet nie wiesz, jaka się czuję samotna.

— Obojgu nam się to podobało. Aż do chwili, gdy ty...

— Nie może mi się to podobać, kiedy nie wiem, na czym stoję. Kiedy nie wiem, kim naprawdę mam być. Kiedy wiem, że to się może skończyć lada moment.

— Wcale nie miałem zamiaru tego kończyć.

— Tak, ale skąd ja miałam o tym wiedzieć?

— To było bardzo przyjemnie drażniące.

— Nie, nie było. Cały czas wbijałeś mi szpile. Wykorzystywałeś moją bezbronność.

— Obawiam się, że zaczynasz popadać w paranoję.

— Wcale nie. — On czuje, jak ona się obraca; rozgląda się wkoło. Spogląda na niego spod szlafroka, oczy ma nadal wilgotne; jest uosobieniem twarzy każdej kobiety skrzywdzonej i bezbronnej od początku czasu. — Kilka godzin temu w ogóle jeszcze nie istniałam. Jestem niewinna jak niemowlę. Nie zdajesz sobie z tego sprawy.

Łzy w oczach czynią tę twarz jeszcze piękniejszą i bardziej pociągającą. On odwraca się gwałtownie.

— Ja tego nie zacząłem.

— Zacząłeś. To ty najpierw włożyłeś mi w usta tę idiotyczną gadkę o satyrze, a potem natychmiast oskarżyłeś mnie o to, że kłamię. Że jestem niewinna jak striptizerka. Jakby alfons oskarżał jedną ze swych dziewczyn o to, że jest dziwką.

— Cofam te słowa. Wymazuję je.

— Zaczęłam się nagle zastanawiać, co ja tutaj robię, dlaczego pozwalam temu zupełnie obcemu facetowi tak mnie poniżać i znieważać, wypaczać mój prawdziwy obraz. To znaczy, wiem, że technicznie jestem nikim. Ale wiem, kim bym mogła być, gdybym nie była. Znam swoją prawdziwą, poważną naturę.

– Powiedziałem już, że pomyliłem się co do niej, Erato.
– Ona mnie nie obchodzi. Myślę o sobie.
– W porządku.
– Ja nie jestem taka. Wiem, że nie.
– Powiedziałem: “w porządku”.
– Ale to było takie brutalne. Takie rażące.
– Godzę się przyznać, że uczynienie cię tak piękną było z mej strony błędem.
– Widzę, że zupełnie nie masz pojęcia, jakie są kobiety mego pokroju.
– Zdaję sobie sprawę, że powinienem dać ci ciężki podbródek, tłuste nogi, zeza, trądzik, nieświeży oddech... nie wiem, co jeszcze. Cokolwiek, na tle czego twa prawdziwa, poważna natura błyszczałaby pełnym blaskiem.

Zapada cisza.

– Teraz jest już na to za późno.
– Niby dlaczego? Tak sobie myślę. Już dwukrotnie zmieniałem twój wygląd. Tym razem, oczywiście, stałoby się to po konsultacji z tobą. Mogłabyś szczegółowo określić, w jaki sposób chcesz stać się kompletnie nieatrakcyjna dla mężczyzn.

– Zmieniłeś mi tylko ubranie. A nie ciało. To byłoby absurdem.
– Zawsze mógłbym uciec się do *deus ex machina*. Niech pomyślę. Wychodzimy stąd, odjeżdżamy razem, mamy straszny wypadek samochodowy, jesteś okaleczona i do końca życia przeraźliwie oszpecona, ja znów cierpię na całkowity zanik pamięci, dziesięć lat później przypadkiem znów się spotykamy, ty jesteś na wózku, a ja zakochuję się w tobie. Rzecz jasna, jest to czysto duchowe uczucie.

Ukradkiem zerka na jej twarz. Jest odwrócona, oparta na poduszce. Łzy obeschły, lecz widać na niej coś, co przypomina nadąsaną minę dziecka po napadzie wściekłości; te pierwsze smutne przecucia dorosłości. Kiedy się odzywa, jej głos brzmi cicho i opanowanie.

– Wydawało mi się, że próbujesz zachować klasyczne jedności.
– Z Erato, tak. Ale teraz, kiedy już z niej zrezygnowaliśmy...
– Wydaje mi się to bardzo naciągane. Wypadek samochodowy.
– A co byś powiedziała na jedno z tych wspaniale nie rozstrzygniętych zakończeń?

Ona odpowiada po chwili:

– Nie bardzo wiem, co masz na myśli.
– Znalazłem! Nasz związek nie wypalił. Okazujemy, jacy jesteśmy wspaniale

dojrzały i współcześni, zgadzając się, że to była pomyłka. Ubieramy się, wychodzimy... widzę to, zaczyna mi się to podobać. Wychodzimy, opuszczamy szpital, przechodzimy przez dziedziniec, zatrzymujemy się na ulicy. Po prostu mężczyzna i kobieta w świecie, w którym i tak wszystko jest pomyłką. Nie możemy nawet złapać dwóch taksówek. Nie ma to zresztą większego znaczenia; oboje pocujemy niesłychaną ulgę na myśl, że już nigdy się nie spotkamy. Ty byś powiedziała "hm...", a ja bym odpowiedział jakimś komunałem, też jakimś "hm...". Skwitowalibyśmy naszą banalność przelotnym i wymuszonym uśmiechem, a potem podalibyśmy sobie ręce. Następnie odwrócilibyśmy się do siebie plecami i odeszlibyśmy w przeciwnych kierunkach. Być może rzuciłbym ostatnie ukradkowe spojrzenie, ale ty zniknęłabyś już po wsze czasy w przelewającym się tłumie przechodniów i smrodzie samochodowych wylęgów. Nie musiałbym wyartykułować morału. Wkraczam w przyszłość i zaczynam wszystko od nowa. Jak to brzmi? — Jednak zanim ona zdąży odpowiedzieć, on ciągnie dalej: — Krytycy byłiby wniebowzięci. Oni uwielbiają zwyczajne zakończenia. Bo to świadczy o tym, jak dzielnie oni prowadzą niezwykłe życie.

Ona nie odzywa się przez dłuższą chwilę. Potem podnosi się na łokciu i dotyka ostatnich śladów wilgoci w kącikach oczu.

— Czy nie mógłbyś wymyślić jakichś papierosów, ognia i popielniczki?

On wstaje opieszale jak gospodarz zaniedbujący swe obowiązki.

— Oczywiście. Jakiś konkretny gatunek?

— Mam wrażenie, że smakowałyby mi tureckie.

— Może trawka?

Ona zaprzecza szybkim ruchem głowy.

— Nie, nie. Jestem pewna, że ten okres mam już za sobą.

— W porządku.

On trzykrotnie szybko strzela palcami. Natychmiast na łóżku obok niej pojawia się popielniczka z onyksu, złota zapalniczka i srebrna papierośnica. Pojawiają się tak nagle, że ona cofa się zaskoczona. Wyjmuje z pudełka papierosa o lekko spłaszczonym kształcie. On przechyla się, podnosi zapalniczkę i wyciąga rękę z płomieniem w jej kierunku. Ona wypuszcza dym, a następnie trzyma papierosa w odchylonej dłoni.

— Dzięki.

Przyciskając szlafrok do piersi, unosi się i siada; potem starannie przytrzymuje go pod pachami. On pochyła się nad nią z z troskaniem.

— Coś jeszcze?

Rzuca jego dociekliwej twarzy nieśmiałe, nieco smutne spojrzenie.

— Właściwie... mam nadzieję, że to nie będzie zbyt wielki kłopot. Zdaje się, że jestem odrobinę krótkowzroczna.

— Moje drogie dziewczę. Trzeba było od razu powiedzieć. Czy jakiś konkretny rodzaj oprawek?

Ona wpatruje się w drzwi i zaciąga papierosem; potem wypuszcza dym. Kolejne nieśmiałe spojrzenie na niego.

— Zwykle nosiłam te z dużymi, okrągłymi, niebieskimi szklami. Cienka złota ramka. Zdaje się, że optycy nazywają je "Jane Austen".

— Takie? — On wyciąga rękę z okularami.

— Wspaniale. To bardzo miło z twojej strony. — Ona zakłada je, poprawia na uszach, a potem spogląda na niego z zażenowanym uśmiechem. — To śmieszne. Te wszystkie drobiazgi.

— Nie ma o czym mówić. Coś jeszcze?

— Nie chcę ci sprawiać kłopotu.

— Proszę, śmiało.

— Ten zielony kolor. — Dotyka szlafroka. — To chyba nie dla mnie.

— Wybieraj.

— Coś w kolorze ciemnego wina? W kolorze soku morwy? Nie wiem, czy pamiętasz ten kawałek z Prousta... o, wspaniale. Znakomicie. Dokładnie to, o co mi chodziło. Bardzo ci dziękuję.

— Kawy?

— Nie. — Porusza ręką z papierosem. — To wystarczy.

— Nie ma problemu. Linijka w tę czy w tę...

— Naprawdę. Jeszcze raz dziękuję.

Przez kilka chwil pali w milczeniu, wpatrując się w swe białe stopy wystające spod nowego szlafroka. On siedzi na krześle. W końcu ona podnosi wzrok. Na twarzy ma niepewny uśmiech.

— Miles, nie chciałabym wszczynać kolejnej kłótni... czy mogę ci mówić Miles?

— Bardzo proszę.

— Chwilę temu byłeś taki miły, by zasugerować, że, mimo to, iż tak naprawdę nie istnieję, mogę mieć coś do powiedzenia, zdaje się, że nazwałeś to konsultacją, w naszym związku.

– Jak najbardziej. To, co powiedziałaś na temat pewnych elementarnych swobód... aluzja została zrozumiana.

– Z wyjątkiem, to znaczy, wybacz mi, że wracam do topora wojennego, który oboje zgodziliśmy się zakopać, ale nadal mam wrażenie, że ty ustanawiasz prawa co do naszej wspólnej przyszłości.

– To ostatnia rzecz, jaka przyszlaby mi do głowy. To był tylko taki pomysł. Zaproszenie do dyskusji. Nie podoba ci się?

Ona wygładza szlafrok.

– Chodzi o to, że wydaje mi się, iż byłbyś bardziej przekonujący, gdybyś uznał, że wszystko, co zaszło do tej pory, było pewnym rodzajem surrealistycznej przedmowy czy, jeśli wolisz, odwróceniem normalnego toku narracji do zupełnie innego rodzaju związku między nami, w znacznie bardziej realistycznym kontekście zewnętrznym. – Wygładza szlafrok na nogach. – Związku, w którym spotkalibyśmy się w zupełnie zwyczajny sposób i rozwinęłaby się między nami zupełnie zwyczajna przyjaźń. To znaczy, bez żadnych podtekstów. Być może od czasu do czasu wybralibyśmy się do teatru. Podyskutowali o książkach. Poszli na jakąś wystawę czy coś takiego.

– Aha.

– A ponieważ wszystkie te nudne sceny łóżkowe ograniczyłyby się do wymyślnego wstępu, mógłbyś wprowadzić o wiele spokojniejszy i bardziej współczesny nastrój i skoncentrować się na naprawdę poważnych i doniosłych rzeczach. Nasze korzenie kulturowe. Polityka. Problemy takie, jak aborcja i wzrost przestępczości. Rozbrojenie nuklearne. Ekologia. Wieloryby. Zdrowa żywność. Cokolwiek to było, przeszkodziło nam we wzajemnym oddaniu się sobie.

– Te subtelne niuanse liberalnego *Angst*.

– Dokładnie.

– Czy widzisz jakieś... korzenie kulturowe dla siebie?

– Chyba chciałabym być... hm, może absolwentką anglistyki? Cambridge? Myślę, że mogłabym napisać jeden czy dwa, nie bardzo udane pod względem komercyjnym, za to cieszące się dużym uznaniem w pewnych kręgach, tomiki poezji. Coś takiego. Być może mogłabym być współwydawcą jednego z magazynów literackich.

– Czyli typ dziewczyny na luzie, wymagającej, moralnie drobiazgowej.

– Jeśli nie wydaje ci się to zbyt próżne. Zbyt drobiazgowo.

– Ależ skąd.

Ona skromnie spuszcza wzrok.

— Dziękuję.

— A ja?

Ona strzepuje popiół do onyksowej popielniczki.

— Właściwie widzę cię jako jednego z tych zamożnych biznesmenów z mglistymi inklinacjami artystycznymi. Nie bardzo wiesz, co ze mną począć, z moim światem, w gruncie rzeczy ze wszystkim, co nie dotyczy twojego biura. I robienia pieniędzy. Jesteś trochę zakłopotany, a nawet lękasz się mnie i mojego wyrafinowania, mego o wiele bardziej intelektualnego świata. Wiesz — dodaje szybko — oczywiście, tylko po to, by nakreślić jakiś wiarygodny kontrast do obecnej sytuacji.

— Rozumiem.

Spogląda na niego przez chwilę zza swych błękitnych szkieł, potem podnosi rękę i przygląda rozwichrzone włosy, po czym znów dyskretnie otula się szlafrokiem.

— Miles, teraz, kiedy jesteśmy w stosunku do siebie bardziej otwarci, chciałabym powiedzieć ci jedną rzecz. Mam wrażenie, że kilka minut temu niepotrzebnie się uniosłam. W gruncie rzeczy trochę ci współczuję z powodu twoich problemów. Zwłaszcza że zdaję sobie sprawę z tego, iż jestem jednym z nich. Rozumiem, jak wielki stres wszechogarniająca kapitalistyczna hegemonia nakłada na sprawy seksu. Jak trudno jest się z tego wyzwolić. — Podciąga kolana i siada z lekko na bok podwiniętymi nogami pod purpurowym szlafrokiem. Potem rzuca mu przez okulary nieco sowie, choć szczere spojrzenie. — Chodzi mi o to, żebyś to robił po swojemu. Jeśli sądzisz, że moja koncepcja jest dla ciebie za trudna. Niewykluczone, że tak jest.

— Tym niemniej chciałbym spróbować.

— Naprawdę, nie nalegam.

— Uważam, że jesteś niesłuchanie wyrozumiała, biorąc pod uwagę to całe zamieszanie, które spowodowałem.

— Zdaję sobie sprawę z tego, że ktoś musi brać, a ktoś musi dawać.

— Tylko że jak do tej pory, to ja byłem tą biorącą stroną.

Ona wzrusza ramionami.

— Ale ponieważ technicznie ja nie istnieję...

— Ależ istniejesz. Właśnie udowodniłaś, że masz własną wolę.

Na jej twarzy pojawia się nieznaczny grymas, dłonią czyni gest dezaprobaty.

— Obawiam się, że trudno to nazwać wolą. Raczej podszeptem instynktu.

Przez chwilę panuje cisza. Ona po raz kolejny wygładza purpurowe okrycie.

— To naprawdę fantastyczny kolor. Uwielbiam fioletową purpurę.

— To dobrze.

Ona milknie, po czym podejmuje poważniejszy wątek ich rozmowy.

— Nie chcę też, żebyś miał jakieś wyrzuty sumienia z powodu... brania. Nie jestem tak całkiem nieświadoma uwarunkowań biologicznych. Za żadne skarby nie chciałabym, żebyś sądził, że jestem jeszcze jedną z tych Niebieskich Pończoch*. Niektóre twoje pieszczoty... na pewno zauważyłeś. To, co kazałeś mi zrobić na początku, na przekór mnie samej... coś we mnie poruszyło.

— Obawiam się, że to tylko pogarsza sprawę. Bo ja cię najnormalniej w świecie wykorzystałem. Jako kobietę.

— Ja też nie byłam święta. Ta historia z satyrem... — Zakrywa oczy w geście odrazy.

— To ja ją sprowokowałem.

— Wiem, ale ja mocno ją rozbudowałam. A przecież nie powinnam była w ogóle się zgodzić, by ją opowiedzieć. Mam szczerą nadzieję, że wyrzucisz ten kawałek, jeśli kiedykolwiek... no wiesz.

— To była moja wina.

— Moja też.

— Zbyt surowo się oceniasz.

— Nie wydaje mi się. — Na powrót zaczyna wygładzać szlafrok, tym razem na kolanie. — To dlatego, że od razu wrzuciłeś mnie na głęboką wodę. Seksualnie. Zaskoczyło mnie to. W jakiś sposób czułam, od pierwszej strony mego istnienia, że w gruncie rzeczy jestem raczej nieśmiałą osobą, mimo, że byłam podobno całkiem pociągająca dla mężczyzn.

— Bardzo pociągająca.

— Poważnie, wolałabym być "podobno". Nie bez pewnej dozy drzemiącej we mnie zmysłowości, ale zdecydowanie nie nazbyt *voulu*. Osoba, którą trzeba rozbudzać wolno i delikatnie.

— Rozumiem.

Ona wzrok ma nadal opuszczony.

— Chcę ci powiedzieć, że wydaje mi się, iż gdybyś nalegał, w przyszłości

byłabym w stanie pójść na pewien kompromis dotyczący natury naszego związku. Gdybyśmy się lepiej poznali.

— Mówisz o tym związku, w którym ty jesteś intelektualną damą, a ja tępym biznesmenem?

Rzuca mu niespokojne spojrzenie, pełne zdumionej szczerości.

— Proszę cię, wcale tak nie powiedziałam, Miles. Nie tępym. Gdybyś taki był, ja oczywiście... moja postać nawet by na ciebie nie spojrziała. Bardzo miły człowiek, na swój sposób. Tylko odrobinę... ograniczony i zdeformowany przez swoje środowisko i zawód.

— Nie bardzo rozumiem, jaki kompromis miałas na myśli.

— Gdybyś chciał, żeby ich związek... nazywając rzeczy po imieniu, miał na końcu bardziej jawnie fizyczny charakter.

— Żeby poszli do łóżka?

— Jeśli tak to chcesz nazwać.

— Ona wydała mi się na to nieco zbyt wybredna.

— Och, byłaby, przez bardzo długi czas. Z pewnością przez wiele rozdziałów. Może nawet do samego końca.

— Punkt kulminacyjny?

Ona spogląda w dół, lecz na twarzy błąka jej się lekki uśmieszek.

— Jesteś niepoprawny.

— To nie było zamierzone.

— Jestem pewna, że było. Ale mniejsza o to.

— Nadal nie jestem pewien, jak by się to miało stać. Biorąc pod uwagę cechy bohatera.

— Nie ja o tym decyduję. To twoja działka.

— Chciałbym, żebyś i ty się do tego włączyła. Ponownie spogląda w dół.

— To wydaje się takie absurdalne. Tak jak uczyć księdza pacierza. Przecież ty jesteś o wiele bardziej doświadczony. Bardzo boleśnie czuję, jaka jestem młoda. Przecież mam dopiero kilka stron życia.

— To nie ma znaczenia. Szybko się uczysz.

— Miej litość.

— Nic z tego. Mówię poważnie.

* Niebieska Pończocha — wpływowa kobieta o wyrafinowanych gustach literackich. Nazwa wywodzi się od osiemnastowiecznych elitarnych spotkań literackich, których uczestnicy często nosili — modne wówczas —

Ona przez chwilę milczy, potem zerka na niego.

— Jesteś absolutnie pewny?

— Absolutnie.

Ona gasi papierosa.

— A więc proszę bardzo, coś na poczekaniu... Może jakiś kryzys naszego związku, robisz się coraz bardziej natarczywy, chcesz zostawić dla mnie swoją żonę...

— Jaką żonę?

Zdziwiona unosi wzrok.

— Wymyśliłam sobie, że jesteś żonaty. Tak to widzę.

— Chciałbym wiedzieć o takich rzeczach zawczasu.

Ona zakłada ręce i wpatruje się w drzwi.

— Wracając do rzeczy, pewnej gorącej letniej nocy przyjeżdżasz do mojego mieszkania w Knightsbridge*, by po raz ostatni wytłumaczyć mi, dlaczego mnie kochasz, dlaczego ja powinnam ciebie kochać i tak dalej. Przypadkiem jestem już w łóżku i mam na sobie tylko krótką nocną koszulę. — Waha się przez chwilę, po czym wskazuje na szlafrok. — Albo to. Nie ma znaczenia. Jest duszno, grzmi, nie chcę cię wpuścić do środka, lecz ty nalegasz i nagle tracisz nad sobą panowanie, twoja uprzednia nieśmiałość zmienia się w mroczną żądzę, twoja męskość eksploduje, bez słowa wpadasz i zdzierasza delikatną materię z moich nagich ramion, ja krzyczę, szamoczę się i wrywam, udaje mi się dopaść oszklonych drzwi i... wypadam na zewnątrz w strugi parującego deszczu, ty...

— Rzec dzieje się na parterze?

— Tak, oczywiście. Jasne.

— Boję się tylko, co będzie z sąsiadami, jeśli zaczniesz krzyczeć.

— W porządku, cedzę przez zęby słowa żarliwej nienawiści. Nie dopracowałam jeszcze wszystkich detali, Miles.

— Przerwałam ci. Przepraszam.

— Robię to pierwszy raz w życiu.

— Przepraszam.

— Zapomniałam, gdzie stanęłam.

— Za szklanymi drzwiami. W strugach parującego deszczu.

— Wbiegam na trawnik, lecz jesteś zbyt zwinny i silny, zbyt zwierzęcy,

niebieskie pończochy (przyp. tłum.).

* Knightsbridge — jedna z eleganckich dzielnic centralnego Londynu (przyp. tłum.).

chwytasz mnie i rzucasz na miękką darń, wykręcam się i walczę, lecz wbrew mojej woli brutalnie mnie bierzesz, łkam, gdy twoja wezbrana chuć gwałci moje najbardziej niewzruszone zasady. — Przerzywa na moment. — Tak to z grubsza wygląda.

— Podoba mi się ta miękka darń. Jest jednak jedna rzecz...

— Tak?

— Wydawało mi się, że wspominałaś coś o wolnym i delikatnym rozbudzaniu.

Spogląda na niego ujmująco delikatnym i urażonym wzrokiem, po czym spuszcza oczy i mówi cichym głosem:

— Jestem kobietą, Miles. Nic na to nie poradzę, że jestem kłębkim sprzeczności.

— Oczywiście. Wybacz mi.

— To znaczy, musiałbyś jakoś przygotować tę scenę seksualnej agresji. Mógłbyś, na przykład, pokazać mnie, gdy rozbieram się przed twoim przyjściem, gdy patrzę w lustro na swe nagie odbicie i w głębi duszy zastanawiam się, czy poezja to aby na pewno wszystko.

— Z pewnością będę o tym pamiętał.

— Mógłbyś nawet pokazać, jak ze smutkiem sięgam na półkę po egzemplarz Nicholasa Chorier.

— Jakiego Nicholasa?

— Być może jestem odrobinę *recherchée*. Kawalek, który mam na myśli to *deuxième dialogue. Tribadicon*, jak dosyć rubasznie to nazwał. Lyon, 1658. — Pytająco kręci głową. — Nie?

— Nie.

— Przepraszam. Jakoś wydało mi się, że znasz wszystkich klasyków pornografii na pamięć.

— Czy mógłbym spytać, jakim cudem, po kilku zaledwie stronach istnienia, ty...

— Och, Miles. — Z uśmiechem spuszcza oczy. — Myślałam, że wyszliśmy poza wymyślony świat tekstu. — Unosi wzrok. — Na przykład, przypomnij sobie, gdy jako doktor Delfie zapytałam cię, dlaczego po prostu nie wstaniesz z łóżka i nie wyjdiesz z pokoju. W rzeczywistości znalezienie odpowiedzi zajęło ci sześć tygodni. Coś musiałam w tym czasie robić. Pomyślałam sobie, że mogłabym przynajmniej zaznajomić się z tym rodzajem książek, który wydawał się najdroższy twemu sercu. — Dodaje: — Jako twoja pracownica, że tak powiem.

— To bardzo sumiennie z twojej strony.

– Wcale nie.

– Przebrnąć przez te przerażające plugastwa.

– Miles, nie mogłabym w ogóle żyć, gdybym nie wykonywała mojej pracy sumiennie. Obawiam się, że taką już mam naturę. Nic na to nie poradzę. Jestem chorobliwie ambitna.

Przygląda się jej. Ona znów spogląda w dół, na łóżko, jakby zażenowana, że musi tłumaczyć się tak gęsto.

– Jesteśmy na deszczu w ogrodzie. Co dalej?

– Na przykład mogłoby się okazać, że już od wielu rozdziałów gorąco pragnęłam, żebyś zrobił coś takiego, lecz oczywiście byłam zbyt pogmatwana emocjonalnie, by sobie zdać z tego sprawę. Tak naprawdę, to płaczę z radości. W końcu poznałam, co to jest orgazm.

– Na deszczu?

– Jeżeli nie wydaje ci się, że to jest *de trop*. Przy świetle księżyca, jeśli wolisz.

– Odchyła się nieco do tyłu.

– I tak by się to miało skończyć?

Spogląda na niego poważnie przez swe sowne okulary.

– Miles, nie można skończyć współczesnego opowiadania, sugerując, że zwyczajne pieprzenie cokolwiek rozwiązuje.

– Oczywiście, że nie.

Ona znów wygładza szlafrok.

– Szczerze mówiąc, widzę tę scenę jako finał pierwszej części trylogii.

– Mogłem się tego spodziewać.

Ona skubie luźną nitkę szlafroka.

– Sądzę, że w drugiej części stanę się totalną ofiarą mej dotychczas stłumionej seksualności. *Messalina de non jours*, że tak powiem. Wiem, że mógłbyś wymyślić tę środkową część prawie na poczekaniu.

– Musiałem cię chyba źle zrozumieć. Czyż te wszystkie nudne sceny łóżkowe nie miały znaleźć się we wstępie rodem jak z *Alicji w Krainie Czarów*?

– Mam szczerą nadzieję, że te nie będą nudne. Oczywiście, ja nie odczuwam żadnej przyjemności. Robię to tylko z rozpaczy.

– Z rozpaczy?

Rzuca mu spojrzenie znad okularów.

– Mam być kobietą dwudziestego wieku, Miles. Jestem w rozpaczy z definicji.

— A co się stanie z moją postacią?

Ona wyjmuje z pudełka kolejnego papierosa.

— Stałbyś się strasznie zazdrosny, zacząłbyś pić, twoje interesy zeszyłyby na psy.

W końcu musiałbyś żyć z moich niemoralnych zarobków. Miałbyś obłęd w oczach, brodę, stałbyś się nędznym cieniem... — przerywa, by zapalić papierosa — ...prosperującego importera bananów, którym kiedyś byłeś.

— Kim kiedyś byłem?

— To ma całą masę zalet.

— Zupełnie nie mam ambicji, by być importerem bananów.

— Obawiam się, że mógłbyś być odrobinę bezbarwny bez jakiegoś nieco egzotycznego dodatku. Jeśli chodzi o ścisłość, widzę nasze pierwsze spotkanie w realnym świecie w jednej z twoich dojrzewalni owoców w East End*. Nasz niezobowiązujący i pokrętny dialog skonstrastowany perspektywą tysięcy zwieszających się warzywnych penisów.

— Nie jestem pewien, czy byłbym w stanie to opisać.

— Chciałabym to zachować. — Robi krótką przerwę. — Dobrze mi to tutaj pasuje.

— Dobrze ci to...?

— Dobrze samopoczucie jest dla mnie niesłychanie ważne, Miles. — Rzuca mu urażony cień wyszukanego uśmiechu. — Miałam nadzieję, że już to zrozumiałeś.

On bierze lekki oddech.

— A trzecia część trylogii?

— Chciałam ci jeszcze opowiedzieć o jednej czy dwóch scenach z drugiej. Kiedy zwycięża zwierzęca strona mojej natury. W jednej scenie dwóch holenderskich sprzedawców samochodów i wykładowca języka gaelickiego, którego ja...

— W tej chwili wolałbym chyba bardziej ogólne streszczenie.

— W porządku. Zgoda. — Odchyła rękę z papierosem. — Jestem pewna, że zauważyłeś pewien brakujący element w pierwszych dwóch częściach, co?

— Obawiam się, że nie.

— Religia.

— Religia?

— Wydaje mi się, że powinnam zostać zakonnica. Można by wprowadzić jakieś sceny w Watykanie. To się zawsze dobrze sprzedaje.

On wpatruje się w różowy dywan pod łóżkiem.

— Wydawało mi się, że byliśmy niesłychanie wybredną absolwentką filologii angielskiej w Cambridge.

— Na tym będzie zasadał się patos. Kiedy ktoś, kto siadywał u stóp Leavisów i doktora Steinera, zostaje brutalnie zgwałcony przez...

— Wybacz mi moją uwagę, ale wydajesz się bardzo zafascynowana brutalnością.

Ona opuszcza okulary i spogląda na niego sponad nich.

— Rozumiem, że zostało powszechnie uznane, iż wierne odwzorowanie współczesnej rzeczywistości musi symbolicznie odzwierciedlać brutalność stosunków klasowych w społeczeństwie zdominowanym przez burżuazję.

— Jeśli tak to chcesz sformułować. A kto...

— Dwudziestu czterech młodych czarnych bojowników marksistowskich w moim domu misyjnym w Afryce. Byłoby tam też miejsce i dla twojej postaci. Przyjechałaby do Rzymu na ceremonię beatyfikacji. Ze swoją nową miłością.

— Wydawało mi się, że kocham ciebie.

Ona wypuszcza dym.

— Oczywiście, nie po tym, jak złożę śluby. Nie byłoby to *vraisemblable*.

— A skąd pojawi się ta druga kobieta?

— Ja nie mówiłam o kobiecie, Miles.

— To znaczy...

— Po szoku, jakiego doznałeś, tracąc mnie dla Boga, może ujawnić się twoja prawdziwa natura seksualna.

— Ale...

— Zupełnie abstrahując od faktu, że, jak zapewne wiesz, homoseksualiści stanowią 13,8 procent wszystkich anglojęzycznych nabywców beletrystyki. Nie, że to miałyby na ciebie wpłynąć. Ale coś w tym jest.

Ona znów zaczyna skubać luźną nitkę.

— Ale jakim cudem homoseksualista miałby chcieć pojechać na twą ceremonię beatyfikacyjną?

— Ponieważ nie możesz mnie zapomnieć. Poza tym, spodziewam się, że i tobie, i twojemu przyjacielowi fryzjerowi bardzo spodoba się nieco zniewieściała atmosfera tej ceremonii. Kadzidła i szaty. W zasadzie nieźle byłoby zakończyć sceną, gdy mylisz

* East End — rejon obejmujący wschodnie, tradycyjnie robotnicze dzielnice Londynu (przyp. tłum.).

moją twarz, po mojej śmierci rzecz jasna, z twarzą figury Dziewicy Maryi w swoim kościele.

— Czyli, że jestem teraz także i katolikiem?

— Od samego początku. Zapomniałam ci powiedzieć. — Podnosi na niego wzrok. — Musisz być spójną postacią. I mieć świadomość grzechu. Oni stanowią 28,3 procent.

— Katolicy?

Ona potakuje.

— Mam też ciekawy pomysł na końcową scenę. Widzę cię, jak kładziesz małą kiść niedojrzałych bananów u stóp mojego posągu... jej posągu. Sądzę, że byłoby to szczególnie znaczące, gdyby na tym skończyć.

— A co, do diabła, miałyby to oznaczać?

Na jej twarzy pojawia się pobłażliwie protekcyjny uśmiech.

— Bez obaw. Sądzę, że twoi bardziej wyrobieni czytelnicy zrozumieliby aluzję.

— Czy w tej sytuacji pęk warzywnych penisów nie jest odrobinę obrazoburczy?

— Nie, jeżeli ofiarujesz je na kolanach, ze łzami w oczach.

— A czy nie sądzisz, że mógłbym upuścić jednego banana na szczycie stromych schodów wiodących do tego kościoła?

— Dlaczego?

— Kiedy będę wychodził po *ex voto*, mógłbym się na nim poślizgnąć.

Ona spogląda przez chwilę na niego, potem opuszcza wzrok. Panuje cisza. Po chwili odzywa się cichym, urażonym głosem:

— Ja tylko próbowałam pomóc.

— Nie miałem nic śmiesznego na myśli. Naturalnie, spadając przetrąciłbym sobie kręgosłup.

— Ja tylko próbowałam znaleźć jakieś ogólne ramy, które dałyby pole do popisu twojemu talentowi. Jak ja go widzę. — Wzrusza ramionami, wzrok ma nadal spuszczone. Gasi papierosa. — Mniejsza o to. Nie zależy mi na tym.

On podchodzi i siada na brzegu łóżka, zwrócony w jej stronę.

— Widzę w tym całą masę różnych możliwości.

— Nie wyglądasz na całkiem przekonanego.

— Poważnie. To zdumiewające, jak kilkoma zamaszystymi pociągnięciami pędzla otwierasz całkiem nowy świat.

Spogląda na niego z wahaniem i powątpiewaniem, potem znów opuszcza głowę.

— Mam wrażenie, iż myślisz, że to wszystko jest niepoważne.

— Broń Boże. To jest bardzo pouczające. Wydaje mi się, że znam cię już dziesięć razy lepiej.

— To był tylko zwięzły zarys.

— Te są często najbardziej odkrywczce. Ona rzuca mu kolejne spojrzenie przez swe ogromne niebieskie szkła.

— Wiem, że mógłbyś to zrobić, Miles. Gdybyś naprawdę spróbował.

— Jeden czy dwa drobiazgi nadal nieco mnie zastanawiają. Czy mogę...?

— Proszę.

— Na przykład, dlaczego dwudziestu czterech czarnych bojowników?

— Wydaje mi się, że to właściwa liczba. Naturalnie, nie jestem fachowcem.

Musiałbyś poszukać czegoś na ten temat.

— To również liczba liter w greckim alfabecie.

— Naprawdę? Zapomniałam. — Przypatruje się jej. Ona potrząsa głową. — Przepraszam, ale nie bardzo widzę związek.

— Być może nie ma związku.

— Szczerze mówiąc, nie bardzo widzę, jaki mógłby być.

— A czy przypadkiem pomyślałaś o jakimś imieniu dla twej niezwykle skomplikowanej postaci?

— Bardzo się cieszę, że o tym mówisz. Nie chciałabym, żebyś pomyślał, iż odrzucam twoje pomysły. W zasadzie Erato brzmi dobrze. Niezwykle. Sądzę, że powinniśmy zatrzymać to imię. — Kładzie rękę na jego przegubie.

— Nie wydaje ci się to nieco przesadzone? Nazwać współczesną bohaterkę imieniem nikomu nie znanej, drugorzędnej boginki, która i tak nigdy nie istniała?

— Wydaje mi się to uroczo enigmatyczne.

— Jednak z pewnością dotarłoby do zero zero zero jednej części procenta naszych potencjalnych czytelników, którym to imię obilo się o uszy, nie mówiąc już o tym, by mieli wiedzieć, kim była, czy raczej, kim nie była.

— Ważna jest nawet najmniejsza odrobina, Miles.

Opierając głowę na rękę, pochyła się nad nią, zbliża twarz do jej twarzy. Jego oczy odbijają się w niebiesko przydymionych szklach. Ona odchyła się i podciąga szlafrok wyżej.

— Jeszcze jedno, ostatnie pytanie.

— Tak?

— Kiedy ostatni raz opalałaś swój swawolny, mały, grecki tyłeczek?

— Miles!

— Erato.

— Miałam wrażenie, że dobrze nam się układało.

— To tobie dobrze się układało. Zdejmuje jej okulary i przypatruje się jej twarzy. Bez okularów wygląda dziwnie młodo — najwyżej na dwadzieścia lat — i tak niewinnie jak ktoś jeszcze o połowę młodszy. Spuszcza wzrok i mruczy:

— Nie śmiałyś. Nigdy bym ci nie wybaczyła.

— Spróbuj. Rzuć mi jeszcze jedną nęcącą sugestią literacką.

Ona znów podciąga szlafrok; spogląda na boki i w dół.

— Jestem pewna, że wymyśliłaby coś lepszego. Gdyby istniała.

— Ani mi się waż zaczynać od nowa. — Podnosi jej twarz tak, że musi patrzeć mu prosto w oczy. — I nie patrz na mnie takim śmiertelnie poważnym wzrokiem sponad swego niewymownie klasycznego nosa.

— Miles, to boli.

— Dobrze. A teraz posłuchaj. Możesz być nikomu nie znaną, czwartorzędną boginką. Możesz być całkiem atrakcyjną boginką, jak to boginki. Lub striptizerki. Jesteś też nieodrodną córeczką twojego ojca. Mówiąc prościej, bękartem najbardziej lubieżnego starego capa w całej historii teologii. W twoim makijażu nie ma ani krzty skromności. Twój umysł jest umysłem wampa z lat dwudziestych. Mój prawdziwy błąd polega na tym, że nie ucharakteryzowałem cię na Thedę Barę. — Nieznacznie odwraca jej twarz. — Albo na Dietrich w *Błękitnym Aniele*.

— Miles, proszę... nie wiem, co cię opętało.

— Twoja zdumiewająca hucpa mnie opętała. — Lekko trąca jej klasyczny nos.

— Przejrzałem twoją grę. Po prostu próbujesz narzucić sytuację erotyczną poza wszelkimi granicami przyzwoitości artystycznej.

— Miles, zaczynasz mnie przerażać.

— Tak naprawdę, chciałabyś, żebym zerwał z ciebie ten szlafrok i jeszcze raz się na ciebie rzucił. Gdybyś miała nieco więcej siły, założę się, że sama byś się na mnie rzuciła.

— Teraz jesteś wstrętny.

— Jedyną przyczyną, dla której jeszcze nie przełożyłem cię przez kolano i nie sprawiłem ci największego lania w życiu, jest to, że wiem, iż o niczym innym nie marzysz.

— To okropne, co mówisz.

Znowu trąca ją w nos.

— Gra skończona, moja panno. Co za dużo, to niezdrowo.

On odchyła się i władczy gestem strzela palcami w stronę krzesła przy łóżku. Równie nagle jak poprzednio, pojawia się na nim wieszak z lekkim letnim garniturem; koszula, krawat, skarpety, bielizna; pomiędzy przednimi nogami krzesła stoi para butów. Wstaje.

— Zamierzam się teraz ubrać. A ty będziesz słuchać. — Wkłada koszulę i zapinając ją, odwraca się, by na nią spojrzeć. — Nie myśl, że nie wiem, co się za tym wszystkim kryje. Z twojej strony jest to czysta złość. Nie potrafisz znieść myśli, że mogę mieć jakiś dobry pomysł. A czego twoja niezmiernie kiepska imitacja odczytanej młodej kobiety kompletnie nie potrafiła ukryć, to twoje zdumiewające niezrozumienie, o co chodzi we współczesnej literaturze. Założę się, że nie masz zielonego pojęcia, co tak naprawdę symbolizują te szaro wyścielane ściany. — Przerzywa zapinanie koszuli i spogląda na nią. Ona zaprzecza ruchem głowy. — Wiedziałem. Szare ściany, szare komórki. Szara materia? — Puka się w głowę. — Łapiesz?

— To wszystko... dzieje się w twojej głowie?

— Znakomicie.

Ona rozgląda się po ścianach, sklepionym suficie, a potem znów przenosi wzrok na niego.

— Nigdy nie przyszłoby mi to do głowy.

— No, wreszcie zaczynasz rozumieć. — Schyla się, by nałożyć slipki. — A amnezja?

— Ja... wydawało mi się, że to jest tylko usprawiedliwienie...

— Dla czego?

— Dla tego, byś mógł napisać kawałek z momentami...

— Uważa się za absolwentkę anglistyki, tak? Jezu. — Odwraca się i zdejmuje z wieszaka spodnie. — Następną rzeczą, jaką mi powiesz, to to, że nigdy nawet nie słyszałaś o Todorowie.

— O kim?

– Nie słyszałaś, co?

– Przykro mi, Miles, ale nie.

Spogląda na nią, trzymając spodnie w wyciągniętej ręce.

– Jak można z tobą dyskutować na temat teorii, kiedy ty nie czytałaś nawet podstawowych tekstów?

– Opowiedz mi.

Wciąga spodnie.

– Hm... najprościej mówiąc, cały subtelny symbolizm amnezji związany jest z dwoistą naturą, zarówno w hipostatycznym jak i epifanicznym *facies*, procesu diegetycznego. Zwłaszcza, jeśli chodzi o anagnoryzm. — Zaczyna wkładać koszulę w spodnie. — Stąd doktor Delfie.

– Doktor Delfie?

– Oczywiście.

– Oczywiście co, Miles?

– Bezsens prób niesystematycznego ujęcia tematu.

– Myślałam, że ona próbuje ujęcia seksualnego.

On niecierpliwie podnosi wzrok znad wkładanej do spodni koszuli.

– Na miłość boską, seks był tylko metaforą. Musi być jakiś obiektywny korelat dla hermeneutycznej strony tego zagadnienia. Nawet dziecko by to zrozumiało.

– Tak, Miles.

Zapina spodnie.

– Teraz jest już za późno. — Siada i zaczyna nakładać skarpety.

– Naprawdę nie miałam pojęcia.

– Oczywiście, że nie. Miałem fantastyczne zakończenie. Absolutnie pierwszorzędne. Najlepsze dwie strony, jakie kiedykolwiek napisałem. Gdybyś się w to wszystko nie wmieszała jak jakiś cholerny słoń.

– Miles, przecież ja ważę zaledwie pięćdziesiąt parę kilo.

On unosi wzrok z pozbawionym humoru bolesnym grymasem.

– Kochana, z twoim ciałem wszystko jest w porządku. Problem leży w twojej głowie. Jest zapóźniona o co najmniej trzysta lat.

– Nie ma powodu, żebyś tak się tym denerwował.

– Ja się nie denerwuję. Dla twojego dobra zwracam ci uwagę na to i owo.

– Wszyscy są ostatnio tak śmiertelnie poważni.

Kiwa na nią skarpetą, którą trzyma w dłoni.

— Cieszę się, że o tym wspomniałaś. To inna rzecz. Jest miejsce na humor w codziennym życiu, ale nie w poważnej współczesnej powieści. Nie ma problemu, jeżeli od czasu do czasu zmarnuję godzinę, prywatnie się z tobą przekomarzając, co tak bardzo zdajesz się lubić. Jednak gdybym pozwolił sobie na takie rzeczy w publikowanych tekstach, moja reputacja zostałaby natychmiast zniszczona. — Ona siedzi z opuszczonym wzrokiem, przygnieciona ciężarem jego tyrady. On schyla się, by naciągnąć drugą skarpetę i mówi nieco mniej szorstko: — To kwestia priorytetów. Wiem, że zostałaś wychowana jako poganka i nic na to nie poradzisz. Nic też nie poradzisz na to, że zostało ci przypisane o wiele głębsze i trudniejsze pole inspiracji, niż kiedykolwiek miałaś na to ochotę. Muszę przyznać, że to był poważny błąd, by wybrać kogoś, kto wcześniej miał do czynienia jedynie z miłośnymi przyśpiewkami. Oczywiście kandydatką dla współczesnej powieści była twoja siostra Melpomena. Nie mam pojęcia, dlaczego nie została wybrana. Ale teraz to już musztarda po obiedzie.

Ona odzywa się ściszym głosem:

— Czy mogę o coś zapytać?

On wstaje i bierze krawat wiszący na poręczy krzesła.

— Oczywiście.

— Nie bardzo rozumiem. Jeżeli jest miejsce na humor w codziennym życiu, dlaczego nie może go być w powieści? Myślałam, że powieść ma być odbiciem rzeczywistości.

On zostawia nie zawiązany krawat na szyi i ujmuje się pod boki.

— O Boże. Naprawdę nie wiem, gdzie mam z tobą zacząć. — Pochyla się nieco do przodu. — Powieść odbijająca rzeczywistość jest martwa od sześćdziesięciu lat, Erato. Czym według ciebie był modernizm? Nie mówiąc już o postmodernizmie. Nawet najgłupszy ucniowie wiedzą, że jest to obecnie medium autotematyczne, a nie mimetyczne. Czy wiesz chociaż, co to znaczy?

Zaprzecza ruchem głowy, unikając jego wzroku. To, co udawała w opowieści o satyrze, wydaje się działać naprawdę; wygląda najwyżej na siedemnaście lat, uczennica szkoły średniej zmuszona do przyznania, że nie odrobiła pracy domowej. On pochyla się do przodu, stukając jednym palcem wskazującym o drugi.

— Poważna współczesna powieść obraca się wokół jednego tematu: trudności pisania poważnej współczesnej powieści. Po pierwsze, w pełni zaakceptowała fakt, że jest tylko fikcją, że może być tylko fikcją, nigdy nie będzie niczym innym jak fikcją, a

w związku z tym nie ma żadnego interesu, by babrać się w prawdziwym życiu czy realizmie. Rozumiesz?

On czeka. Ona potulnie kiwa głową.

— Po drugie. Naturalną konsekwencją tego stanu rzeczy jest to, że pisanie o powieści stało się o wiele ważniejsze niż pisanie samej powieści. Jest to dzisiaj jeden z najlepszych sposobów na rozpoznanie prawdziwego pisarza. Nie będzie tracił czasu na brudną harówkę mechanika samochodowego, by składać na papierze opowieści i postaci.

Ona podnosi wzrok.

— Ale...

— Tak, zgoda. Oczywiście, w którymś momencie musi coś tam napisać, po to tylko, by pokazać jak nieistotne i nic nie znaczące jest samo pisanie. Ale to wszystko. — Zaczyna wiązać krawat. — Opisuję to za pomocą najprostszych terminów. Czy jak dotąd wszystko rozumiesz?

Ona kiwa głową. On zaciąga węzeł krawata.

— Po trzecie. Najważniejsza rzecz. Na poziomie kreacji nie ma żadnego związku pomiędzy autorem a tekstem... Są to dwie zupełnie różne rzeczy. Nie można wcale, ale to wcale, wnioskować ani wywodzić czegokolwiek na temat jednego, na podstawie drugiego. W żadną stronę. Dekonstruktywiści udowodnili to ponad wszelką wątpliwość. Rola autora sprowadza się do roli przypadkowego pośrednika. Nie różni się niczym od roli księgarza czy bibliotekarza, który udostępnia tekst jako gotowy produkt czytelnikowi.

— Dlaczego zatem pisarze wciąż umieszczają swoje nazwiska na stronie tytułowej, Miles? — Nieśmiało podnosi wzrok. — Tylko pytam.

— Ponieważ większość z nich jest taka jak ty. Zupełnie nie przystają do czasów. Są też tak próżni, że aż włos jeży się na głowie. Większość z nich jest nadal na średniowieczny sposób głęboko przekonana, że sami piszą swe własne książki.

— Szczerze mówiąc, nie przyszło mi to na myśl.

— Jeśli chcesz mieć akcję, postać, suspens, opis, wszystkie te staroświeckie bzdury z przedmodernistycznych czasów, idź do kina. Albo poczytaj sobie komiksy. Nawet nie podchodź do poważnego współczesnego pisarza. Takiego jak ja.

— Nie, Miles.

On orientuje się, że coś wyszło nie tak z węzłem krawata; nieco poirytowany rozsypuje go i zaczyna wiązać na nowo.

— Naszym jedynym priorytetem jest obecnie sposób prowadzenia dyskursu, funkcja dyskursu, status dyskursu. Jego metaforyczność, jego oderwanie, jego całkowicie ateologiczna całość sama w sobie.

— Tak, Miles.

— Wiem, iż sądzisz, że mi właśnie docięłaś, ale dla mnie jest to symptom twych absurdalnie anachronicznych poglądów. Nie możesz mieć najmniejszej nadziei na to, że zainspirujesz cokolwiek wartego analizy choćby na poziomie doktoratu, jeżeli pierwsza myśl, jaka przychodzi ci do głowy, jest wciąż ta sama: jak szybko można ludzi rozebrać i kazać im wskoczyć do łóżka. To absurd. Jakby w wieku bomby neutronowej myśleć o łuku i strzałach. — Mierzy wzrokiem jej spuszczone głowę. — Wiem, że w głębi duszy jesteś niewinną istotą, i czuję do ciebie pewną sympatię. Szczerze mówiąc, byłaby z ciebie znakomita gejsza. Ale jesteś przeraźliwie nie na czasie. Zanim zaczęłaś się wtrącać, komponent seksualny był, że tak powiem, całkowicie kliniczny, umiejętnie pozbawiony jakiegokolwiek erotyzmu. — Opuszcza kołnierz koszuli i nieco mocniej ściąga węzeł krawata. — Czysto metafizyczny w zamiśle, przynajmniej dla wykształconych czytelników, a tylko oni się liczą w dzisiejszych czasach. A wtedy wkraczasz ty i cała zgrabnie zrównoważona struktura wali się w gruzy, zostaje zarżnięta nudą, rozdmuchana, strywializowana, zafałszowana, by przypochlebić się najbardziej wulgarnym gustom rynku. Jest zrujnowana. Zupełnie nie do przyjęcia. Czy mój krawat leży prosto?

— Tak, i bardzo mi przykro.

On siada ponownie, by włożyć buty.

— Posłuchaj, będę całkiem szczery, Erato. Spójrzmy prawdzie w oczy: nie po raz pierwszy, niestety, oboje tracimy czas na tego typu jałowe dyskusje. Nie przeczę, że możesz być pomocna przy niektórych podstawowych aspektach tak zwanej kobiecej logiki, jako że podstawowy problem współczesnej powieści nadal, niestety, musi być przekazywany za pomocą różnych powierzchownych masek i rekwizytów, inaczej zwanych mężczyznami i kobietami. Lecz obawiam się, że nie rozumiesz, na czym polega umysł twórczy. Jesteś jak pewien typ wydawcy. Koniec końców sama chcesz napisać tę cholerną książkę. Tak się nie robi. Jeżeli masz ochotę pisać książki, to pisz je sama. Mogłabyś zrobić to z łatwością, ostatnimi czasy wzrasta popyt na pewien rodzaj kobiecej powieści. “Wepchnął swoje cztery litery w moje cztery litery”, te rzeczy. — Zawija i ściąga sznurowadła. — Czytałaś Jong?

— Tego szwajcarskiego psychologa?

— Mniejsza z tym. Chodzi o to, że musisz przyjąć do wiadomości, że zarówno dla mnie, jak i dla wszystkich, którzy podchodzą do tego poważnie, nie będziesz nigdy nikim więcej niż dorywczym doradcą jakiegoś redaktora w zupełnie nieistotnych sprawach. — Wstaje i sięga po marynarkę. — Choć muszę ci szczerze powiedzieć, że nawet i w tym nie jesteś wiarygodna. Nadal wydaje ci się, że świat jest przyjemnym miejscem do życia. Nie można się już jawnie przyznawać do powierzchownego podejścia do życia w ogóle. Każdy podziwiany na międzynarodową skalę i prawdziwie wzięty artysta ostatnich czasów wykazał, że jest to całkowicie bezsensowne, bzdurne i absurdalne. Istne piekło.

— Nawet kiedy będziesz podziwiany na międzynarodową skalę i prawdziwie wzięty, Miles?

Stojąc, spogląda z góry na jej pochyloną głowę.

— To bardzo dziecinna i niestosowna uwaga.

— Przepraszam, Miles.

— Czyżbyś wątpiła w szczerłość niektórych tragicznych kluczowych postaci współczesnej kultury?

— Nie, Miles. Oczywiście, że nie.

On milczy przez chwilę, pozwalając opaść swej dezaprobacie; potem odzywa się jeszcze bardziej krytycznym głosem:

— Wszystko pięknie, te twoje wieloznaczne żarty o dwudziestowiecznej kobiecości z definicji pogrążonej w rozpacz, ale w gruncie rzeczy sama wolałabyś raczej umrzeć, niż nie być kobietą. Bardzo ci się to podoba. Nie rozpoznałabyś prawdziwej rozpacz, nawet gdyby spadła z nieba prosto na twoją głowę.

— Miles, nic na to nie poradzę.

— W porządku. A zatem bądź kobietą i ciesz się tym. Ale nie próbuj na dokładkę myśleć. Przyjmy do wiadomości fakt, że biologiczne karty w ten właśnie sposób zostały rozdane. Nie możesz mieć męskiego umysłu i intelektu w połączeniu z manią bycia notoryczną narzeczoną. Czy to brzmi nedorzecznie?

— Nie, jeżeli ty to mówisz, Miles.

— To dobrze. — Wkłada marynarkę. — A teraz proponuję, żebyśmy zapomnieli o tej całej nieszczęsnej historii i uścisnęli sobie ręce. A potem cię tutaj zostawię. Na przyszłość, kiedy i jeśli poczuję, że potrzebuję twojej rady, zadzwonię do ciebie. Nie gniewaj się, ale ja zadzwonię do ciebie. I proponuję, żebyśmy następnym razem spotkali się w jakimś publicznym miejscu. Zabiorę cię gdzieś na kebab, pogadamy,

wypijemy po lampce wina, będziemy się zachowywać jak dwoje współczesnych, cywilizowanych ludzi. Jeśli będę miał czas, odwiozę cię na lotnisko i odprowadzę na powrotny samolot do Grecji. Tak to będzie wyglądało. W porządku? — Ona potulnie kiwa głową. — I jeszcze jedna rzecz. Sądzę, że czułbym się na przyszłość bardziej komfortowo, gdybyśmy rozliczyli się finansowo. Wyplączę ci niewielkie honorarium za wszystko, czego użyję, zgoda? Zawsze mogę to sobie odpisać od podatku jako wydatki na zbieranie materiałów.

Ona znów kiwa głową. On przypatruje się jej przez chwilę, po czym wyciąga rękę, którą ona ujmuje i słabo potrząsa. On waha się, potem schyla, całuje ją w czoło i poklepuje po nagim ramieniu.

— Głowa do góry, staruszko. Wyjdiesz z tego. To musiało zostać powiedziane.

— Dziękuję za to, że byłeś taki szczery.

— Nie ma za co. Wliczone w cenę pokoju. Jeszcze jedna rzecz. Czy życzysz sobie jeszcze czegoś, zanim odejdę? Coś do ubrania? Jakieś czasopisma? "Woman's Own"? "Good Housekeeping"? "Vogue"?

— Nie, dzięki. Dam sobie radę.

— Chętnie wezwę ci taksówkę, kiedy będę wychodził. — Ona zaprzecza ruchem głowy. — Jesteś pewna? — Ona kiwa głową. — Nie gniewasz się? — Ona jeszcze raz zaprzecza. On uśmiecha się prawie dobrotliwie. — Takie są te lata osiemdziesiąte.

— Wiem.

On wyciąga rękę i tarmosi grecką fryzurę.

— A zatem *ciao*.

— *Ciao*.

Odwraca się i zaczyna iść ku drzwiom. Ma pewny krok i postawę kogoś, kto dokonał właśnie lukratywnej transakcji, z optymizmem patrzy w przyszłość. *Mann ist was er isst*, lecz również tym, co ma na sobie. Miles Green wygląda na wielkiego światowca w swym doskonale skrojonym garniturze, w starym szkolnym krawacie; nie jest też, oczywiście (takie są te lata osiemdziesiąte), ani odrobinę zakłopotany faktem, że w środku napiętego dnia znalazł wolną godzinę, którą spędził z — jakby na to nie patrzeć — zwykłą dziewczyną do towarzystwa; lecz teraz, odświeżony, podąża ku poważniejszym rzeczom, być może na spotkanie ze swym agentem, na konferencję literacką czy choćby ku błogiemu spokojowi swego męskiego klubu. Po raz pierwszy w pokoju panuje poczucie porządku, rozsądnej rzeczywistości.

Niestety, znika ono równie szybko, jak się pojawiło. W połowie drogi do drzwi sprężysty krok zamiera. Od razu też widać przyczynę: nie ma już drzwi, do których można być w połowie drogi. Tam, gdzie były, rozciąga się teraz jednolicie szaro wyściełana ściana; zniknął nawet haczyk na ubrania. Rzuca spojrzenie w tył, na łóżko, lecz zbesztana postać nadal siedzi na nim ze spuszczoną głową, w oczywisty sposób nieświadoma tej niewielkiej zmiany otoczenia. Ponownie odwraca głowę w stronę, gdzie przedtem znajdowały się drzwi; potem strzela palcami w tym kierunku. Ściana trwa niewzruszenie. Jeszcze raz i jeszcze raz; nic się nie dzieje. Waha się, podchodzi do ściany i zaczyna obmacywać wykładzinę, jakby był niewidomy, a gdzieś tam musiała znajdować się klamka. Przerywa, cofa się o dwa lub trzy kroki, jakby przygotowywał się, by zaatakować ścianę ramieniem. Zamiast tego wyciąga ręce przed siebie, jak człowiek chwytający wyimaginowane drzwi po to, by wyważyć je z zawiasów. Jeszcze raz rozlega się strzał palców. I znów ściana pozostaje dokładnie taka sama — gładka i pozbawiona drzwi. Patrzy na nią ponurym wzrokiem. Potem odwraca się i podchodzi do łóżka.

— Nie możesz tego zrobić!

Jej głowa unosi się bardzo wolno.

— Nie mogę, Miles.

— Ja tu rządę.

— Tak, Miles.

— Jeśli sądzisz, że ktoś uwierzy w to choć przez milionową część sekundy... nakazuję ci przywrócić drzwi. — W odpowiedzi ona opiera się o poduszki. — Słyszałaś, co powiedziałem?

— Tak, Miles. Jestem bardzo głupia, ale słuch mam znakomity.

— A więc zrób to, co ci kazałem. Ona unosi ręce i zaplata je za smukłą szyją. Szlafrok rozchyła się. Szczyrzy zęby w uśmiechu.

— Uwielbiam, kiedy udajesz, że się złościsz.

— Jeśli drzwi w ciągu pięciu sekund nie znajdą się na swoim miejscu, ostrzegam, że użyję przemocy fizycznej.

— Jak drogi markiz.

On bierze głęboki oddech.

— Zachowujesz się jak pięciolatka.

— No cóż, jestem tylko czwartorzędną boginką.

Patrzy na nią, a raczej na jej przygryzioną dolną wargę.

– Nie możesz trzymać mnie tutaj wbrew mojej woli.

– A ty nie możesz wyzwolić się z własnych przekonań.

– Oczywiście, że mogę. Przecież to tylko moje metaforyczne przekonania.

Opowiadasz bzdury. Równie dobrze mogłabyś unieważnić prawa natury lub cofnąć czas.

– Robię to, Miles, całkiem często. Tylko sięgnij pamięcią.

I nagle cały strój, który właśnie na siebie włożył, znika. Natychmiast, instynktownie, składa ręce z przodu. Ona znów zagryza wargę.

– Nie zniosę tego.

Ona poklepuje łóżko przy sobie.

– Więc chodź i usiądź.

On odwraca się i zakłada ręce.

– Nigdy.

– Biedaku. Chciałabym móc go pocałować. – On jeszcze bardziej ponurym wzrokiem wpatruje się w przestrzeń, na ile pozwalają ściany pokoju. Ona bierze purpurowy szlafrok i lekkim ruchem rzuca w jego kierunku. – Chcesz? Ja już go nie potrzebuję.

On spogląda z niechęcią na szlafrok, po czym go podnosi. Jest na niego za mały, ale udaje mu się naciągnąć go na siebie, założyć poły i zawiązać pasek. Potem podchodzi do krzesła, unosi je, idzie do narożnika pokoju i zdecydowanym ruchem stawia je przy stole, tyłem do łóżka. Siada z założonymi rękami i skrzyżowanymi nogami; wpatruje się stanowczym wzrokiem w odległy o dwa metry róg wyściełanego pokoju. Panuje cisza. Wreszcie on odzywa się przez ramię:

– Możesz zabrać mi ubranie, możesz mnie zatrzymać. Ale nie możesz odmienić moich uczuć.

– Wiem, głuptasie.

– A więc jest to bezsensowna strata czasu.

– Chyba że sam je odmienisz.

– Nigdy.

– Miles.

– Cytując twe własne słowa, trzeba mieć pewną elementarną swobodę, by istnieć.

Ona siedzi obserwując go, po czym nagle schodzi z łóżka, zagląda pod nie i na powrót wyjmując wianek z róż i liści mirtu. Spogląda na ścianę, jakby wisiało na niej

lustro, i przez chwilę bawi się włosami, poprawiając jeden czy dwa ciemne loki; w końcu zadowolona ze swego wyglądu, odzywa się do niego przez całą szerokość pokoju:

— Czy mogę usiąść ci na kolanach, Miles?

— Nie możesz.

— Proszę.

— Nie.

— Jeżeli chcesz, mogę stać się piętnastolatką.

Odwraca się gwałtownie i celuje w nią palcem.

— Trzymaj się ode mnie z daleka.

Ona idzie jednak w jego stronę, lecz zatrzymuje się niedaleko od miejsca, w którym on siedzi. On wygląda, jakby miał się na nią rzucić, gdyby postąpiła jeszcze o krok. Ona klęka na różowym dywanie, krzyżuje ręce na kolanach i z pokorą siada na piętach. On przez chwilę znosi jej wzrok, potem odwraca oczy.

— Ja tylko podsunęłam ci pomysł. Ty zrobiłeś całą resztę.

On przez moment siedzi w milczeniu, potem eksploduje.

— Boże, kiedy pomyślę o całej tej gadaninie o plastelinie, o baszachs i haremach. I o Hitlerze! — Gwałtownie odwraca się w jej stronę. — Wiesz co? Jesteś największą małą faszystką w historii. I nie myśl, że choć na chwilę zwiedzie mnie to, że klęczysz tam ze wzrokiem konającego spaniela.

— Faszyci nienawidzą seksu, Miles.

Rzuca jej upiorną karykaturę uśmiechu.

— Nawet najgorsze filozofie mają swoje dobre strony.

— I miłości.

— W tych okolicznościach to słowo brzmi wulgarnie.

— I czułości.

— Jesteś mniej więcej tak czuła jak kaktus.

— I nie potrafisz śmiać się z samych siebie.

— Domyślam się, że unicestwienie wiary w siebie, którą człowiek posiada, faktyczne wykastrowanie go na resztę życia, jest bardzo zabawną sytuacją. Musisz być bardzo opanowana, że nie tarzasz się ze śmiechu po dywanie. Wybacz, że się do ciebie nie przyłączę.

— I wszystko to tylko dlatego, że zdałeś sobie sprawę, iż koniec końców odrobinę mnie potrzebujesz?

— Nie potrzebuję cię. To jest jedynie twoja potrzeba. By mnie upokorzyć.

— Miles.

— To co wtedy powiedziałem, to szczerą prawdą. Od samego początku zrujnowałaś moją pracę swymi banalnymi, bzdurnymi pomysłami rodem z tanich opowiadań. Kiedy zacząłem, nie miałem najmniejszego zamiaru być tym, kim jestem. Miałem zamiar pójść śladami Joyce'a i Becketta. Ale nic z tego; oto wkraczasz ty. Każda postać kobieca musi zostać zmieniona nie do poznania. Musi zrobić to, musi zrobić tamto. Za każdym razem rozdymasz ją do takich rozmiarów, aż nie mieści się w kadrze. I zawsze w końcu zostaje jedna i ta sama. To znaczy ty. Co rusz kazałaś mi wyrzucać najlepsze kawałki. Tekst, w którym miałem dwanaście różnych zakończeń, był znakomity taki, jaki był. Nikt nie zrobił tego wcześniej. A potem ty na to wsiadasz i zostaje z trzema. Cały zamysł został zmarnowany. Diabli go wzięli. — Odwraca się w jej stronę z gniewnym uśmiechem. Ona zagryza wargi. — Powiem ci, gdzie umiejscowię następną książkę. Na górze Athos*. — Uśmiech pogłębia się. Odwraca wzrok i ciągnie swą przemowę dalej: — Cały czas nic, tylko dyktujesz. Mam mniej więcej tyle do powiedzenia, co automatyczna maszyna do pisania. Mój Boże, kiedy pomyślę o tych niezliczonych stronach, które zapisali Francuzi, próbując rozstrzygnąć, czy pisarz zawarł w tekście samego siebie, czy nie. Dziesięć sekund z tobą rozstrzygnęłoby definitywnie sprawę raz na zawsze.

— Wiesz, że to nieprawda.

— Więc dlaczego te drzwi nie powrócą? Dlaczego choć raz nie mogę tego skończyć tak, jak ja mam na to ochotę? Dlaczego ostatnie słowo zawsze musi należeć do ciebie?

— Miles, teraz ty jesteś niekonsekwentny. Przed chwilą sam powiedziałaś, że nie ma żadnego związku pomiędzy autorem a tekstem. Więc o co chodzi?

— Ponieważ mam prawo ustanowić mój własny brak związku w mój własny sposób.

— Wiem, że jestem tylko twoją biedną, małą, bezmyślną narzeczoną, ale mam wrażenie, że to nie bardzo poddaje się logicznej analizie.

— Nie będę spierał się z tobą o rzeczy, które pozostają całkowicie poza twoim zasięgiem.

* Góra Athos — autonomiczny region w płn. Grecji, którego jedynymi stałymi mieszkańcami są ortodoksyjni mnisi (przyp. tłum.).

Ona przypatruje się jego na wpół odwróconym plecami.

— Nie przestanę, dopóki znów nie będziemy przyjaciółmi. Dopóki nie pozwolisz mi usiąść na kolanach i przytulić się do ciebie. I pocałować.

— Och, na miłość boską.

— Bardzo cię lubię. I już się z ciebie nie naśmiewam.

— Cały czas się ze mnie naśmiewasz.

— Miles, spójrz na mnie.

Rzuca jej podejrzliwe spojrzenie — nie śmieje się. Lecz jeszcze raz odwraca głowę, jakby to, co widzi w jej oczach, było gorsze niż śmiech. Ona siedzi przez chwilę w milczeniu, obserwując go, potem odzywa się na nowo.

— W porządku. Tam. Masz z powrotem drzwi.

On gwałtownie odwraca głowę w stronę, gdzie przedtem były; rzeczywiście, są tam znowu. Ona wstaje, podchodzi do nich i otwiera je.

— Chodź. Chodź i zobacz, co jest po drugiej stronie. — Wyciąga do niego rękę.
— To nie będzie bolało.

On niecierpliwie wstaje i ignorując jej dłoń, podchodzi do otwartych drzwi; spogląda przez nie — na człowieka w purpurowym szlafroku, który jest na niego za mały, na szczupłą, nagą dziewczynę z wiankiem róż i klasycznym łonem, na łóżko w tle, na zegar z kukułką z upiornym, białym chitonem wciąż zwieszającym się z jego narożnika, na szaro wyściełane ściany. Wszystko wygląda jak odbicie w lustrze albo jak obraz Magritte'a. Gestem zachęca go, by przeszedł.

— Bez sensu.

On odwraca się ze złością. Ona zamyka drzwi, w zamyśleniu przygląda się przez chwilę jego plecami, po czym robi krok w jego kierunku.

— Nie bądź taki okrutny. Chodź, połóż się ze mną na łóżku.

— Nie.

— Nie będziemy rozmawiać. Będziemy się tylko kochać.

— Za żadne skarby.

Ona zakłada ręce na plecy.

— Więc chociaż jako para przyjaciół.

— Nie jesteśmy przyjaciółmi. Jesteśmy parą ludzi, którzy, tak się składa, są zamknięci w tej samej celi więziennej. Przez twoją nieznośną, kobiecą małostkowość.

— Czuję, jak wiele jestem ci winna za to, co mi właśnie powiedziałaś. A ty nie chcesz pozwolić, bym spłaciła mój dług.

— Nie, dziękuję.

— Wiem, że w skrytości ducha chcesz, Miles. — Jej łagodny głos staje się przymilny.

— Nic nie wiesz.

— Chcę ci pokazać, co kreteńskie kobiety zrobiły swoim mężom po ich powrocie spod Troi. By im pokazać, jak bardzo się za nimi stęskniły. Było to w pierwotnej wersji tekstu, lecz we wszystkich zachowanych rękopisach jest tam luka.

— Jesteś nie do zniesienia.

— To jest bardzo figlarne.

— Kategorycznie nie jestem zainteresowany seksualnymi perwersjami starożytnej Krety.

— Wiem, że tak naprawdę jesteś. — Odczekuje chwilę. — W innym przypadku nie bałbyś się spojrzeć mi w prosto w twarz.

On gwałtownie się odwraca.

— Wcale się nie bo...

Pięść jest niewielka; ale prawy sierpowy zostaje wyprowadzony z biodra, i to nie tylko z animuszem młodej kobiety, która — choć nie jest siłaczką w normalnym tego słowa znaczeniu — jest niewątpliwie dumna ze swej ogólnej sprawności fizycznej, lecz, co jest bardziej zaskakujące, z profesjonalną precyzją i wyczuciem czasu, prosto na szczękę. Można by podejrzewać, że nie po raz pierwszy zadała taki cios. Niewątpliwie efekt, jaki osiąga, w większej części spowodowany jest faktem, że spada — jak jedna z rzekomo ulubionych przez jej ojca form pocisku kierowanego — jak grom z jasnego nieba. Głowa pana Milesa Greena odskakuje do tyłu. Jego szczeka opada, wzrok staje się szklisty i niewyraźny. On chwieje się, potem wolno osuwa na kolana; przez chwilę niepewnie usiłuje się podnieść; by w końcu — z pomocą silnego uderzenia pięty nagej i delikatnie wysklepionej lewej stopy — opaść na dywan w kolorze starego rózu i pozostać w bezruchu.

III

To, że wielu ludzi żyje w przeświadczeniu, iż trudno go jest poznać, a równie trudno poznać czym jest ich dusza, pochodzi stąd, że nie wznoszą nigdy umysłu ponad rzeczy dotykalne, i tak są zwyczajni zważać wszystko jedynie wyobrażeniem, który to sposób myślenia właściwy jest dla rzeczy materialnych, iż wszystko co się nie da wyobrazić, wydaje się im niezrozumiałe. Wyraża się to jasno w tem, co nawet filozofowie głoszą za pewnik w swoich szkołach, iż niema nic w pojęciu, coby nie było pierwotnie w zmysłach, a wszak pewnem jest, że pojęcie Boga ani duszy nigdy w nich nie powstało. Zdaje mi się, że ci, którzy chcą się posługiwać wyobraźnią aby zrozumieć te pojęcia, czynią tak samo, co gdyby chcieli się posłużyć oczami aby słyszeć dźwięki lub czuć zapachy...

René Descartes, *Discours de la Méthode*

Córka Mnemosyne spogląda na swą ofiarę, odruchowo liżąc wciąż zaciśniętą pięść. Po kilku sekundach, odliczywszy (choć w tych okolicznościach nie w sensie dosłownym) do dziesięciu, robi krok ponad ciałem i rażno podchodzi do łóżka, przy którym naciska dzwonek. Przed chwilą jeszcze bokserka, z chwilą gdy koniuszek jej palca dotyka plastikowego przełącznika, natychmiast zmienia się na powrót w doktor Delfie. Fartuch, kieszeń z długopisem, plakietka z nazwiskiem, włosy ściągnięte mocno do tyłu (wianek zniknął podobnie jak i chiton wiszący na zegarze) dyskretnym supłem czarno-białej wstążki — każdy detal zostaje odtworzony. Podobnie jak chłodny surowy wyraz twarzy. Nie jest już ani subtelna, ani drażniąca.

Magicznie przeobrażona podchodzi do leżącego mężczyzny i klęka przy nim. Jak lekarz na zawodach bokserskich unosi mu przegub, by zbadać puls. Potem pochyla się nad twarzą — leży rozciągnięty na plecach — i podnosi mu powieki. Nagle otwierają się drzwi.

Staje w nich podstarzała pielęgniarzka, niewątpliwie z gatunku tych surowych i rzeczowych. Jest w niej coś — aura nieźrównanej nadgorliwości, mina człowieka

wiedzącego najlepiej, o co w tym świecie chodzi — co mówi o niej wszystko, zanim zdąży nawet otworzyć usta. Z pozbawioną odrobiny humoru przyganą spogląda w dół zza szkieł okularów. Lekarka jest w widoczny sposób zaskoczona. Niezręcznie, jak na kogoś zwykle pełnego wdzięku, gramoli się z podłogi.

— Siostro... sądziłam, że siostra Cory ma dyżur.

— Ja też, pani doktor. Jak zwykle, nigdzie nie można jej znaleźć. — Jej wzrok wędruje ku pacjentowi. — To też, zdaje się, nic nadzwyczajnego.

— Niestety.

— I bez tego mam dość kłopotów z personelem. Ci są gorsi niż cała reszta oddziału razem wzięta.

— Proszę poszukać jakiegoś pielęgniarza i noszy. Połóżmy go lepiej z powrotem na łóżku.

Siostra oddziałowa chłodno kiwa głową, lecz nadal stoi i wpatruje się w nieprzytomnego pacjenta, jak w nie umyty basen.

— Zna pani moją opinię, pani doktor. Potrzeba im leczenia hormonalnego. Jeśli nie wręcz interwencji chirurga. Jak za starych dobrych czasów.

— Dziękuję, znam opinię siostry. Była siostra łaskawa zaprezentować ją nam ze szczegółami na ostatnim zebraniu personelu oddziału.

Siostra oddziałowa najeża się.

— Muszę dbać o bezpieczeństwo moich pielęgniarek.

— Zdaję sobie z tego sprawę — mówi lekarka, składając ręce.

— Czasami zastanawiam się, co by na to wszystko powiedział doktor Bowdler, gdyby żył. Co się wyprawia w tym szpitalu w imię medycyny.

— Jeżeli ma siostra na myśli nowe osiągnięcia...

— Osiągnięcia! Już ja wiem, jak należałoby nazwać większość z nich. Coraz bardziej przypomina to Bedlam*.

— Zechce siostra poszukać pielęgniarza i noszy.

Pielęgniarka stoi w miejscu.

— Może pani pomyśleć sobie, pani doktor, że jestem stara i głupia, ale jest jeszcze jedna rzecz, o której chcę pani powiedzieć. Chodzi mi to po głowie od jakiegoś czasu. Te ściany są nie do wyszorowania. Każdy najmniejszy zakamarek pełen jest

* Bedlam — londyński szpital psychiatryczny St. Mary of Bethlehem (przyp. tłum.).

obrzydliwego brudu. One wprost ociekają posocznicą. Graniczy to dla mnie z cudem, że nie mamy tutaj epidemii za epidemią.

— Zobaczę, czy nie udałoby mi się siostrze jakiejś załatwić.

Tego już za wiele. Pielęgniarka ze złością pochyła się do przodu.

— Niech pani nie będzie w stosunku do mnie taka sarkastyczna, młoda kobieto. Przez moje ręce przeszło więcej przemądrzałych nie dorobionych specjalistów niż ciepłych kolacji przez pani. Sądzi pani, że wasze pokolenie wszystko wie. Chciałabym przypomnieć, że miewałam już do czynienia z takimi przypadkami, kiedy pani nosiła jeszcze koszulę w zębach.

— Siostro...

Lecz smoczyca jest niepohamowana.

— Połowa pacjentów na tym oddziale to nic innego jak symulanci. Ostatnią rzeczą, jakiej potrzebują, jest głaskanie po głowie przez nie dopieczonych lekarzy, świeżo po szkole, którzy...

— Siostro, wiem, że przechodzi siostra trudny okres swego...

— To nie ma z tym nic wspólnego!

— Jeżeli siostra nie przestanie, będę musiała porozmawiać z przełożoną pielęgniarek.

Nic z tego; siostra oddziałowa dumnie wypina pierś.

— Tak się składa, że pani Thatcher podziela moje poglądy. I na dyscyplinę, i na antyseptykę.

— Czy to ma być przykład dyscypliny?

— Proszę mi nie tłumaczyć, co to jest dyscyplina. Od kiedy pani została tutaj przydzielona, ten oddział popada w ruinę.

— Co, jak rozumiem, oznacza, iż tylko w połowie przypomina obóz koncentracyjny, którym był kiedyś.

Natychmiast okazuje się, że ten pochopny atak prowadzi w pułapkę. Siostra oddziałowa unosi wzrok ponad głowę lekarki i odzywa się z dostojnym umiarkowaniem jak ktoś, kto za chwilę pchnie nożem w plecy znenawidzonego współpracownika.

— Lepszy obóz koncentracyjny niż striptiz.

— A cóż to ma znaczyć?

Pielęgniarka wciąż wpatruje się w ścianę swym świdrującym wzrokiem.

— Niech pani nie myśli, że nie wiem, co się wydarzyło w sali wykładowej parę dni temu.

— A co się wydarzyło?

— Bardzo dobrze pani wie. Cały szpital o niczym innym nie mówi.

— Nie wiem.

— Nowe cięcie pana Lawrence'a w mastektomii.

— Co z nim?

— Jak słyszałam, zostało zademonstrowane dermografem na pani nagich piersiach.

— Miałby problem, żeby zademonstrować to na moich ubranych piersiach.

Pielęgniarka bardzo sceptycznie wciąga powietrze.

— Akurat tamtędy przechodziłam, kiedy szukał ochotniczki.

— Przed dwudziestoma czterema studentami płci męskiej. Jeżeli dobrze słyszałam.

— I co z tego?

Oczy pielęgniarki nagle płoną — jeżeli niebieska szarość może płonąć — spoglądając na lekarkę.

— Jak słyszałam, ostatnią rzeczą, na jakiej się skupiali, była linia cięcia.

Doktor Delfie uśmiecha się, lecz bardzo nieprzekonująco.

— Siostro, powinnam pójść do magazynu leków i poprosić o dwie trzydziestomiligramowe tabletki dembutoprazilu. A kiedy siostra już tam będzie, być może też mogłaby siostra zrobić to, o co prosiłam na początku.

— Zobaczymy... pani doktor. Zobaczymy.

Z tym pożegnalnym wyrzutem — słowo "doktor" brzmi w jej ustach bardziej jak splunięcie niż słowo — niepohamowana pielęgniarka wychodzi. Doktor Delfie przez chwilę odprowadza ją wzrokiem; potem jej ręce energicznie wędrują na biodra i odwraca się gwałtownie. Przypatruje się swemu nieprzytomnemu pacjentowi. Kolejny czyn jest bardzo niemedyyczny. Prawa pięta wykonuje szybki ruch do tyłu i wymierza leżącemu ciału celne i mocne uderzenie w bok z siłą i precyzją, które zdają się sugerować, że mogłaby być równie dobrym piłkarzem jak bokserem. Skutek tego ozdrowieńczego kopniaka jest natychmiastowy. Miles Green gwałtownie siada, trzymając się za obolałe miejsce, przy czym wcale nie wygląda na kogoś, kto właśnie ocknął się z omdlenia.

— To bolało.

– Miało boleć. To była podła i nikczemna sztuczka.

– Mnie wydała się raczej śmieszna.

Ona gniewnie wyciąga palec.

– Dzwoniłam po siostrę Cory.

Jego twarz przyjmuje łagodnie ironiczny wyraz zdziwienia.

– Sądziłem, że siostra oddziałowa była twoim pomysłem. – Doktor Delfie wbija w niego wzrok; potem jej pięta wykonuje kolejny ruch, a on staje się ofiarą jeszcze gwałtowniejszego kopniaka. Tym razem udaje mu się jednak odparować cios. Chrząka i rzuca jej rozbijająco pojednawczy uśmiech. – Ot, takie luźne skojarzenie.

– Nieprawda! Ona była starannie dopracowana. Trzymałeś ją w rękawie od samego początku, w swój zwykły... to była rozmyślna próba zmylenia mnie.

– Dałaś sobie zupełnie dobrze radę. – Uśmiecha się, lecz ona pozostaje poważna.

– I do tego siostra. Nie myśl, że nie zauważyłam.

– Czego?

– Mojej wrednej prawdziwej siostry.

– Czysty zbieg okoliczności.

– Przestań wreszcie traktować mnie jak kretynkę! Okulary ani przez moment mnie nie zwiódły. Poznałabym te ohydne rybiozielone oczy na kilometr. Nie mówiąc już o jej świętoszkowatości. Wszędzie węszy jakieś brudy, coś co jej samej wydaje się brudem. Mówi, że to moralny nakaz, jej dług wobec historii. Lubieżna stara maciora.

– Szczerze mówiąc, miałem coś innego na myśli.

– A co do tego infantylnego i całkowicie niezasłużonego świńskiego kawału z moim obnażaniem się przed... nie chodzi o to, że jesteś pozbawiony gustu, całkowicie nie zdajesz sobie sprawy z tego, jakim jesteś szczęściarzem, że możesz choć na mnie spojrzeć, nie mówiąc o tym, że możesz mnie dotknąć, a jeśli chodzi o... to beznadziejne. Poddaję się. – Natychmiast ciągnie dalej. – Kiedy pomyślę o tych wszystkich godzinach, które ja... i na coś, co jest... muszę być chyba nienormalna. – On otwiera usta, by coś powiedzieć, lecz ona nie dopuszcza go do głosu. – To mogło skończyć się pięknym *happy endem* dwadzieścia minut temu. – On ostrożnie unosi rękę do szczęki. – Przed tym. Kiedy chciałam usiąść ci na kolanach.

– Chodziło ci tylko o to, by pokazać, kto tu rządzi.

– Gdybyś nie był tak kompletnie głuchy na subtelności języka, zauważyłbyś, że użyłam tego niewątpliwie oklepanego i sentymentalnego, choć w tym kontekście w

oczywisty sposób istotnego znaczeniowo, przynajmniej w wyrobionych językowo kręgach, do których oboje rzekomo należymy, wyrażenia "pocałować i przytulić".

— Zauważyłem.

— Kiedy kobieta to mówi, naprawdę mówi to z czułością. — Wpatruje się w niego posepnie. — Obawiam się, że nie byłbyś w stanie rozpoznać gałązki oliwnej, nawet gdybyś siedział w oliwnym gaju.

On rozciąga się na różowym dywanie z rękami pod głową i patrzy na nią.

— Twoje interesujące poszukiwania stylistyczne całkowicie pomijają fakt, że celowo wybrałaś taki moment, kiedy wiedziałaś, że będę ci musiał odmówić.

— Zupełnie się z tobą nie zgadzam. Po prostu był to moment, kiedy twoja wyobraźnia musiałaby wykonać niewielką woltę.

— Przez obręcz, którą ty trzymasz. Podchodzi o krok, składa ręce na fartuchu i spogląda na niego srogim wzrokiem.

— Posłuchaj, Miles, czas, byśmy wyjaśnili sobie pewne rzeczy. Ponieważ tak zgrabnie porównujesz się do cyrkowego pieska, w porządku, te wszystkie głupawe gierki, cały ten nonsens, pozwalam ci się wygadać. Wiem, że dziecinne mózdzki muszą jakoś pozbyć się nadmiaru swej bezsensownej energii. Ale to odgrywanie ról, te żarty, udawanie, że nigdy nie słyszałam o Cwetanie Todorowie i hermeneutyce, i diegesis, i dekonstruktywizmie — koniec z tym wszystkim. Jeśli chodzi o problemy literackie, które wymagają prawdziwej dojrzałości i doświadczenia, tak jak zakończenia, ja będę podejmować decyzje. Czy to jest jasne?

— Tak, pani doktor.

— I możesz darować sobie ten sarkazm. Muszę ci przypomnieć, że jesteś zupełnie przypadkowym i szybko przemijającym przypadkiem biologicznym, a i to...

— Czym?

— Słyszałeś. Mikroskopijnym niczym, amebowatym trutniem, zagubioną muchą lecącą przez pałac wieczności. Podczas gdy tak się składa, że ja jestem archetypem kobiety z rozwiniętym na przestrzeni wieków poczuciem głębszych wartości. Ponadto, wiesz o tym równie dobrze jak ja, moja fizyczna obecność tutaj jest czysto iluzoryczna, po prostu epifenomen będący wynikiem pewnych reakcji elektrochemicznych zachodzących w twoim, jeśli naprawdę cię to interesuje, charakteryzującym się patologiczną hipertrofią prawym płacie mózgowym. Ponadto...

— Przerywa, by zaczerpnąć powietrza. — Zabierz rękę z mojej kostki.

— Zastanawiałem się tylko, czy archetypy mają kostki.

– Jeżeli podniesiesz ją choć o centymetr wyżej, dam ci o wiele mocniejszego kopniaka.

On cofa rękę.

– Coś, zdaje się, mówiłaś?

– Pomimo wszystkich twoich oczywistych wad i braków, miałam cię nadziei, że któregoś dnia z moją pomocą pojmiesz, iż najmniejszą rzeczą, jaką twoja samolubna, arogancka i monotonna zwierzęca płęć jest winna mojej za wszystkie zadane jej w przeszłości...

– Proszę, nie zaczynaj tego na nowo.

– ...okrucieństwa, jest odrobina czułości, kiedy o nią prosimy.

– Czyli rżnięcie.

Wpatruje się w niego; potem powoli wyciąga palec wskazujący, jakby to był pistolet, z którego ma zamiar za chwilę wystrzelić. Odzywa się niskim głosem:

– Miles, ostrzegam cię. Stoisz na krawędzi przepaści.

– W takim wypadku cofam moje potoczne wyrażenie.

– Czego powiedziałam, że chcę?

– Czułości. Następnym razem będę pamiętała.

Ona ponownie zakłada ręce i spogląda przez pokój.

– Jeśli chodzi o ścisłość, w trakcie tej ostatniej sceny podjęłam decyzję. Nie będzie następnego razu.

Zegar z kukułką tyka w ciszy sprowokowanej tym oświadczeniem. On zaczyna się uśmiechać.

– A kto to powiedział?

– Ja to mówię.

– Ponieważ, jak sama mnie przed chwilą poinformowałaś, nie stoisz tam naprawdę, jesteś tylko wytworem mojej wyobraźni, nie bardzo rozumiem, w jaki sposób ty sama miałabyś decydować o naszej wspólnej przyszłości.

Ona rzuca mu ostre spojrzenie. Jego usta i oczy nie starają się nawet ukryć samozadowolenia. Lecz jeszcze nigdy, w długiej historii wyrazu twarzy, uśmiech nie został zmieciony z niej równie szybko. W jednym momencie on bezgłośnie tryumfuje, w następnym gwałtownie siada z ustami rozdziawionymi ze zdziwienia. Z pozycji siedzącej pada na kolana, gorączkowo macając przestrzeń, którą jeszcze chwilę temu, wypełniała. Zniknęła. On wstaje, ręce jeszcze raz desperacko młóć powietrze

dookoła. Rozgląda się pospiesznie po pokoju, kuca, by zajrzeć pod łóżko, a potem jeszcze raz omiata wzrokiem szare ściany.

— O Jezu.

Dużymi krokami podchodzi do drzwi i otwiera je na oścież — po to tylko, by po raz kolejny zobaczyć ten sam pokój zastawiony swoją zdeorientowaną twarzą, postacią swego samotnego sobowtóra. Zamyka drzwi, opiera się o nie i spogląda na łóżko. Po chwili unosi lewą rękę i szybko szczypie ją prawą ręką. Znowu rozgląda się po pokoju. Rezygnuje, przelika ślinę, chrząka. Jego głos przybiera brzmienie pomiędzy pytaniem a pochlebstwem.

— Erato... kochanie.

Cisza.

— Suko.

Cisza.

— To niemożliwe.

— To nie tylko nie jest niemożliwe. To jest.

Jej głos dochodzi z kąta pokoju, w którym stoi stół i krzesło, lecz jest bezcielesny. Nie ma żadnej fizycznej oznaki jej obecności.

— Gdzie jesteś, na miłość boską?

— Tam, skąd nigdy nie powinnam była się ruszać.

— Nie możesz robić takich rzeczy. Mówisz, że ja łamię reguły...

— Chcę cię o coś zapytać, Miles. Czy również traktowałbyś mnie tak grubiańsko i barbarzyńsko jak przez ostatnią godzinę, gdybyś wiedział, że jestem córką szefa mafii, zamiast tego, kim naprawdę jestem? Gdybyś wiedział, że wystarczyłoby podnieść słuchawkę telefonu, by został na ciebie wydany wyrok?

— Chcę wiedzieć, dlaczego nie mogę ciebie zobaczyć.

— Miałeś właśnie drobny przypadek tętniaka mózgu, patologicznego rozdzęcia arterii. Niestety, miało to wpływ na ośrodki nerwowe pomiędzy centrami woli i wizualizacji umysłowej. Leżą one w pobliżu kory mózgowej i są bardzo podatne na uszkodzenia.

Kolejna oznaka przerażenia maluje mu się na twarzy. Z udręką patrzy na puste krzesło.

— Nie pamiętam już nawet, jak wyglądasz.

— Co może będzie dla ciebie nauczka, by nie mieszać się do spraw, o których nie masz pojęcia. Takich jak amnezja.

Po omacku, jakby cierpiał na ślepotę, wyczuwa przed sobą drogę do łóżka i ciężko na nim siada.

— Czy tego nie da się cofnąć?

— Jestem pewna, że całe środowisko literackie dołączy do mych modlitw, by tak rzeczywiście było.

— Nie możesz mi tego zrobić. — Głos milczy. On wkłada rękę pod morwowoczerwony szlafrok, na serce. — Słabo mi.

— Nie odpowiedziałeś na moje pytanie.

— Potrzebuję lekarza.

— Ja jestem lekarzem.

— Prawdziwego lekarza.

— Jeśli chcesz wiedzieć, Miles, ta absurdalnie romantyczna rola, którą ty i cała neurotyczna reszta twego rodzaju zawsze mi przypisywaliście, nijak nie ma się do rzeczywistości. Jeśli chodzi o ścisłość, odebrałam wykształcenie jako psycholog klinicysta. I tak się składa, że moją specjalizacją jest choroba psychiczna, którą ty, w swojej ignorancji, nazywasz literaturą.

— Choroba psychiczna!

— Tak, Miles. Choroba psychiczna.

— A co z...

— Jesteś dla mnie przypadkiem, który czuje potrzebę odreagowania wstrząsu, jakiego doznał, przychodząc na świat. Jak zwykle, jesteś napiętnowany potrzebą niszycielskiego odwetu. Jak zwykle, objawia się to przeniesieniem na równie silną potrzebę podglądactwa i ekshibicjonizmu. Widywałam to już tysiące razy. Oznaką patologii są również twoje próby zapanowania nad tym nie rozładowanym wstrząsem przez nieustanne oddawanie się quasi-regresywnym czynnościom pisania i publikowania. Mogę ci powiedzieć, że byłbyś o wiele zdrowszą osobą, gdybyś całkiem otwarcie poddał się tym dwóm potrzebom determinującym twoje zachowanie.

— Miałbym zostać podglądaczem i ekshibicjonistą?

— Jest pewna profesja, która nie tylko zezwala, ale wręcz nagradza tego typu działania. W nieco wysublimowanej formie.

— Niby co?

— Teatr, Miles. Powinieneś być zostać aktorem lub reżyserem. Ale obawiam się, że teraz jest już na to za późno.

— Nie śmiałybyś powiedzieć mi tego prosto w twarz.

– Dzieje się tak dlatego, iż jestem nieuchronnie skazana na odgrywanie surogatu twojej matki, innymi słowy, głównego adresata twego stłumionego uczucia odrzucenia, przeobrażonego w *Rachsucht* czy potrzebę odwetu. Czas chyba, byś na nowo przeczytał Freuda. Lub innego z moich utalentowanych studentów, Fenichela. Spróbuj *The Psychoanalytic Theory of Neurosis*. New York. W. W. Norton and Company, 1945.

– Gdyby Freud cię kiedykolwiek spotkał, rzuciłby się do Dunaju.

– Nie bądź dzieckiem, Miles. Znów potwierdzasz moją diagnozę.

– Co to znaczy “znów”?

– Nie sądzę, bym musiała rozwodzić się nad prawdziwym analitycznym sensem twojej potrzeby symbolicznego upokorzenia lekarza-kobiety. — Zapada cisza. Potem nagle jej głos jest znacznie bliżej, przy łóżku, tuż za nim. — Tak naprawdę, to nigdy nie były gromy z jasnego nieba i trójzęby, wiesz? W mojej rodzinie zawsze wierzyliśmy, że natura powinna leczyć naturę.

On siedzi ze spuszczoną głową, po czym nagle, bez ostrzeżenia, obraca się i jak rugbysta przy przyłożeniu rzuca się w stronę narożnika łóżka, skąd zdaje się dobiegać głos. Niestety, prawe kolano zahacza o wysoki kant szpitalnego łóżka. Pomimo rozpaczliwej próby powstrzymania upadku, on spada na podłogę. Podnosi się ze złością. Teraz rozwścieczający go głos dochodzi spod sklepionego sufitu, znad jego głowy.

– Nie ma się czym martwić. Nie przeszkodzi ci to prowadzić całkiem normalnego życia. A najprawdopodobniej staniesz się bardziej użyteczny. Jako kopacz rowów na przykład. Albo śmieciarz.

On unosi wzrok.

– Bóg mi świadkiem, na twoim miejscu nie pojawiałbym się już na nowo.

– Wcale nie mam takiego zamiaru. Za to już za chwilę tętniak rozprzestrzeni się na przyległe centra akustyczne. Nie będziesz już nawet słyszał mego głosu.

On prawie krzyczy w stronę sufitu:

– Im szybciej spieprzysz stąd z powrotem na tę swoją cholernie nudną górę, tym będę szczęśliwszy.

Gwałtowność tej deklaracji zostaje nieco złagodzona kierunkiem, z którego nadchodzi odpowiedź: jej głos znów dobiega od stołu w narożniku.

– Jeszcze nie skończyłam. Po pierwsze, zastanów się, jakim jesteś szczęściarzem, że nie poprosiłam mego ojca o rozległy wylew w mózgu. Pominę

milczeniem całe twoje szyderstwo i sceptycyzm, jak i twoje próby drwin ze wszystkiego, co sobą reprezentuję. Znając wielką powierzchowność twojej inteligencji i ogólny obraz kliniczny, nie mogę cię winić za to, że jesteś ofiarą indoktrynacji tanio obrazoburczego ducha pozbawionej talentu i skazanej na samozagładę kultury.

— Dobrze się bawiłaś.

— Nie, Miles. Jeżeli sprawiałam takie wrażenie, to tylko po to, żeby cię sprawdzić. Zobaczyć, jak nisko potrafisz upaść. W płonnej nadziei, że w którymś momencie zawołasz: dość, igrzm ze świętą tajemnicą.

— Jezu, gdybym tylko dostał cię w swoje ręce.

— Nie mogę ci wybaczyć twojej niewdzięczności. Od dawna już nie poświęcałam żadnemu z moich pacjentów tyle uwagi co tobie. A co do strony artystycznej, to wbrew swym naturalnym inklinacjom, zrobiłam wszystko, aby dopasować się do twojej ociężałe dosłownej wyobraźni. Teraz, kiedy ten epizod mamy już za sobą, mogę ci powiedzieć, że co rusz w skrytości ducha wręcz skamlałam o choćby najmniejszy znak zawołanej metafory.

— Zamorduję cię.

— Chciałabym też, kiedy już odejdę na zawsze, a stanie się to już wkrótce, żebyś pamiętał, jak straciłeś życiową szansę. Zamiast tego, Miles, mogłabym siedzieć ci na kolanach. Mogłabym też nieznacznie sobie popłakiwać, sprawiając, że poczułbyś się bardzo męski i silny i tak dalej. Jeżeli mnie odpowiednio podejść i trochę się postarać, w najmniejszym stopniu nie przypominam tej żalosnej karykatury jędzowatej starej purytanki, którą całkiem niepotrzebnie w to wszystko wciągnąłeś. Twe kojące pieścizoty z czasem nabrałyby waloru erotycznego, nie mogłabym mieć nic przeciwko temu, że wykorzystujesz moje wzruszenie, w tej sytuacji byłoby to całkiem wiarygodne, i koniec końców, w całkiem naturalny sposób moglibyśmy znaleźć się w obopólnie zadowalającym położeniu. Lecz kochając się, Miles, a nie to obrzydliwe mechaniczne określenie, którego użyłeś. Bylibyśmy rozkoszną, wyrozumiałą, namiętną jednością. Cały epizod mógłby się na tym zakończyć; zrekompensowałyby to głupotę całej reszty. Ale niestety, nic z tego. A mogło być tak pięknie. Twa dumna męskość w głębokim posiadaniu mej oddanej kobiecości, po mistrzowsku wywołująca nowe łyzy, lecz tym razem łyzy cielesnej rozkoszy.

— Jezu.

— Nasze ciała połączone w całkowitej jedności, wiecznie oczekujące najwyższego uniesienia. — Głos milknie, jakby nieco poniewczasie zdała sobie sprawę,

że stał się odrobinę nazbyt liryczny w stosunku do propozycji; po chwili kontynuuje nieco spokojniej: — Oto, co zniszczyłeś. Teraz, to już niemożliwe na zawsze.

On spogląda ponuro na miejsce, z którego dobiega głos.

— Ponieważ nie mogę cię już ogarnąć wizualnie, nie mogę sobie nawet wyobrazić, co tracę. — Dodaje: — A co do wiecznego oczekiwania najwyższego uniesienia, bardziej niż cokolwiek innego przypomina to zatwardzenie.

— Jesteś taki niewyobrażalnie nieczuły.

On jeszcze raz składa ręce, z wyrachowaną przebiegłością wpatruje się w puste krzesło.

— Wiesz, wciąż mam przed oczami tę czarną dziewczynę.

— Nie życzę sobie o niej mówić. Od samego początku była zbyt dużym pomysłem.

— Zdecydowanie przewyższała cię urodą. I seksownością.

— Niby skąd to wiesz? Zapomniałeś przecież, jak wyglądam.

— Proces dedukcji. Jeżeli ona była jednym, ty musiałś być drugim.

— Jedno nie wynika z drugiego.

On opiera się na łokciu.

— Nadal czuję jej wspaniałą, czekoladowobrązową skórę, jej ciepłe, jędrne i zmysłowo kształtne ciało. Była niesłychana. — Uśmiecha się do pustego krzesła w rogu. — Z czego wnioskuję, że ty musiałś być raczej tłusta i mieć ziemistą cerę. To nie twoja wina, oczywiście. Jestem pewien, że psychiatria to bardzo niezdrowy zawód.

— Ani chwili dłużej nie będę słuchać tych...

— A jej usta. Wyglądały jak rozkwitający kwiat. Twoje musiały smakować grecką cebulą czy czymś takim. Wspomnienia... ona dała mi to wspaniałe uczucie, że naprawdę tego chce, że wszystko się może zdarzyć, wszystko jest dozwolone. Była jak wielki jazz. Bessie Smith, Billie Holiday... Wydaje mi się, że ty kimkolwiek jesteś, wywarłaś na mnie wrażenie kołtuna bojącego się własnego ciała, niezdolnego, by się wyzwolić, jeszcze jedna intelektualna zimna ryba, klasyczny przykład kobiecej osy*, zbyt oziębłej i generalnie popieprzonej, by kiedykolwiek...

Ręka pozostaje niewidzialna, ale policzek jest jak najbardziej realny. On unosi rękę i masuje twarz.

— Powiedziałaś: psycholog klinicysta.

* Osa — ang. *wasp*. Skrót WASP (*White Anglo-Saxon Protestant*) oznacza potomka białych osadników protestanckich w Ameryce Płn. oraz cechy zwyczajowo im przypisywane (przyp. tłum.).

— Jestem również kobietą. Świnia.

— Sądziłem, że już sobie poszłaś.

Głos dochodzi z drzwi.

— Właśnie mam taki zamiar. Zanim to jednak zrobię, muszę ci powiedzieć, że jesteś najbardziej absurdalnie próżnym człowiekiem, z jakim kiedykolwiek miałam do czynienia. Boże, ty masz tupet. Jedyłą rzeczą której wy, nie dorobione, nadęte kosmiczne kutasy nigdy nie zrozumiecie, to to, że wyzwolonej kobiety nie da się oszukiwać w sprawach seksu. Nie znalazłbyś się na liście najlepszych pięćdziesięciu tysięcy, nawet w tym kraju, o którym powszechnie wiadomo, że jest męskim dnem w łóżku. Wiedziałam to od chwili, gdy się spotkaliśmy. Byłbyś o wiele bardziej zadowolony, gdybym była marynarzem albo chłopcem z chóru. — Przez chwilę trwa cisza. — Czarna dziewczyna, śmiechu warte. Jak sądzisz, z kim rozmawiasz? Kim, według ciebie, była na przykład Czarna Dama z *Sonetów*? Kogo byś nie wymienił, wszystkich ich znam. I to nie tylko Shakespeare'a. Milтона. Rochester'a. Shelleya. Człowieka, który napisał *The Boudoir*. Keatsa. H. G. Wellsa. — Głos milknie na chwilę, po czym odzywa się jakby z mniejszym entuzjazmem: — Raz spędziłam nawet pewne namiętne popołudnie z T. S. Eliotem.

— Gdzie to było?

Krótką chwilą wahania.

— W Londynie. Kiepsko poszło.

— Dlaczego?

— To nie ma żadnego znaczenia. — On milczy. — Jeżeli cię to interesuje, to z jakiegoś absurdalnego powodu przebrał się za urzędnika agencji handlu nieruchomościami. Miał idiotyczny kapelusz, który pożyczył od jakiegoś milionera od tekstyliów. Byłam raczej znudzona i zmęczona, a on, szczerze... mniejsza o to. W końcu, zawstydzony i niezdecydowany natarł na mnie. Protekcyjnie pocałował mnie na pożegnanie. Jestem pewna, że zrobiłbyś dokładnie to samo, gdybym ci dała choć pół okazji. Ale nie mam takiego zamiaru.

— Naprawdę powinnaś pomyśleć o napisaniu pamiętników.

— Powiem ci jeszcze jedną rzecz. Gdybym się na to kiedykolwiek zdecydowała, to tylko po to, by powiedzieć prawdę o ludziach takich jak ty. Jeśli chcesz wiedzieć, dlaczego jesteś takim seksualnym zerem i tak atrakcyjny jak kosz z brudną bielizną, to dlatego, że jak wszyscy tobie podobni, nie masz zielonego pojęcia o kobiecej psychice.

Sądzisz, że jedyną rzeczą, do jakiej się nadajemy, to mdleć u twych stóp i otwierać nasze...

— Chwileczkę. — On siada. — Zaledwie kilka minut temu ty...

— Typowe. Dokładnie takie policyjne argumenty podnosi moja świętoszkowata najstarsza siostra. Jeżeli miała na coś ochotę wczoraj, musi mieć też ochotę na to i dzisiaj. O co, twoim zdaniem, chodzi w ruchu wyzwolenia kobiet?

— Na pewno nie o logikę. To jasne.

— Wiedziałam, że to powiesz. Czy nigdy nie przyszło ci do twojej biednej, małej, męskiej główki, że logika, jak ją nazywasz, jest umysłowym odpowiednikiem pasa cnoty? Gdzie, według ciebie, byłby dzisiaj świat, gdybyśmy od samego początku chodziły ubrane jedynie w logikę? Nadal byśmy pełzali po tym nieznośnie nudnym ogrodzie. Założę się, że tak, według ciebie, wygląda prawdziwy bohater, ten odwieczny wymoczek. Doprowadzający swą żonę do szaleństwa nudą domową. Nie pozwalający jej nawet kupić sobie od czasu do czasu paru ciuchów. Każda kobieta mogłaby ci powiedzieć, czym tak naprawdę był ten wąż. Po prostu nie stanął na wysokości zadania.

— Gdybyśmy mogli wrócić do pewnej sprawy. Kilka minut temu ty...

— Próbowałam wytłumaczyć twojej zakutej pale, że nie stałam się nagle dla ciebie niewidzialna; zawsze byłam dla ciebie niewidzialna. Ty widziałeś tylko to, co chciałeś widzieć. Czyli metaforycznie właśnie to.

W bardzo dziwny sposób, metr od drzwi i dwa metry ponad dywanem, pojawia się zawieszony w powietrzu zgięty mały palec, lecz kiedy tylko on go spostrzeżę, palec znika.

— Przychodzi mi na myśl inna część twojej anatomii, która charakteryzuje cię o wiele lepiej. W starożytnej grece nazywali to *delta*.

— Ohydnie tandetne określenie.

— I bardzo celne.

— Nakazuję ci milczeć. Jesteś zwykłym, zdegenerowanym, trzeciorzędnym pisarzyną. Boże, nic dziwnego, że "Times Literary Supplement" nazywa cię zniewagą poważnej angielskiej powieści.

— A ja uważam to za jeden z najpiękniejszych kwiatów w moim ogródku.

— Nic dziwnego. Jest to jedyny powód do dumy, jaki masz.

Panuje cisza. On odchyła się do tyłu i spogląda na łóżko.

– Uświadomiłaś mi przynajmniej jedną rzecz. Teraz widzę, że i tak już poplątana ewolucja kompletnie zwariowała, kiedy wprowadziła na scenę kobiety.

– I ciebie z jednej z nich.

– Za co od tamtej pory robicie nam wszystkie możliwe podłe i mściwe świństwa.

– Coś, o czym wy, niewinni, czyści jak lilie, znani ze swego pokojowego usposobienia mężczyźni nie macie zielonego pojęcia.

– Dopóki nas nie nauczyłyście.

– Nie przeszkadzaj sobie. Proszę, mów dalej. Nieprzeliczone zastępy patentowanych męskich paranoików stoją ramię w ramię przy tobie.

On wyciąga palec w stronę drzwi.

– Powiem ci coś jeszcze. Gdybyś była Kleopatram, twoją cypryjską ciotką i Heleną Trojańską w jednej osobie i stanęła nagle tutaj, nie chciałbym cię dotknąć nawet kijem.

– Nie obawiaj się. Wolałabym być zgwałcona przez stado orangutanów.

– Zupełnie mnie to nie dziwi.

– Spotkałam paru pożałowania godnych...

– I biedne te orangutany.

Zapada cisza.

– Jeśli choć przez chwilę sądzisz, że ujdzie ci to płazem...

– A jeśli ty sądzisz, że nie wolałabym raczej zostać analfabetą, niż jeszcze raz zostać zamkniętą sam na sam z tobą w jednym pokoju...

– Nie wybaczyłabym ci tego, nawet gdybyś czołgał się stąd do wieczności.

– Ani ja, gdybyś ty przeczłogała się z powrotem.

– Nienawidzę cię.

– Ani w połowie tak jak ja ciebie.

– O nie, nie potrafisz. Ja potrafię nienawidzić jak kobieta.

– Która nie potrafi utrzymać w swej głowie jednej myśli przez choćby pięć minut.

– Potrafi, potrafi. Przy pętakach takich jak ty.

On nagle uśmiecha się, wkłada ręce do kieszeni szlafroka i siada na łóżku.

– Przejrzałem twoją grę, moja dobra kobieto.

– Nie waż się nazywać mnie swoją dobrą kobietą.

— Bardzo dobrze wiem, dlaczego naprawdę stałaś się niewidzialna. — Zapada cisza. Kpiąco przyzywa ją nieznacznym gestem. — No chodź. Wiesz, że nie możesz oprzeć się jabłku. Mimo że jesteś tylko archetypem.

Znów zapada cisza, lecz w końcu od strony drzwi odzywa się szorstki głos:

— Dlaczego?

— Ponieważ, gdybyś nie była niewidzialna, owinąłbym cię wokół mojego małego palca — unosi go — w mniej niż pięć minut.

Następuje chwila brzemiennej ciszy. A potem od strony drzwi rozlega się dźwięk niemożliwy do opisanego za pomocą zwykłego alfabetu (greckiego czy angielskiego), jakieś "urrgh" czy "arrgh", wysokie i niskie zarazem, dźwięk wolno podrzynanego gardła, palonej duszy, wytrzymałości rozciągniętej poza granice wytrzymałości, udręczonej udręki. Jest bliski, ale jednocześnie zdaje się pochodzić z najgłębszych czeluści wszechświata, z ostatecznego i najgłębszego sedna istoty ożywionej i — ożywionego razem z nią — cierpienia. Postronnemu słuchaczowi, zwłaszcza wyznawcy mniej optymistycznej teorii natury kosmosu, która twierdzi, że pewnego dnia musi on zapaść się w sobie z czystego przerażenia swym idiotycznie oczywistym bezsensom, musiał ten dźwięk wydać się bardzo trafny i dogłębnie poruszający. Jednak mężczyzna na łóżku w szaro wyściełanym pokoju wydaje się raczej cynicznie rozbawiony tą krzyżówką jęku i śmiertelnego rżenia, którą sprowokował.

Co mogło nastąpić potem... lecz to, co następuje, jest o wiele bardziej banalnym dźwiękiem, choć całkiem nieoczekiwanym. Słychać nagle turkot, trzask zapadek i wychwyty dotychczas rzekomo nieczynnego zegara z kukułką na ścianie w rogu. Jest to niewątpliwie wstęp, pomijając jego wyraźnie absurdalną i klekoczącą długość, do jakiegoś istotnego oświadczenia. W końcu nadchodzi — mała szwajcarska wyrocznia z drewnianego pudełka — i obwieszcza swe cudowne przesłanie.

Przy pierwszej kukułce doktor Delfie staje się znów widzialna. Stoi przy drzwiach w swym białym fartuchu, ręce trzyma przy głowie, tuż przy miejscu, gdzie obejmowały ją w szale rozpacz. Jednak teraz spogląda na zegar ze zdziwioną radością jak dziecko, które słyszy dzwonek obwieszczający koniec lekcji; przy drugiej kukułce odwraca się w stronę Milesa Greena, który wstaje z łóżka i impulsywnie wyciąga ku niej ręce; przy trzeciej jedno biegnie, a drugie kroczy po różowym dywanie; a przy czwartej kukułce, gdyby taka nastąpiła, padają sobie w ramiona.

— Och, kochany.

- Moja kochana.
- Kochany.
- Kochana.
- Kochany.
- Och, moja kochana.

Brak tym nieco kukulczym słowom i zwrotom przyjemnego rytmu i tempa prawdziwego, doświadczonego głosu zegara; ich wypowiedzenie trwa o wiele dłużej niż przeczytanie, ponieważ bardziej przypominają hausty powietrza niż słowa, a na dokładkę stanowią przerywniki w serii gorączkowych i w widoczny sposób nienasyconych pocałunków. W końcu ona odchyła głowę, choć oba ciała pozostają ciasno splecione, i odzywa się nieco bardziej logicznie:

- Myślałam już, że stanął.
- Wiem.
- Och, Miles. To trwało całą wieczność.
- Wiem... nie traktuj poważnie ani jednego...
- Kochanie, wiem. To wszystko moja wina.
- I moja.
- Nie, nieprawda.
- Kochanie.
- Och, kochanie.
- Kocham cię.
- Ja ciebie też.
- Na miłość boską. Każ tym drzwiom zniknąć.
- Tak, tak.

Ona odchyła głowę i spogląda na nie. Drzwi znikają; ponownie zwierają się w pocałunku, potem osuwają na dywan.

– Och, mój biedny aniele, popatrz, jaki ogromny... nie, przestań, pozwól mi, pourywasz guziki. Cisza.

– Och, moje kochanie, kochanie.

Znowu cisza.

– Ty mój potworze, uwielbiam, kiedy ty...

Jeszcze raz cisza. Lecz tym razem zaczyna się dziać coś dziwnego, choć para na różowym dywanie jest zbyt zajęta sobą, by to zauważyć. Szaro wyściełane ściany ukradkiem stają się matowe. Wkrótce jest już jasne, że nagle i całkiem

niewytłumaczalnie tracą swoją fakturę i materię, całą swoją trwałość. Z pikowanego materiału zmieniają się w mgłę o zmierzchu. W niej, czy raczej przez nią, widoczne stają się surrealistyczne kształty, ruch, jak cienie oglądane przez pokrytą mrozem szybę czy jak mroczne oceaniczne głębie zza iluminatorów batyskafu.

— Och, to takie przyjemne. Zrób to jeszcze raz.

Kolejna chwila ciszy.

— Och, Miles. Chyba umrę.

Jeszcze jedna, bardzo krótka, chwila ciszy.

— Nie, nie przerywaj, nie przerywaj...

Gdyby ich oczy były otwarte, zobaczyliby, że zdradzieckie ściany, w sposób, który przypominał crescendo zgrane w czasie z ich ruchami, zmieniły się jeszcze bardziej — w przezroczyste szklane tafle, nie zatrzymujące niczego oprócz dźwięku. Jednak najgorsze ma dopiero nadejść. Ze wszystkich stron tego szklanego pudełka, tej prostokątnej szklarni, w ciemności rozjaśnionej jedynie nikłym światłem dochodzącym z wnętrza pokoju pojawiają się nierówne falangi chorych i ich opiekunów: pacjenci w szlafrokach, pielęgniarze, pielęgniarzki, sprzątaczkę, dozorcę, lekarze, specjaliści, personel wszystkich szczebli; nadchodzą z każdej — z wyjątkiem jednej — strony, aż ich pierwsze szeregi, upiorne twarze na zewnątrz akwarium, napierają na przezroczystą ścianę. Stoją i patrzą ze smutną i niemą pożądlivością tak jak prześladowani wpatrują się w uprzywilejowanych lub głodujących — przez szybę restauracji — w karmionych i karmiących. Jediną intymną, wciąż świętą rzeczą pozostaje słowo, choć w pokoju nie brzmią teraz żadne słowa, a jedynie porwane fragmenty alfabetu.

Na zewnątrz, metr od miejsca, gdzie znajdowały się drzwi, stoi nieprzejednana i groźna postać siostry oddziałowej. Na jej twarzy nie maluje się ani głód, ani pożądlivość, a jedynie psychologiczna konsekwencja obecności krochmalu w jej fartuchu. Ze wszystkich stron zwarte szeregi twarzy, lecz dookoła niej — pustka. Tak jak kropla antyseptyku na płytce z kulturą bakteryjną izoluje mnożące się zarazki. Żadne inne oczy nie są tak zahipnotyzowane przedstawieniem. Wpatrują się z iskrzącą intensywnością. Tylko raz odrywają się od spektaklu, by rzucić piorunująco złe spojrzenie na ściany niemych twarzy na lewo, prawo i naprzeciwko. W ten sposób skąpy właściciel teatru mógłby spojrzeć na widownię lub burdelmama ocenić swą nocną klientelę. Widzi zastraszające wrażenie, które wywiera, lecz jest to umysł, który choć potrafi widzieć, nie potrafi czuć.

Już po wszystkim; niczego nieświadoma para leży bez ruchu, podświadomie odtwarzając swą pozycję po pierwszym szpitalnym spółkowaniu; pacjent leży na plecach, lekarka na nim, głowę ma wspartą na jego ramieniu, lecz tym razem czule trzymają się za ręce, palce mają splecione. Milcząca publiczność przygląda się jeszcze przez chwilę, po czym nagle, jakby znudzona bezruchem, ustaniem akcji, odwraca się i szurając nogami, odchodzi w otchłań cienia. Jedyne siostra oddziałowa stoi nieruchomo. Krzyżuje swe pulchne ramiona i pozostaje wpatrzona. Wątle dusze mogą odejść, lecz ona, ona nigdy nie zaniedba swego obowiązku, by węszyć, oceniać, nienawidzić i potępiać ciało.

Tego jest już zbyt wiele nawet jak dla ścian. Ze stukrotnie większą szybkością niż wtedy, gdy stały się przezrocyste, następuje przeciwna metamorfoza. Siostra jest zaskoczona, robi krok do przodu, przez chwilę widać, jak jej wściekła, zawiedziona twarz i ręce napierają na mętniejące szkło, jakby raczej była zdecydowana przebić się na drugą stronę, niż zostać w ten sposób pozbawiona żeru. Na próżno: w zaledwie dziesięć sekund szary wystrój, dające schronienie, ciepłe, choć nieco jednolicie monotonne, ściany i dziewczęce piersi powróciły po chwilowych zaburzeniach do swego pierwotnego stanu. Zewnętrzny świat znów nie ma dostępu.

IV

Deux beaux yeux n'ont qu'à parler.

Marivaux, La Colonie

Na Boga, potrafi ona przemawiać. Oczywiście, widziała więcej świata niż ty i ja
— w tym cała tajemnica.

Flann O'Brien, At Swim-Two-Birds

(adaptacja)

Miles Green otwiera oczy i wpatruje się w kopułę sufitu; i tę zewnętrzną, znajdującą się nad jego głową, i tę wewnętrzną, swoją własną. Nie zastanawia się, czy pozostał mu jakiś wiarygodny strzęp męskiej psychologii, prawda o tej wiecznie pięknej, namiętnej, zawsze gotowej, zawsze pewnej, młodej greckiej bogini, którą trzyma w ramionach, lecz czy, jeśli usiłuje dokonać rzeczy niewykonalnej, próbując opisać słowami sufit pełen zwieszających się szarych piersiątek, ścisłość opisu usprawiedliwia użycie niewątpliwie rzadkiego terminu “nibyarabeska”, co z kolei przywodzi mu na myśl Alhambrę, a w dalszej kolejności islam. Całuje włosy leżącej u jego boku hurysy.

— Kochanie, brawo. To było interesujące.

Ona całuje go w ramię.

— Dla mnie też, kochanie.

— Być może jeszcze nie najbardziej interesujące, ale...

Ona ponownie całuje go w ramię.

— Możliwości są nieograniczone.

— Byłaś dzisiaj naprawdę znakomita w niektórych wymianach.

— Ty też, kochanie.

— Poważnie?

— Twój nowy smecz z bekhendu o honorarium dla mnie.

— Czysty refleks.

— To było słodkie. — Całuje go w ramię. — Byłam pełna zachwytu. Mogłabym zabić cię na miejscu.

On uśmiecha się wpatrzony w sufit i przyciąga ją do siebie odrobinę bliżej.

— Spryciara z pani, doktor Delfie.

— Spryciarz z pana, Milesie Green.

— To był twój pomysł.

— Nigdy nie mogłabym sama go urzeczywistnić, kochanie. Całe życie czekałam na kogoś takiego jak ty.

Całuje jej włosy.

— Wciąż mam ten wieczór przed oczami. Kiedy zjawiłaś się pierwszy raz.

— Naprawdę, kochanie?

— Siedziałem sobie i bębniłem na tej żalosznej maszynie do pisania.

— Skreślając dziewięć słów na dziesięć.

— Utknąłem z tą nieszczęsną bohaterką.

— Kochanie, to po prostu nie byłam ja. Byłam okrutna po to, żeby w końcu ci ulżyć.

Poklepuje ją po plecach.

— A zatem to ty, z krwi i kości, siedziałaś na krawędzi biurka.

— Ze zdziwienia o mało nie spadłaś z krzesła.

— Kto by nie spadł, kiedy takie olśniewające stworzenie jak ty pojawia się jak grom z jasnego nieba?! A na dokładkę mówi, że ma dla mnie propozycję.

Ona opiera się na łokciu i posyła mu z góry uśmiech.

— Na co zapytałaś, kim, do diabła, wydaje mi się, że jestem.

— Byłem nieco zaskoczony.

— A kiedy ci powiedziałam, ty odpowiedziałaś, że bym nie była absurdalna, że nigdy mnie wcześniej nie spotkałaś. — Pochyliła się i muska ustami koniuszek jego nosa. — Byłaś taki śmieszny.

— Naprawdę nie mogłem w to uwierzyć. Aż do chwili, gdy powiedziałaś, że masz już szczerze dość ukrywania się za postaciami wyimaginowanych kobiet. Wtedy zaczęło do mnie docierać, że operujemy na tej samej długości fali.

— Bo ty miałaś równie dość wymyślania ich.

Odpowiada jej uśmiechem.

– Wciąż znakomicie odgrywasz ten kawałek. Bardzo przekonująco.

– Robię to z głębi serca.

Całuje wewnętrzną stronę jej przegubu.

– To było takie wspaniałe: znaleźć w końcu kogoś, kto zrozumie.

– Kochanie, kto inny, jeśli nie ja? – pyta ona, spoglądając w dół z przesadną skromnością.

– Jakże nudne jest pisanie, a konieczność wydawania jest jeszcze gorsza.

Uśmiecha się do niego czule i podpowiada:

– A więc...?

– Jeżeli udałooby się nam znaleźć jakiś absolutnie niemożliwy...

– Nie do napisania...

– Nie do ukończenia...

– Nie do wyobrażenia...

– Wymagający nieskończonych korekt...

– Tekst bez słów...

– Moglibyśmy w końcu być naprawdę sobą.

Pochyla się i całuje go.

– A wtedy?

On wpatruje się w sufit, jakby znów nastąpił wspaniały moment ostatecznego olśnienia.

– Przekleństwo powieści.

– Czyli?

– Wszystkie te nudne kawałki pomiędzy seksownymi momentami. – Patrzy jej prosto w oczy. – Cóż miałem na to odpowiedzieć? Wiedziałem, że jesteśmy dla siebie stworzeni.

Ona znów opiera głowę na jego ramieniu.

– Zapomniałam, co potem zrobiłam.

– Powiedziałaś: “Mój Boże, na co my więc jeszcze czekamy?”

– Och, Miles, nie mogłam być taka bezwstydna.

– Mogłaś, mogłaś.

– Kochanie, nikt nie posiadał mnie w mojej prawdziwej osobie przez prawie siedemnaście wieków. Od czasu tych ohydnych chrześcijan. Ci wszyscy inni pisarze, o których mówiłam, nigdy nie zbliżyli się do mojej prawdziwej osoby bliżej niż na kilometr. Jesteś naprawdę pierwszy od czasu... nie pamiętam nawet, jak się nazywał.

Nie mogłam się już doczekać. — Wzdycha. — Czy naprawiłeś już tę biedną małą otomanę?

— Pozostała ze złamaną nogą jako memento.

— Kochanie, jakie to słodkie z twojej strony.

— Chociaż tyle mogłem zrobić.

Całuje go w ramię. Przez chwilę leżą w całkowitej ciszy na dywanie w kolorze starego rózu. Potem przeciąga ręką w dół jej gładkich pleców, ciepła kość słoniowa, do talii i przyciągają nieco bliżej.

— Założę się, że tak naprawdę zbliżyli się nieco bardziej.

Zaprzecza.

— Zawsze chowałam się za kimś innym.

— Na przykład, za Czarną Damą. — Całuje jej włosy. — Nigdy wcześniej o tym nie mówiłaś.

— To nie był zbyt szczęśliwy związek.

— Opowiedz.

Ona wzdycha, na poły rozbawiona, na poły zażenowana.

— Miles, to jest osobista historia.

— Nikomu nie powiem.

— Hm... — Przez moment się waha. — Powiem ci jedną rzecz. Kimkolwiek by był, nigdy nie był Łabędziem znad Avonu.

On odwraca się podniecony i zdziwiony.

— Nie chcesz chyba powiedzieć, że to jednak był Bacon?

— Nie, kochanie. Chodzi mi o to, że jedynym wspomnieniem przeszłości, którego nigdy nie zdołał przywołać na pamięć w czasie słodkich sesji niemych rozmyślań, było coś tak elementarnego jak kąpiel. Dlatego wypadłam tak, jakbym wyniośle trzymała się na uboczu. Szczerze, nie mogłam zmusić się, by podejść bliżej niż na odległość krzyku. Pamiętam, jak spotkałam go któregoś dnia. Szedł sobie Old Cheapside, pukał się w łysinę, powtarzając wciąż tę samą linijkę... nie mógł wymyślić następnej. Więc krzyknęłam do niego przez ulicę, przezornie stanęłam za dziewczynką sprzedającą lawendę, i podpowiedziałam mu.

— Która to była linijka?

— "Bogiń chodzących nie widziałem wcale".

— A co ty mu krzyknęłaś?

– “A to dlatego, iż cuchniesz niebywale”. Czy jak to tam brzmiało w elżbietańskiej angielszczyźnie.

On uśmiecha się do sufitu.

– Jesteś niemożliwa.

– Wszyscy byli jednakowi. Gdyby historycy literatury nie byli takimi ponurakami, dawno by się już zorientowali, że miałam bardzo złą passę pomiędzy upadkiem Imperium Rzymskiego a wynalezieniem wewnętrznej kanalizacji.

On przez chwilę milczy.

– Gdybym tylko od początku wiedział, że prawdziwa ty nie bierzesz niczego poważnie.

Jej ręka wędruje w dół jego brzucha.

– Niczego?

– Z wyjątkiem tego.

Ona szczypie brzeg jego pępka.

– Jestem tym, kim chcesz, żebym była.

– A zatem nie jesteś naprawdę sobą.

– To jest moja prawdziwa postać.

– A więc możesz powiedzieć mi prawdę o Czarnej Damie.

– Kochanie, nie spodobałaby ci się ani trochę. Była dokładnie taka jak siostra Cory.

– Nie literacko, fizycznie jak siostra Córy?

– Jak dwie krople wody. Dziwnym zbiegiem okoliczności. Odwraca się niezmiernie zdziwiony.

– Erato, nie... nie nabierasz mnie?

– Oczywiście, że nie, Miles. — Podnosi wzrok i patrzy mu w oczy. — Chciałabym, żeby tak było. Pozwala opasać swojej głowie i wpatruje się w sufit.

– Mój Boże, czarna.

– Wydawało mi się, że zdecydowaliśmy się na czekoladowobrązowy, kochanie.

– I nie miałaś nic przeciwko temu?

Ona wzdycha.

– Kochanie. Żartowałam przed chwilą o tym, że byłam na Old Cheapside. Byłam tylko wytworem jego wyobraźni. Chodzi o to, że ten wytwór jego wyobraźni do złudzenia przypominał pewien wytwór twojej wyobraźni. Różnica polega na tym, że ty nie chcesz go tam pozostawić, to znaczy, nie ty osobiście, a wszyscy ostatnimi czasy.

Wszystko musi być "realne", bo w przeciwnym wypadku nie istnieje. Doskonale wiesz, że realna "realna ja" jestem urojona. Jestem realna dla ciebie, bo chcesz, żeby tak było. To miałam na myśli chwilę temu.

— Ale to przecież ty przyszedłeś do mnie i usiadłeś na moim biurku.

— Kochanie, po prostu chciałam sprawdzić, jak to jest, kiedy się jest realną. Naturalnie, musiałam wybrać kogoś, dla kogo mogłabym być realna. Równie naturalnie wybrałam ciebie. To wszystko. Naprawdę.

Przez chwilę leżą w milczeniu. Potem on odwraca się nieznacznie.

— Położymy się na łóżku?

— Oczywiście, kochanie.

Ona wstaje i pomaga mu wstać. Obejmują się czule, usta w usta, potem idą ręka w rękę i kładą się na łóżku w tej samej pozycji: jej głowa spoczywa na jego ramieniu, jego ręka obejmuje jej ramię, jej zgięta prawa noga leży na jego nogach. On odzywa się.

— Zapomniałem, która nieopisywalna wariacja to była.

— Dwudziesta dziewięta.

— Myślałem, że trzydziesta.

— Nie, kochanie. Druga po dwudziestej siódmej, a dwudziesta siódma to ta, w której każesz mi... — Przytula się mocniej. — No wiesz. Ty brzydalu.

— To znaczy ta, kiedy ty każesz mi, żebym ci kazał...

— Ciii...

Całuje go w ramię. Zegar tyka z zadowoleniem, brzemienno kolejnym kukaniem. Mężczyzna na łóżku mówi do sufitu:

— Nigdy bym w to nie uwierzył. Za każdym razem robimy to w coraz bardziej niemożliwy sposób.

— Mówiłam ci. Wy, małej wiary.

— Wiem, że mówiłaś, kochanie. — Przesuwa rękę wzdłuż jej pleców i poklepuje ją. — Ty i siostra Cory.

— Jako siostra Cory — mówi ona, szczypiąc go delikatnie.

— Bardzo dobrzeją odgrywasz. Ciągłe zapominam, że jesteście jedną i tą samą osobą. — Całuje jej włosy. — Od kiedy ona, to znaczy ty... fantastyczne. Nic dziwnego, że stary William... kiedy tak zaczynasz szaleć. I nic też dziwnego, że wyłysiał, skoro wszystko to działo się w jego głowie.

— Naprawdę tak było, kochanie. Ujmuje jej prawą rękę. Splatają palce i leżą przez kilka chwil, wspominając w milczeniu.

— Coś mi dzisiaj nie pasowało. To znaczy, że tylko dwa razy. Bo przecież *interruptus* się nie liczy. — Ona milczy. — Przeciętną nadal mamy trzy, co?

— Dokładnie trzy przecinek trzy okres.

— Dwa to trochę mało.

— Możemy to nadrobić.

— To ta literatura. Za każdym razem, kiedy zaczynamy się nad tym rozwodzić, tracimy z oczu priorytety.

— Kochanie, nie przeczę, ale biorąc pod uwagę to, kim jestem, nie mogę tak całkiem o tym zapomnieć.

— Mój aniele. Wiem, że nie możesz. Tylko że...

— Tylko co, kochanie?

Przesuwa ręką po jej plecach.

— Właściwie myślałem o jednej z twoich nowych dzisiejszych wariacji. — Lekko ją poklepuje. — Oczywiście, jak zwykle zrobiłaś to po mistrzowsku. Ale ja wciąż się zastanawiam, czy ona była tak do końca udana.

— A która to była wariacja?

— Kiedy udajesz, że jesteś psychoanalitykiem. Te wszystkie bzdury o tym, że jestem podglądaczem i ekshibcjonistą. Szczerze mówiąc, wydało mi się to trochę przesadzone. W tych okolicznościach. Trochę jak cios poniżej pasa. Zwłaszcza ten kawałek o fiksacji na punkcie matki.

Ona opiera się na łokciu.

— Ależ, Miles, kochanie, kto powiedział ostatnim razem, że chciałby zjeść moje piersi żywcem?

— Zdecydowanie nie powinniśmy wyciągać zbyt daleko idących wniosków tylko i wyłącznie dlatego, że jako siostra Cory masz niewiarygodną parę cycków.

— Tylko jako siostra Cory?

— Oczywiście, że nie. — Szybkim ruchem muska rzeczoną parę. — Obie.

— Miles, słyszałam wyraźnie. Powiedziałeś: "siostra Cory".

— Przejęzyczenie.

Ona spuszcza wzrok.

— Szczerze mówiąc, ja nie widzę żadnej różnicy.

— Skarbie, zasadniczo nie ma żadnej różnicy.

Ona podnosi wzrok.

— Co to znaczy “zasadniczo”?

— Minimalny niuans. Nie możesz być zazdrosna o samą siebie. Po prostu jako ona jesteś niedostrzegalnie bardziej dumna i śmiała. Jeszcze bardziej słodko swawolna i prowokacyjna, niż już jesteś. — Wyciąga rękę i znów poklepuje omawiane obiekty. — Twoje są subtelniejsze. Delikatniejsze. — Po raz kolejny przeprowadza inspekcję ich delikatnej subtelności, lecz tym razem jakby z cieniem wątpliwości. — Pozwól mi je pocałować.

Ona kładzie się w poprzedniej pozycji.

— Mniejsza o to.

— Jesteś jednak próżna.

— Żałuję, że pozwoliłam się namówić na odgrywanie roli czarnej dziewczyny.

— Kochanie, zgodziliśmy się. Nie potrzebuję cię w jeszcze jednej, kolejnej postaci tylko po to, żeby przypomnieć sobie, jak niewymownie niebiańska jesteś w swojej własnej. W każdym bądź razie chodzi o to, że choć przyjemnie jest oskarżać mnie o kazirodztwo i całą tę resztę, mamy ważniejsze rzeczy do zrobienia. Zdarzyły nam się dzisiaj dłużyzny bez nawet jednej wzmianki o seksie. Czasami mam wrażenie, że tracimy poczucie priorytetów. Musimy odnaleźć ducha tych absolutnie fantastycznych numerów... który to był, kiedy przez cały czas nie powiedzieliśmy do siebie ani słowa?

— Numer osiem.

— Miał tak cudownie jednolity układ, był taki intensywny, nieprzerwany... no wiesz. Nie zawsze można wspiąć się na takie wyżyny, ale mimo to...

— Wydaje mi się, że byłam w nim tyle samo czasu siostrą Cory, ile sobą samą.

— Byłaś, kochanie? Zupełnie zapomniałem. — Klepie ją po plecach. — Dziwne. Mógłbym przysiąc, że byłaś sobą cały czas.

Zapada cisza. Erato leży oparta o niego. W jej postaci nastąpiła teraz niewielka zmiana: oczy ma szeroko otwarte. Można by nawet przez moment odnieść wrażenie, że chowa urazę. Lecz niemal natychmiast wrażenie to okazuje się błędne, bo jeszcze raz odwraca usta i całuje skórę na wysokości swojej twarzy.

— Masz rację, kochanie. Jak zwykle.

— Nie mów tak, kochanie. Tylko czasami.

— Boję się jedynie, że robisz się o wiele lepszy w byciu niemożliwym niż ja.

— Nonsens.

– To prawda. Nie mam twego intuicyjnego daru rujnowania nastroju. To niełatwe, gdy spędziło się całą resztę życia, próbując robić coś dokładnie przeciwnego.

– Ale byłaś dzisiaj wspaniała. Powiedziałaś takie rzeczy, iż wydawało mi się, że ci ich nigdy nie wybaczę.

Po raz kolejny, z westchnieniem, całuje jego ramię.

– Robiłam, co w mojej mocy.

– Udało ci się.

Przytula go odrobinę mocniej.

– To przynajmniej potwierdza, że miałam rację, kiedy na początku przyszedłam do ciebie.

– To bardzo miłe, że tak mówisz, kochanie.

Ona milczy przez chwilę.

– Mimo to, że nigdy nie powiedziałam ci dlaczego.

– Ależ powiedziałaś, kochanie. Wielokrotnie, kiedy odpoczywaliśmy. O tym, jak zawsze podziwiałaś moją czułość wobec kobiet, jak uświadomiłaś sobie, że mam problemy literackie i tak dalej. – Ona w milczeniu całuje go w ramię. On wpatruje się w sufit. – Czy chcesz przez to powiedzieć, że były jakieś inne...?

– Nie ma o czym mówić, kochanie.

– Powiedz mi.

– Ale nie obraż się. – Gładzi jego klatkę piersiową. – To dlatego, że czuję się tobie taka bliska. Nie chcę mieć przed tobą żadnych tajemnic.

– A więc? Powiedz mi.

Przytula się do niego jeszcze odrobinę mocniej.

– Po prostu chodzi o to, że wątpię, czy zdajesz sobie sprawę, jak atrakcyjne te, jak je nazywasz, problemy literackie, zawsze były... są dla dziewczyny takiej jak ja. – Palcami muska jego prawy sutek. – Nigdy ci tego nie powiedziałam, Miles, ale poczułam to od naszego pierwszego spotkania. Oczywiście, nie wiedziałeś, że to ja; byłam ukryta za tym kimś, kogo akurat usiłowałeś wymyślić. Ale obserwowałam cię cały czas, kochanie.

– I?

– Dzięki Bogu, myślałam, oto jest wreszcie chłopiec, który nijak nie da sobie z tym rady, nawet za tysiąc lat, i nawet zaczyna to do niego docierać. Przez cały twój młodzińczy okres, kiedy waliłeś głową w ceglany mur, wypisując te... kochanie, to nie jest łatwe, wiem, że pisane w dobrej wierze, wiem, że się starałeś, a ja próbowałam ci

pomóc, ale, spójrzmy prawdzie w oczy, beznadziejnie rozkojarzone i niedokładne próby sportretowania mnie; przez cały ten naprawdę straszny i frustrujący dla mnie okres wierzyłam w ciebie. Ponieważ wiedziałam, że pewnego dnia przejrysz na oczy i zdasz sobie sprawę z tego, że jest to równie absurdalne jak człowiek bez nogi, któremu marzy się być olimpijczykiem. A wtedy mogłaby wreszcie spełnić się ta wspaniała, cudowna rzecz między nami. — Przerywa, po czym lekko prychnie z rozbawieniem. — Byłeś taki śmieszny jako siostra oddziałowa. Za każdym razem lepiej ją odgrywasz. Miałam ochotę śmiać się w głos. — On milczy. — Miles, wiesz, o co mi chodzi?

— Tak. Doskonale.

Coś w jego głosie każe jej szybko oprzeć się na łokciu i z niepokojem popatrzeć badawczym wzrokiem w jego twarz. Wyciąga rękę i gładzi go po policzku.

— Kochanie, zakochani ludzie muszą być ze sobą szczerzy.

— Wiem.

— Przed chwilą byłeś zupełnie szczerzy, jeśli chodzi o piersi siostry Cory. Ja tylko próbuję się zrewanżować.

— Zdaję sobie z tego sprawę.

Klepie go po policzku.

— Zawsze miałeś rzadki talent nieumiejętności wyrażenia siebie. To jest o wiele bardziej atrakcyjne i interesujące niż biegłość w posługiwaniu się słowem. Sądzę, że strasznie się nie doceniasz. Ludzi, którzy wiedzą, czego chcą, i potrafią to wyrazić, jest bardzo wielu. Fakt, że nigdy nie masz pojęcia ani o jednym, ani o drugim, sprawia, że stajesz się niemalże unikatem. — Przypatruje mu się z czułym zatroskaniem. — To dlatego przyszedłam właśnie do ciebie, żeby stać się realna, kochanie. To dlatego czuję się przy tobie taka bezpieczna. To jest świadomość, że jeśli nawet kiedykolwiek próbowałbyś jakimś cudem, niech cię ręka boska broni, choć wiem, że i tak tego nie zrobisz, złamać naszą małą umowę i przelać to wszystko na papier, i za milion lat nie byłbyś w stanie tego dokonać. Szczerze mówiąc, zastanawiałam się też i nad innymi pisarzami, ale żaden nie był w stanie zagwarantować mi tak solidnego poczucia bezpieczeństwa jak ty. — Przez chwilę patrzy na niego, potem pochyla się nad nim, oczy ma przepełnione szczerością, usta tuż nad jego ustami. — Miles, wiesz, że w ten sposób możesz mnie mieć, kiedy tylko zechcesz — całuje go w usta — i w jakiegokolwiek postaci. Jednak gdyby miała się zdarzyć ta druga okoliczność, i byłbyś w stanie to wszystko opisać, nie mogłabym być z tobą ani chwili dłużej. Musiałabym wrócić do roli cienia w labiryncie jaźni, byłabym jak ta nudna, stara, potępiona dusza, a nie

mogłabym znieść przekonania, że jestem dla ciebie tylko myślą. — Całuje go znów, lecz tym razem jej usta niemalże pozostają na jego ustach. — A poza tym, jesteś o wiele, wiele lepszy w tych sprawach.

Jeszcze jeden, dłuższy pocałunek i ona wraca do swej poprzedniej pozycji: policzek przy jego ramieniu, podgięta prawa noga na jego nogach. On wpatruje się w łukowato sklepiony sufit, a potem mówi:

— Jeśli chodzi o współczesną ścisłość, wielu ludzi...

— Kochanie, wiem. I doskonale rozumiem, że wołałbyś im wierzyć.

On bierze głęboki oddech.

— Sądzę, że mam prawo zwrócić uwagę na fakt, że w gruncie rzeczy nie musiałś napisać w swoim życiu ani jednej linijki i nie masz zielonego pojęcia, jak ta cholerna...

— Kochanie... wybac mi. Jest jeszcze jeden sekrecik, o którym ci nie wspomniałam.

— Co?

— Hm... jeśli chodzi o historyczną ścisłość, na samym początku, przez wiele wieków po tym, jak powstał alfabet, moje literackie siostry i ja miałyśmy problem. Widzisz, kochanie, on nie przyjmował się za szybko. Naturalnie, jeśli chodzi o sztukę inspiracji, wszystkie byłyśmy niesłychanie zielone. Ale też wszyscy ludzie sprawiali wrażenie ślepych albo głuchych. Po części znowu była to ta okropna Klio. Od samego początku robiła to, co robi stale od tamtej pory; przypięła się do ludzi, którzy mają władzę, do ludzi znanych. Pomijając wszystko inne, ona jest bezwstydną snobką. Przekonała praktycznie wszystkich, że alfabet jest najlepszym przyjacielem urzędu podatkowego. To był jedyny sposób, żeby to do nich dotarło. Wspaniale, teraz będziemy mogli przydybać podatkowych kombinatorów. Jedyne, czemu to służyło, to te idiotyczne spisy wołów i kadzi miodu, i amfor wina, i "Szanowny Panie, otrzymałem pańską niezadowolającą glinianą tabliczkę z dziesiątego ost.", no wiesz. Więc reszta z nas wpadła na znakomity pomysł. Wy, śmiertelni, niewątpliwie potrzebowaliście przykładu, czegoś, co by wam pokazało, że równie dobre dochody jak z nudnych sprawozdań finansowych można czerpać ze sprawozdań literackich; nie mówiąc już o różnych innych dodatkowych profitach. Zgodziłyśmy się więc, że każda z nas napisze próbkę własnej twórczości, po to żeby wskazać drogę. Nie rozwodząc się zbyt, Miles, kiedyś coś tam skrobnęłam.

— Coś, co niewątpliwie dawno już zaginęło?

— Nie, kochanie. Nie dalej jak parę dni temu widziałam egzemplarz w księgarni.

On wpatruje się w sufit.

— Opowiedz mi.

— Napisałam to oczywiście pod pseudonimem. Tytuł też jest inny.

— Chciałbym go poznać.

— Oryginalny tytuł? Taka szkoda, tak dobrze pasował do tematu. — Opiera się na ręce i patrzy na niego z góry. — Miles, oczywiście nie dotyczy to ciebie, ale zatytułowałam to *Mężczyźni: Czy oni kiedykolwiek wydorośleją?* W skrócie po prostu *Mężczyźni*. Nie sądzisz, że to udany tytuł? — On rzuca jej rozpromienionej twarzy podejrzliwe spojrzenie. Ona spogląda w dół i przeciąga palcem po jego bicepsie. — Oczywiście, nie było to w żadnym wypadku idealne. Teraz zdaję sobie sprawę z tego, że moje przesłanie nie zostało wyłożone dość jasno. Obawiam się, że chyba raczej przeceniłam inteligencję moich czytelników. Połowa z nich do tej pory nie wie, o co chodzi. Nawet dzisiaj.

On znów wpatruje się w sufit.

— Podaj mi współczesny tytuł.

— Wiesz, kochanie, mam jeszcze jedną okropną siostrę. Jest taka sama jak Klio, jeszcze jedna przerażająca snobka. One zawsze trzymają swoją stronę. Nazywa się Kaliope, ma opiekować się epiką. Jej próbka to najnudniejsza rzecz, jaką w życiu czytałeś. Ani odrobiny przyzwoitego seksu czy czegoś do śmiechu od początku do końca, więc żeby zagrać jej na tym głupim nosie, wzięłam jednego z jej przebrzydłych bohaterów i napisałam *Mężczyzn* o nim.

— Czy podasz mi wreszcie ten tytuł?

— Właśnie to zrobiłam, kochanie.

— Ten, który funkcjonuje dzisiaj.

Ona zaczyna kreślić palcem małe kółka na prześcieradle.

— Wstydzę się, kochanie. Nigdy nikomu się nie przyznałam, że naprawdę ja to napisałam. To było strasznie prymitywne i na swój sposób bardzo naiwne. Przede wszystkim poplątały mi się wszystkie miejsca.

— Działo się to w wielu miejscach?

Ona waha się, wciąż kreśli kółka.

— Tak.

— A więc było to coś o wędrownicy.

– Tak jakby.

– Broń Boże, ani przez chwilę nie zakładam, że jakimś niesłychanym zbiegiem okoliczności ta wędrówka rozpoczęła się tuż po splądrowaniu Troi?

– Kochanie, wolałabym raczej nie mówić.

– I jest nieco bardziej znana jako *Odyseja*?

Ona siada i gwałtownie odsuwa się od niego, skrywając twarz w dłoniach.

– O Boże, Miles. To straszne. Zgadłeś.

On składa ręce za głową i wpatruje się w sufit. Ona patrzy na niego z niepokojem, a potem instynktownie odwraca się i przywiera do jego ciała.

– Kochanie, nie możesz być zazdrosny tylko dlatego, że moja jedyna niezręczna próba literacka stała się niespodziewanym bestsellerem.

Spogląda prosto w jej niespokojne oczy.

– Wydawało mi się, że mieliśmy odpoczywać.

– Oczywiście.

– Ty masz tupet, żeby nazywać mnie bardziej nieznośnym niż ty sama tylko dlatego, że mimochodem zrobiłem jedną uwagę na temat piersi... to absurd. Każdy klasyczny uczony od początku wiedzy wie, że Homer był mężczyzną.

Ona gwałtownie opada do swej poprzedniej pozycji z głową na jego ramieniu.

– Och, Miles. Zraniłam cię.

– Oczywiście, że był mężczyzną. Był geniuszem. Jeśli ktoś jest zazdrosny, to właśnie ty.

– Żałuję, że w ogóle o tym wspomniałam.

– Bardzo dobrze, że to zrobiłaś. To pokazuje, na jakim poziomie funkcjonuje twój umysł. Gdybyś kiedykolwiek przeczytała tę cholerną rzecz, zdałabyś sobie sprawę z tego, że Ulisses wrócił do Itaki tylko i wyłącznie dlatego, że nie wiedział, gdzie ma, do diabła, szukać nowej łodzi i załogi. A Homer od samego początku doskonale rozszyfrował jego żonę. Ten kawałek o tkaniu. Każdy wie, dlaczego pająki-samice wabia samce.

Ona przytula się do niego.

– Miles, zaraz się rozpłaczę. Zupełnie jak Penelopa.

On wciąga powietrze.

– Zgoda, musiał nadać jej pewien rys ckliwej sentymentalności. Pewnie nawet wtedy trzeba było rzucić jakąś kość kobiecej części odbiorców.

– Proszę, nie mów “kobiecej”, jakby to było przekleństwo. I proszę, obejmij mnie jeszcze raz.

Przez chwilę on się nie rusza, po czym, z charakterystycznym dla męskiego umysłu szybkim zrozumieniem dla kobiecej irracjonalności, wyciąga prawą rękę zza głowy i otacza ramieniem jej plecy; jeszcze chwilę później klepie ją.

– W porządku. Uwierzę, że podsunęłaś mu jakiś pomysł. Kirke, Kalipso i tak dalej.

– Dziękuję, kochanie. To bardzo ładnie z twojej strony – mówi ona, całując go w ramię.

Po tej chwilowej sprzeczce leżą w milczeniu. W końcu on przerywa ciszę, starając się przybrać neutralny ton.

– Wciąż nie zdecydowaliśmy, co zrobimy następnym razem.

– Zdecydowaliśmy. Mniej gadania. Więcej akcji.

– W jednym miejscu moglibyśmy coś dodać. Kiedy odwracasz głowę w taki znudzony i zde gustowany sposób i mówisz: “Modlę się, żebyś zrobił swoje”. – Przerywa. – Pomyślałem, że być może następnym razem tak zrobię.

– To brzmi wyśmienie, kochanie. Czy chcesz, żebym dalej udawała znużoną i zde gustowaną, czy wręcz przeciwnie?

– Jak wolisz.

Ona przytula się do niego.

– Moje głupie kobiece uczucia się nie liczą. Chcę tego, czego ty chcesz. Ty jesteś mężczyzną.

– A ty masz być nieśmiertelna.

– Kochanie, naprawdę mi na tym nie zależy.

– Nalegam.

– W porządku. Będę udawała, że mi się to podoba.

– Nie chcę, żebyś cokolwiek udawała.

Ona milczy przez chwilę.

– Zawsze wiem, kiedy jesteś na mnie zły.

– Wcale nie jestem. Ani odrobinę. Chodzi tylko o to... hm, że potrzeba tutaj odrobiny organizacji. Nie można improwizować bez namysłu.

– Tak, kochanie.

– Nie siada się przy stoliku w restauracji, nie spojrzawszy w menu. Trzeba to najpierw zaplanować.

– Wiem, Miles.

– Chodzi mi o to, że spoczywa na nas pewna odpowiedzialność za trzy przecinek trzy okres.

– Kochanie, wiem.

– Pomijając wszystko inne, ty masz przed sobą nieskończone tysiąclecia. Podczas gdy ja...

– Miles.

On milknie.

– Do dziesięciu udawało się nam utrzymać poziom czterech lub pięciu na wariację. Dopiero potem, przy parunastu i dwudziestu paru zaczęliśmy rozmieniać się na drobne.

– I winisz za to mnie.

– Absolutnie nie. Chodzi mi tylko o odrobinę koncentracji. Z obu stron... — Zanim udaje się jej dojść do głosu, on ciągnie dalej: — Pomijając wszystko inne, jest całe mnóstwo... wariantów narracyjnych, których jeszcze nie zbadaliśmy w pełni.

– Takich jak?

On wpatruje się w sufit.

– Pomyślałem sobie, że następnym razem terapię wstępną mogłaby wykonać siostra Cory. Na przykład.

– Miles, jako kobieta mogę ci powiedzieć, że ona...

– Wydaje mi się to nieco dziwne, że była dość dobra dla największego poety w historii, a rzekomo nie jest dość dobra dla mnie.

– Jeżeli uważasz, że chwilowe *engouement* jawnego prowincjusza tą odrobiną burdelowego kiczu przywiezionego z Barbadosu czterysta lat temu... — Przerywa. — Zdaję sobie sprawę z tego, że jestem tylko boginią.

– Nadałaś jej w moich oczach całkiem nowy wymiar. Ot co.

– Wydawało mi się, że stare wymiary były zupełnie wystarczające.

On milczy.

– Nie chcę się kłócić. To był tylko taki pomysł. Jeżeli czujesz się zbyt ważna, by uosabiać rozkosznie ludzkiego i rozrywkowego członka upośledzonej rasy... cóż więcej można dodać?

Tym razem Erato milczy.

– Tylko terapię wstępną?

– W gruncie rzeczy moglibyśmy...

– Moglibyśmy co?

– Mniejsza o to.

– Nie, powiedz, proszę.

– Hm, właściwie przez cały czas mogłaby to być ona. To znaczy ona mogłaby być tobą. Znow czarna muza. Tylko po to, żeby trochę podnieść średnią.

– Czy masz jeszcze jakieś inne pomysły, Miles?

– Oprócz tego, byś na przyszłość nosiła nieco mniej spiczaste buty, kiedy kopiesz moje bezbronne ciało, to nie.

Po chwili ona unosi rękę. Jej twarz jest znow pełna skruchy. Spogląda na niego.

– Mój biedny skarbie. Mam wrażenie, że poruszyłeś się odrobinę, a ja już nie mogłam się zatrzymać.

– Dwudziesty dziewiąty raz.

– Och, Miles, nie zrobiłam ci chyba krzywdy! Pokaż, gdzie to jest. Pocałuję i zaraz ci przejdzie. — On dotyka żeber. Ona całuje wskazane miejsce; potem prostuje się i patrzy na niego z wyrzutem. — Kochanie, jesteś taki angielski w tym chowaniu wszystkiego w sobie. Jak na przykład siostra Cory i jej piersi. — Przygląda mu się przez chwilę z nie pozbawioną czułości refleksją. — Czasami kogoś mi przypominasz.

– Kogo?

– Kogoś, kogo spotkałam dawno temu.

Rzuca jej podejrzliwe spojrzenie.

– Kogo?

Wciąż oparta na ramieniu, delikatnie przesuwa ręką w dół jego klatki piersiowej i kreśli kółko wokół pępka.

– Nawet już nie pamiętam, jak się nazywał. Był nikim. Spotkałam go tylko raz. Właściwie to miałam przyjaciela, którego dzieliłam z moją wesołą siostrą Talią. Nazywał się Charlie. To on mnie tam zabrał. Dla kawału.

– Kto to był ten Charlie?

– Pozwól mi się jeszcze raz przytulić. — Przyjmuje poprzednią pozycję. — Mm... to takie przyjemne. Charlie był... o Boże, moja pamięć. Było ich zbyt wielu. — Poklepuje dłonią jego ramię; ostatnie klepięcie jest klepieniem tryumfu. — Francuzem.

– To się wydarzyło we Francji?

– Nie, w Grecji. Zdecydowanie w Grecji.

– Ale Charlie nie jest...

Jej prawa ręka zasłania mu usta.

— Miles, wiem. Te moje skojarzenia... Moment. Francuz... mam! Wiedziałam, że w końcu sobie przypomnę. Kwa, kwa, brekekekeks. Jedna ze sztuk Charliego była o żabach.

On wpatruje się w sufit.

— Dlaczego Charlie, na miłość boską?

— Jego prawdziwe imię jest bardzo długie. Nigdy go nie pamiętam.

— Jesteśmy w Atenach, w piątym wieku?

— Kochanie, nie dałabym głowy co do daty. Ale masz rację. To były Ateny, i to na długo przed dyskotekami, Onassisami i tego typu rzeczami. To było tak dawno temu, że nie możesz być zazdrosny, ale bardzo lubiłam Charliego. Był jednym z czterech Ateńczyków, którzy nie byli zdeklarowanymi ciotami; naprawdę, dziewczyna nie miała tam wielkiego wyboru; Talia i ja podsunęłyśmy mu pomysł na kolejną sztukę, w której było kilka niezłych żeńskich ról, które on znakomicie rozpiisał, chociaż, jeśli mam być szczerą, był tam kawał o kobietach z Miletu, które... ale to zupełnie inna historia. A więc. Potruchtaliśmy do starego, jak mu tam... Mieszkał w ohydny mieszkaniu na parterze w pobliżu rynku, zupełnie bez światła, bardziej przypominało to pieczarę niż mieszkanie i, żeby było jeszcze gorzej, siedział przy ogniu w kuchni na tyłach domu... mimo że było upalnie. Możesz to sobie wyobrazić? Stary głupiec oczywiście nie miał dla nas czasu, ledwo obrzucił mnie spojrzeniem, kiedy Charlie mnie przedstawił. Oczywiście, byłam tam *incognito*, nie wiedział, kim jestem. Nie sądzę, żeby miało to cokolwiek zmienić, gdyby wiedział. Wydawał się zainteresowany jedynie swymi wyciągniętymi w stronę ognia rękami i cieniem, który rzucały na ścianę. Jak byśmy mieli, Charlie i ja, po cztery lata. To niesłychane, ale podobno jakiś dzieciak pokazał mu, jak robić te cienie, zaledwie dzień wcześniej. Było oczywiste, że prawie zdziecinniał. Powinien być w domu starców. Czy ja ciebie przypadkiem nie nudzę?

On wpatruje się w sufit

— Mów dalej.

— Ileż można robić machających skrzydłami ptaków, śmiesznych twarzy czy wilczych głów? W końcu Charlie i ja mieliśmy już dość tego wszystkiego i Charlie zaproponował, żebym się dla żartu rozebrała; pamiętam, miałam na sobie śliczną, krótką, blad szafranową kieckę ze szlaczkiem wyszywanym czerwoną wełną wzdłuż rąbka. Kupiłam ją w moim ulubionym cefalońskim butiku za Akademią, prawdziwa

okazja na wiosennej wyprzedaży tydzień wcześniej, prosto spod igły, dokładnie mój rodzaj chitonu... na czym to ja skończyłam?

— Właśnie miałaś ją zdjąć przed...

— Po to, żeby zobaczyć, jak będzie wyglądał mój nagi cień, i po to, żeby ruszyć tego biednego, starego, trzęsącego się pierdołę. I wiesz, co się stało? Chwycił miotłę stojącą obok kominka i zaczął obrzucać biednego Charliego najgorszymi wyzwiskami. Że jeżeli Charlie sądzi, że jedna z jego poderwanych panienek, tak właśnie powiedział, jest jego, starego głupca, wizerunkiem idealnej kobiety, to powinien iść zbadać swój mały wodewilowy mózdzek. A potem miał czelność powiedzieć mi, że mam za długi nos, że moje brwi nie są właściwie wyskubane, że mój boski chiton jest o dziesięć centymetrów za krótki, moje ręce i nogi są za chude, moje pośladki nie są dostatecznie wydatne... oczywiście, ta ostatnia uwaga go wydała. Był taki jak cała reszta. Jego prawdziwym pojęciem idealnej kobiety był idealny chłopiec. Charlie powiedział mu to prosto w jego nędzną twarz. Gdyby nie uskoczył, dostałby miotłą po głowie. W końcu musieliśmy stamtąd wiać. A stary gamoń stał w drzwiach, wymachiwał swoją żalną miotłą i wykrzykiwał bzdury, że naśle na nas gwardzistów, ciekawe, kim oni, według niego byli, za najście... — Przerywa. — Był, no tym...

— Czy przypadkiem nie filozofem?

— Niewiarygodne. Skąd...

— Strzeliłem.

— Motłoch to motłoch. Charlie określił to zabawnie w jednej ze swoich fars. Powiedział, że nie potrafią odróżnić swych *phalloi* od swych *pyge*.

— Która to była farsa?

— Ta, o której wredna Klio powiedziała mi, że się nie zachowała. Ale znając ją, podejrzewam, że skatalogowała ją jako systemy irygacyjne Inków czy coś takiego. Po to, by móc ją wynieść i niezdrowo podniecać swe staropanieństwo w sobotni wieczór, kiedy nikt nie patrzy.

On nadal wpatruje się w sufit.

— Ale przypominam ci... tego starego pierdołę.

Ona całuje go w ramię.

— Bardzo nieznacznie, kochanie. Minimalnie. Tylko czasami.

— Ja tam nie widzę żadnego podobieństwa.

— Miles, nie rób się zaraz taki sztywny i obrażony. Nie mówię o fizycznym podobieństwie..

— Czy ja kiedykolwiek skarżyłem się, że się rozbierasz?

— Ale zawsze próbujesz zmienić mnie w coś, czym nie jestem. Jakbyś miał lubić mnie bardziej, gdybym była doskonała. Albo siostrą Cory. Mam wrażenie, że nigdy nie dorastam do twoich oczekiwań. Wiem, że mam swoje wady. Wiem, że mój nos jest o kilka milimetrów za długi. — Przerywa. — Miałam kiedyś innego przyjaciela. Zawsze się ze mnie wyśmiewał, w ogóle był z niego śmierdziel. Odszedł z tą śmiertelną nudziarą Kaliope. Zemściłam się jednak.

— Kto to był?

— Nie masz nic przeciwko temu, że tak sobie opowiadam? Musisz mi powiedzieć. Dostałam "nos" do jego prawdziwego nazwiska. A potem został wygnany. Napisał niesłychanie rozwlekłe... wiesz, to o założeniu... Marsz, marsz, marsz.

— Rzymu?

— Rzymu.

On wpatruje się w sufit.

— Mylisz dwóch ludzi.

— Nieprawda. Nigdy bym mu nie wybaczyła.

— Ten, który pisał o Rzymie, to Wergiliusz.

— Oczywiście. Ze też ty pamiętasz takie rzeczy.

— Ten, z którym miałaś romans, to Owidiusz.

Cisza.

— Miles, czy jesteś absolutnie pewien?

— Publius Ovidius *Naso*. Nos.

— Teraz, kiedy o tym wspomniałeś, coś mi się jakby przypomina. Czy ja go przypadkiem nie zainspirowałam jakąś odą czy czymś takim?

— To był Horacy, na miłość boską.

— A, tak. Ten śliczny kawałek o wróblu.

— Katullus.

— Och, pamiętam go. Był uroczy, przyjemnie się go drażniło. Byłam jego Liwią, wiesz?

— Lesbią. Chryste Panie.

Przytula się do niego mocniej.

— Kochanie, przepraszam. Naprawdę próbuję.

— Zastanawiam się: jeżeli w ten sposób traktujesz wielkich poetów przeszłości, to jak, do diabła, traktujesz...

— Miles, ja tylko inspiruję ludzi. Zasiewam ziarno. Nie mogę być wszędzie, gdy wschodzą kwiaty. A czytanie czegokolwiek z wyjątkiem greki męczy mi oczy. Żaden inny alfabet nigdy nie miał dla mnie tych samych subtelności.

Miles Green wpatruje się w sufit i myśli w milczeniu. Ona całuje go w ramię.

— Kochanie, o czym myślisz?

— Wiesz, o czym myślę.

— No, śmiało.

— Zastanawiam się, czy przeczytałaś choć linijkę z tego, co kiedykolwiek napisałem.

Teraz ona milczy przez chwilę. Potem wtula twarz w jego szyję i całuje ją.

— Miles, czytałam niektóre recenzje. I wielokrotnie słyszałam, jak ludzie rozmawiali o twoich pracach.

— Ale ich nie czytałaś?

— Wiem, o czym one są. Mam ogólne pojęcie.

— Pytałem, czy je przeczytałaś.

— Hm... w sensie dosłownym niezupełnie, kochanie. Ale zawsze miałam taki zamiar. Przysięgam.

— Dzięki.

— Miles, wiesz, że kocham prawdziwego ciebie.

— Wolalbym, żebyś nie używała słowa "prawdziwego". Całkowicie podkopałaś moją wiarę w to słowo. — Ciągnie dalej, zanim ona zdąży otworzyć usta: — Przede wszystkim, mówisz mi, że jestem beznadziejnie rozkojarzony i niedokładny. Potem przyznajesz się, że nie przeczytałaś ani linijki. Wiesz co? Powinnaś się wziąć do pisania recenzji.

Ona opiera czoło o jego ramię.

— Jestem taka jak ty. Nie idzie mi ze słowami.

— Posłuchaj, Erato. Te zagrywki, które zdarzają nam się w meczu, że tak powiem, to jedna rzecz. Lecz coraz częściej zaczynasz przenosić je na okresy odpoczynku. Coraz częściej zaczynasz naśmiewać się z rzeczy, które są dla mnie ważne. Jak rzeczywistość. I na Boga, nie powtarzaj mi, że jesteś tylko taka, jak ja chcę. Nie chcę, żebyś taka była. Jesteś taka, jak ty chcesz. I to przestaje już być śmieszne.

— Nie złość się, proszę.

– Nie jestem zły. Jestem zszokowany. I bardzo dotknięty.

On wpatruje się w sufit. Jej ręka leniwie zsuwa się po jego brzuchu i odnajduje zwiotczały członek; głaszcze, a potem ścisza go lekko. Po chwili on mówi:

– Zawsze masz na coś ochotę.

– W przeciwieństwie do ciebie.

– Nie o tym mówiłem.

– Nie mam głowy do nazwisk. Czuję się tak, jakby w głowie bzycało mi stado much.

– Czy to najlepsze porównanie, na jakie cię stać?

– Co ci się w nim nie podoba, kochanie? On ma ponuro zaciśnięte usta; w końcu jednak nie wytrzymuje.

– Pamięć masz doskonałą. Kiedy tylko chcesz.

Ona nadal pieści mu członek.

– Do niektórych rzeczy.

On milknie na chwilę.

– Dobrze ci mówić. Oczywiście, zdaję sobie sprawę, że całe to zdarzenie na łące na Parnasie jest tylko metaforą, symbolem alfabetycznych połączeń, które układają się w słowa i tak dalej. Ale nie rozumiem, dlaczego nie weźmiesz pod uwagę mego braku doświadczenia seksualnego. Doświadczenia takiego jak twoje. Nie jest to chyba zbyt wiele prosić cię, żebyś znalazła się w czyjejś skórze na godzinkę czy dwie. Raz na jakiś czas.

– Miles, wiem, że czarne jest piękne, ale odrobinę mnie to boli, że nie wystarczam ci taka, jaka jestem. Pomijając już zupełnie fakt, że przecież ustaliliśmy na początku, iż będę kimś innym tylko wtedy, kiedy będę miała na to ochotę.

– Tylko że ty jej nigdy nie masz.

– Nie pojmuję, dlaczego po prostu nie możemy być sobą.

– Ponieważ mnie nie rozumiesz. Czasami czuję, że mielibyśmy się oboje znacznie lepiej, gdybyśmy byli zupełnie innymi ludźmi.

Unosi jego członek, a potem go puszcza.

– Kochanie, rozumiem cię. Mogłam nie czytać twoich książek, ale czytam w tobie. Znam cię prawie na pamięć. – Poklepuje członek jakby na pożegnanie i wsuwa mu rękę pod ramię. – I proszę, skończmy rozmawiać. Odpocznijmy. Być może za chwilę poczuję się inaczej. Kiedy zaczniemy następną korektę.

– Wcale nie wydaje mi się, byśmy rozstrzygnęli tę sprawę.

– Kochanie.

– Ostatnio nic nie robimy oprócz gadania. Miałem cię zaledwie dwa żalose razy na przestrzeni, gdyby nie był to niemożliwy do napisania nie-tekst, co najmniej dwustu dziewiętnastu stron. Nie po to tutaj jesteśmy.

– Obiecuję, że na następny raz wymyślę coś naprawdę rozkosznego.

On wypuszcza powietrze.

– To nie wystarczy.

– Kochanie.

– W porządku.

– Nie powiem ani słowa. Możesz mnie brać bez końca.

– Czekał tatka latka.

– Obiecuję.

Klepie go po ramieniu. On otwiera usta, ale zaraz je zamyka.

W pokoju zapada cisza przerywana jedynie cichym tykaniem zegara z kukułką. Dwie postacie leżą splecione na znajdującym się w półmroku łóżku; oczy mają zamknięte – urzekający obraz seksualnej harmonii: przytulona kobieta, opiekuńczy mężczyzna, cisza po burzy zmysłów. Ona unosi prawą nogę na jego lędźwiach o kilka centymetrów wyżej, nieco sennie pociera łonem jego biodro, po czym znów leży bez ruchu.

Cała męska sympatia musi być po stronie Milesa Greena; a przynajmniej on jest o tym głęboko przekonany. Nie jest rzecz jasna niemożliwe, by nie mógł zechcieć pójść śladami Barda znad Avonu. I rzeczywiście, przez minutę lub dwie – gwoli samouspokojenia – przegląda w myślach obrazki wesołej, chętniej, a teraz również i historycznie fascynującej karaibskiej dziewczyny. Lecz wkrótce w najzupełniej naturalny sposób przeskakuje na inne możliwości wyjścia ze swego kłopotliwego położenia. Polinezyjki, Mandki, Wenezuelki, Hinduski, Włoszki, Rosjanki, dziewczyny z Libanu, z wyspy Bali i z różnych innych pośrednich miejsc; nieśmiałe, namiętne, zuchwałe, opanowane; ubrane i rozebrane, poskromione i dzikie, ścigane i ścigające, drażniące, zapłakane, flirtujące, wybuchowe... istne Narody Zjednoczone kobiecych oczu, ust, piersi, nóg, rąk, lędźwi, pośladków przyjemnie przemykają mu przed oczyma wyobraźni i jak w kalejdoskopie wpadają lub omijają okienka w jego głowie; niestety, jak obrazki na przerzucanych stronach czasopisma lub płatki śniegu nieruchome, bo nierealne.

Denerwujące jest oczywiście to, że wszystkie one czekają na wzejście lub powołanie do urokliwego życia i nietrwałej realności w ciele luźno ogarniętym jego ramieniem — jeżeli ta nieszczęsna dziewczyna (Homer, nie ma co) i jej absurdalnie kapryśna i banalna kobieca próżność (zwłaszcza absurdalna w rodzinie generalnie opętanej do granic szaleństwa na punkcie okazywania swego polimorfizmu) zostanie przywołana do porządku. Trzeba to powiedzieć wprost: jak większość bóstw, przyswoiła sobie w trakcie swej kariery dość głupie ludzkie cechy. To jej gładzenie. Można by pomyśleć, że jest ot, po prostu zwykłą kobietą; albo i jeszcze gorzej — żoną.

Takie oto refleksje nachodzą Milesa Greena. Nie chodzi o to — tłumaczy sobie jak zwykle obiektywnie — że, wzięwszy pod uwagę wszystkie plusy i minusy, można by skarżyć się na fakt, iż jako partnerkę do łóżka ma się boginię gotową spróbować niemalże wszystkiego (z wyjątkiem matamorfozy i brazylijskiego widelca); nie można też nie doceniać tego jedyne go ustępstwa, jakie poczyniła na rzecz odwiecznej męskiej quasi-duchowej pogoni za czymś o namacalny centymetr (lub sylabę) lepszym niż to, co już ma — czyli siostry Cory. Trzeba jednak pomyśleć o tych wszystkich innych ustępstwach, na które z łatwością mogła pójść, kiedy miała ku temu okazję. To było największe rozczarowanie ze wszystkich: odkrycie, że muzie może w tej sprawie nie wystarczyć wyobraźni, było srogim zawodem. To tak, jakby dostać w prezencie ferrari i nie móc pojechać nim szybciej niż dziesięć kilometrów na godzinę.

Nie ma się co oszukiwać: gdyby nie była tym, kim jest, trzeba by — jakkolwiek z niechęcią — zacząć zastanawiać się, czy przypadkiem nie jest ona typową mieszkanką przedmieść. Całe to gadanie o jej "realności" trąci drobnomieszczaństwem, straszliwą chorobą cartlandyzmu* czy wręcz etosem kucharek. A jeśli chodzi o jej zazdrość o siebie samą, tylko dlatego, że wydaje mu się bardziej seksowna, kiedy jest kimś innym... brak mu słów. Stąd jest już naprawdę tylko krok do pytania, czy jej prawdziwym domem jest na pewno Parnas, a nie przypadkiem jakaś plebania.

Bóg jeden zresztą wie, czy to jest najgorsze, myśli Miles. Ta ostatnia, nieznosnie przegadana wariacja, potwierdziła tylko to, co od dawna podejrzewał. Mniemanie, iż muzy są nieśmiałe i eteryczne, jest jednym z największych oszustw kiedykolwiek popełnionych na człowieku. Gdyż określenie "nieśmiałe i eteryczne" rozumiane jako "niesłuchanie lubieżne i zdradzieckie" znajduje się o wiele bliżej prawdy. Jedyna rzecz, którą ta u jego boku kiedykolwiek zainspirowała, w

* Barbara Cartland — autorka niezliczonej liczby ckliwych romansów (przyj. tłum.).

najmniejszym stopniu nie przypominała niczego poważnego. Powiedzmy (powiada Miles do siebie), weźmy taką sprawę, którą mogłem poruszyć, choć jeszcze tego nie zrobiłem, ale niech mnie diabli, jeżeli nie zrobię tego następnym razem — dlaczego, mianowicie, dziewięćdziesiąt dziewięć procent wszystkiego, co ta dziewczyna i jej siostry rzekomo zainspirowały, zawsze było i nadal jest kompletną stratą atramentu i papieru. To tylko potwierdza, jak bardzo mają to gdzieś. “Girłaski z Delf” — to było celne określenie, święte słowa... mój Boże, mógłby się założyć, że ci nieliczni, którzy spłodzili coś wartego uwagi, nie zrobili tego dzięki, lecz na przekór Erato.

To, co w oczywisty sposób zdradziło jej obecną grę, to rzekomy dar inspiracji, gdy ma na to ochotę. Z powodzeniem mogła być Czarną Damą, Lesbiami, Kalipso i Bóg jeden wie, kim jeszcze, kiedy miała na to ochotę; była gotowa nawet odegrać kawałek greckiej urny i westalkę z braku czegokolwiek lepszego. Ale to było dla innych; dla niego nie chciała przeistoczyć się nawet w zwykłą karaibską pielęgniarzkę po dyżurze. Gdy była na służbie, nigdy nawet nie przeszło jej przez myśl, by zastanowić się, do czego mogłaby dojść przy odrobinie poważnej i autentycznej inspiracji, nigdy nie przyszło jej nawet do głowy, by przeczytać, co napisał w przeszłości — wtedy z pewnością natychmiast by się zorientowała, że jest zbyt znaczącą osobistością, by zasłużyć na tak lekceważące traktowanie.

Trzeba to powiedzieć wprost (mówi Miles): jest niepoprawnie płytką, tak jak jest niepoprawnie gadatliwa. Można by niewątpliwie przymknąć oczy na fakt, że lekceważy wszystko, w co się wierzy w literaturze, wliczając w to również i samą siebie, dając w zamian swe własne, całkiem znośne ciało. Ale staje się przeraźliwie jasne, że nawet i tego nie bierze ona na poważnie. W razie potrzeby można by podyskutować na temat szacunku, jakim powinno otaczać się pisarstwo i pisarzy; lecz nie na temat tego, co kobiety zawdzięczają mężczyznom, i to jeśli chodzi o rzecz najbardziej fundamentalną ze wszystkich. W którymś miejscu te docinki i dowcipy muszą się skończyć, a biologicznej przyczynie istnienia kobiet w ogóle oddana sprawiedliwość. Nie chciałby się przechwalać ani tym bardziej stawać w szranki z Casanovą, Byronem czy Frankiem Harrisem, ale to jednak ona przyszła do niego, a nie odwrotnie. Jest oczywiste, jaki był tego powód.

To właśnie leży u podstaw jego zachowania: jej oburzenie, że on ją fizycznie pociąga — najlepszy dowód na to, jak daleko odeszła od prawdziwej boskości i Kartezjusza, i jak niewiele jej brakuje, by stać się kolejną odmóżdżoną dwudziestowieczną kobietą. Mój Boże, bardzo dobrze zna się ten typ z nudno

monistycznego prawdziwego świata na zewnątrz tego szaro wyściełanego pokoju: zazdrosne, jędzowate, powierzchowne, kwaśne, kiedy tylko wyda się im, że ich drogocenne, małe, wyzwolone ego wystawione jest na niebezpieczeństwo zdrady ze strony ciała; same się tego dopraszają, a potem odmawiają, w jednej chwili niewolnice zmysłów, w drugiej pyszną się swą rzekomo wolną wolą, no i zawsze szydzą z tego, czego nie są w stanie ogarnąć, próbując sprowadzić mężczyzn do swego poziomu. Są wiecznymi dziewczynkami — w tym cały szkopuł. Żadnego poczucia czasu, nie mają najmniejszego pojęcia, kiedy przestać, kiedy zacząć zachowywać się stosownie do swego wieku, jak dobitnie widać to na przykładzie Erato.

Miles sięga pamięcią do ich wczesnych wariacji — były takie cielesne, takie namiętne, tak wspaniale nieme, takie wymyślne, tak subtelnie nieoddawalne w tekście. A teraz! To wszystko jej wina. Z kobietami zawsze wyląduje się w bagnie rzeczywistości, inaczej zwanym słowami. Czasami nawet nasuwa się pytanie, czy przypadkiem nie wymyśliły literatury tylko po to, by się odgryźć, by umyślnie wprowadzić zamieszanie i rozproszyć swe lepsze męskie połowy po to, by roztrwonili najbardziej żywotne intelektualne aspiracje i treści na dygresje* i błahostki, zwykłe cienie na ścianach. Można by na to wszystko spojrzeć jak na gigantyczny spisek. Kto za nim stoi? Kto, jeśli nie ta przebiegła, złośliwa, dwulicowa istota leżąca u jego boku?

Wydaje się, że Miles Green miałby wszelkie prawo popaść w jak najbardziej zrozumiałe przygnębienie. Jednak kiedy tak sobie leży, w kącikach ust pojawia mu się — o dziwo — coś na kształt uśmiešku. Przyczyna jest prosta. Z wielką przebiegłością wystawił właśnie skazanego na pożarcie pionka, którego ma zamiar poświęcić, by zyskać królową. Jego wielokrotnie ostatnio powtarzane uwagi na temat siostry Cory i jej piersi nie były w żadnym wypadku wynikiem braku taktu czy złośliwości; była to rozmyślna próba przechytrzenia przeciwnika w oczywisty sposób zdecydowanego przechytrzyć jego samego. Kiedy Erato będzie już wystarczająco zazdrosna o siostrę Cory, on dobrowolnie i beztróska zaproponuje, by w ogóle o niej zapomnieć — proponuje też nowe rozwiązanie. Ta nowa, o wiele lepsza kandydatka została — po starannym, jak już wspomniano, przejrzeniu wszystkich możliwości — już wybrana. Prawdę mówiąc, on zastanawia się, jak w ogóle mógł być tak głupi, by nie zauważyć, o ile bardziej się do tego nadawała; poza tym konieczność przeistoczenia się w nią

* Dygresja (ang. *mantissa*) — stosunkowo nieistotny wręt, dodatek, zwłaszcza do dysputy literackiej. *Oxford English Dictionary* (przyp. aut.).

mogłaby dać greckiej dziewczynie (Boże, ileż racji mieli Trojanie, mówiąc o wielkoduszości Greków) leżącej u jego boku parę bardzo wskazanych lekcji na temat sposobów zachowania się wobec realiów biologii.

Kiedy tak wpatruje się w sufit, przywołuje tę nową kandydatkę. Jest Japonką; skromna i rozkosznie uległa w kimonie, rozkosznie nieskromna i nadal uległa bez niego. Lecz niewątpliwie jej największe piękno i powab zawierają się w warstwie językowej. Na samą myśl o tym coś we wnętrzu Milesa Greena wije się z rozkoszy. Jakikolwiek dialog, z wyjątkiem dialogu dwóch ciał, jest z nią wspaniale niemożliwy. Można by ewentualnie pozwolić Erato — *à la japonaise* — na kilka zdań łamanym angielskim. "Cześć, Johny", "Ty lubić niegrzeczna dama z Nippon", kilka tego rodzaju absurdów; lecz cokolwiek ponad to będzie wspaniale i niezaprzeczalnie niemożliwe.

Widzi jej pokornie spuszczone oczy, gdy kłęczy i brzdąka na swej trzystrunowej gitarze — w porównaniu z rozstrojoną lirą będzie to niewątpliwie o wiele przyjemniejsze; dalej widzi jej obnażone białe ciało pachnące ryżowym pudrem i liśćmi chryzantemy, jej lśniące rozpuszczone czarne włosy gdy w milczeniu kłęczy przy nim, swym samuraju, i oddaje się coraz bardziej wymyślnemu i podniecającemu seksualnemu odpowiednikowi ceremonii parzenia herbaty. Jej rozochocone ręce, włosy pachnące wodorostami, nieduże, jędrne, japońskie piersi — a wszystko to w całkowitym milczeniu. Aż w końcu, rozpalony do białości (tę scenę widzi najwyraźniej) rzuca ją na tatami, czy jak tam to coś się nazywa; ona leży u jego stóp w oczekiwaniu na ostateczną nagrodę, którą on zechce obdarzyć jej erotyczną maestrię. Jego nieskończenie uległa kobieta, nareszcie prawdziwy воск, sumienna i pełna szacunku, cierpliwa, pełna podziwu, a przede wszystkim niezrównanie milcząca — może z wyjątkiem jednego czy dwóch chrapliwych i niezrozumiałych westchnień dyskretnie wdzięcznej, orientalnej rozkoszy, gdy jej wyniosły pan i władca...

W trakcie tej przyjemnej wizji Miles Green zamknął oczy. Lecz teraz znów je otworzył. W jakiś dziwny sposób, równie niezrozumiałe jak japońskie westchnienia, które przed chwilą rozbrzmiewały mu w prawej półkuli mózgowej, czuje się, jakby był owinięty ręcznikami, jakby znajdował się w tureckiej łaźni lub w gorączce.

— Erato?

Ona mruczy jak przez sen.

— Kochanie?

— Dlaczego nagle zrobiło się tutaj tak piekielnie gorąco?

Ona klepie go po ramieniu.

— Sz... Odpoczywamy.

Mija kilka chwil.

— Wszystko mnie swędzi.

— Nie przejmuj się, kochanie.

On unosi rękę by podrapać szczególnie drażniące miejsce we włosach. Palce dotykają głowy. W mgnieniu oka siada, jakby nie dotknął własnego ciała, lecz wrzątku.

— Jezu Chryste!

W następnej chwili, niesłychanie (w innych okolicznościach) atletycznym susem zeskakuje z łóżka na leżący przy nim staroróżowy dywan i z przerażeniem spogląda w dół na swe ciało. Erato oczy ma nadal zamknięte.

— Coś nie tak, kochanie? — mruczy znowu.

Zamiast odpowiedzi on wydaje z siebie jęk: nie tak dogłębny i przejmujący jak ten wydany przez nią jakiś czas temu w tym pokoju, lecz również będący wyrazem wściekłości niemożliwej do opisanego słowami, niemożliwej do przetranskrybowania. Tak jak i poprzednio, to rozdzierające serce wołanie o pomoc *in extremis* pozostaje bez odpowiedzi u swej przyczyny. Tym razem nawet zegar z kukułką milczy.

Erato otwiera jednak ciemnobrązowe oczy i opiera się na łokciu. Nie do końca udaje się jej powstrzymać uśmiech boskich greckich ust. Jeżeli brak współczucia jest przerażający, taki też jest — trzeba to przyznać — wygląd jęczącej postaci, gdyż to, w co wpatruje się dzikim wzrokiem, to jego własne nogi i stopy. Nogi ma teraz dziwnie wygięte, uda mocno umięśnione, łykowate i pokryte czarną szczeciną. Stopy nie są już stopami, lecz racicami. Desperacko drapie rękami najpierw swe brodate oblicze, a potem odstające uszy. Wreszcie dotyka czoła, gdzie na linii włosów wyrosły dwa krępe rogi, każdy długości około czterech centymetrów. Jedna z rąk (jest to godne uwagi — nie zapomniał o konwencji) gwałtownie sięga w tył do końca kręgosłupa w poszukiwaniu ogona, lecz wygląda na to, że oszczędzono mu tego. Niewielka pociecha: blada północnoeuropejska skóra jest teraz tak śniada, że aż nie do poznania. Jedynie dzięki kilku rysom twarzy — gdyby tylko Miles Green to wiedział — można rozpoznać jakiegokolwiek podobieństwo do Milesa Greena. Z całą pewnością nie ma takiego podobieństwa w ostatnim szczególe jego anatomii, który sterczy teraz do góry swą okazałą długością i rozmiarem czterojajeczniwiarygodnie przewyższając o mile całe wymiary swego poprzednika na tym miejscu.

On spogląda na uśmiechniętą twarz na łóżku wzrokiem będącym mieszaniną przerażenia i złości.

— Ty podstępna, cholerna suko.

— Ależ kochanie, to jest to, co nazywano anagnoryzmem. W języku starogreckim. Poza tym, pomyślałam sobie, że chciałbyś przekonać się, jak to jest być mną. Tak, dla odmiany.

— Nie wybaczę ci tego!

— Przecież powiedziałaś, że nie rozumiem prawdziwego ciebie.

— Zmień mnie z powrotem.

Mierzy go wzrokiem z góry na dół.

— Pasuje ci. A poza tym, nasza średnia.

— Zmienisz mnie, do cholery, z powrotem czy nie?

— Szczerze mówiąc, pomyślałam sobie, że byłaby to wariacja na temat amnezji.

Tym razem mógłby to być poważny przypadek satyrozji.

— Mój Boże, sama się dopraszasz! — Ona odwraca się na brzuch, podpira brodę rękami i bezgłośnie uśmiecha się do niego. — Ty niesmaczna... nie myślałem o tym!

— Możemy podarować sobie dyftongi. Pierwszy raz.

— Mój Boże. — Znów spuszcza wzrok na swą priapiczną osobę. — To odrażające. — Spogląda na nią z wściekłością, z odrazą zdeklarowanego abstynenta, któremu zaoferowano wielką flaszkę najprzedniejszej whisky. — Nie wyobrażam sobie, jak mogłaś nawet pomyśleć... to tylko świadczy o tym, jaką kobietą naprawdę jesteś.

— Kochanie... to nie tak. Po prostu ciekawią mnie alfabetyczne połączenia, które układają się w słowa. Symbolicznie.

Spogląda na jej uśmiechniętą twarz.

— W porządku. Dość już tych głupich kawałów. A teraz zamień mnie z powrotem. Natychmiast! — Ona zagryza usta. On celuje w nią ciemnym palcem. — Ostrzegam cię. Opiszę to. Co do słowa.

Nadal uśmiechnięta wpatruje się w jego twarz i wolno zaczyna recytować grecki alfabet.

— Alfa, beta, gamma...

— Uczynię cię pośmiewiskiem... Przekreślę ostatnie złudzenie co do ciebie...

Mój Boże, pokażę jakie jesteście przewrotne — krzyczy. — Zobaczysz!

Ona opada na poduszkę z zamkniętymi oczyma i wyciągniętymi ramionami, jakby leżała na słońcu. Lecz jej uśmiechnięte usta nadal mruczą, jakby wspominały dawno zapomniane, letnie popołudnie.

— ...mi, ni, ksi, omikron, pi...

— Przekonasz się!

— fi, chi, psi, omega.

— Dobrze. Wystarczy.

Ona ciągnie dalej; a w zasadzie zaczyna od nowa.

— Alfa, beta, gamma, delta, epsilon...

— Dość!

— Dzeta, eta, theta, jota, kappa...

— Daję ci ostatnią szansę.

— Lambda, mi, ni było boskie, ksi było w gruncie rzeczy lekką przesadą, omikron rozumie się samo przez się, pi, ro...

— Dość tego. Stanowczo, ostatecznie, kategorycznie, jednoznacznie i raz na zawsze dość.

— Sigma, tau...

— Ani słowa więcej!

— Ypsilon, fi...

— Jak żyję, nigdy się już do ciebie nie odezwę.

— Chi, psi, omega.

— Nakazuję ci opuścić mój umysł. Natychmiast!

— Tak, kochanie. Alfa, beta...

Szczęśliwym zbiegiem okoliczności pokój ma izolację akustyczną. Biedny satyr, rozsierdzony poza granice wytrzymałości (nawet jak na satyra) wydaje z siebie najbardziej mrozący krew w żyłach krzyk zawiedzionej wściekłości, jaki kiedykolwiek wyrwał się z na poły ludzkiego, na poły capiego gardła. Stoi trzęsąc się. Potem dziwnie podskakuje, staje twarzą do drzwi, opuszcza głowę i rusza na nie w dzikiej szarży. Na szczęście są one mocno wyściełane, zatem wściekły atak i ostateczne uderzenie nie odnoszą skutku. Drzwi stoją mocno. Człowiek-koziół zatacza się do tyłu. Nie jest nawet ogłuszony, najwyżej lekko oszołomiony. Z łóżka za nim dobiega nieustająca cicha recytacja greckiego alfabetu. On odwraca się i wpatruje w śnieżnobiałe, nieco rozstawione nogi, wypięte pośladki wieńczące kształtne plecy, rozłożone ramiona, pochyloną głowę, lśniące czarne włosy. Lśniące, czarne włosy! A swymi o wiele

czulszymi niż przedtem nozdrzami nieomylnie wyczuwa zapach wodorostów, ryżowego pudru i pokruszonych liści chryzantemy.

— Chi, psi, omega.

Znów panuje cisza. Potem istota na łóżku lekko się unosi i odwraca swą wypudrowaną lalkowatą japońską twarz, by mu się przyjrzeć. Błąka się po niej odrażająco nieszczery uśmiech.

— Cześć, Johny. Ty lubić niegrzeczna...

Tym razem jego głos pozbawiony jest wściekłości; jest to odwieczny krzyk samca, choć podbarwiony nieco śmiertelnym skrzekiem pilota kamikadze. Po dwóch szybkich krokach i niewiarygodnym odbiciu — zupełnie jak jedna z kozic z zegara — Miles Green szybuje w powietrzu ponad szczytem łóżka; znów jest całkowicie realny. Jednak w ostatnim ułamku sekundy, w apogeum jego lotu, tuż przed nieuchronnym upadkiem na cel, narracja dokonuje najbardziej zdradliwego zwrotu — niewykluczone zresztą, że jest to sprawka polimorficznej Erato, która, kierując się subtelną oceną i doświadczeniem w tych sprawach (ponieważ wiadomo już, że nawet boginię można zranić), dokonuje pospiesznego samoocalenia. W każdym bądź razie, w tym jakże krótkim odstępie czasu pomiędzy apogeum a upadkiem, jej efemeryczny japoński awatar znika.

Nieuchronnie gotowy do boju satyr spada na niespodziewanie puste prześcieradła i materac jak myśliwiec, który zbyt szybko opuszcza się na pokład lotniskowca i od którego — pozbawiony możliwości hamowania — odbija się jak od trampoliny. Jego rogata głowa z głuchym łoskotem wali w ścianę nad łóżkiem. Wygląda na to, że ściana jest w tym miejscu gorzej wyściełana. Niewątpliwie skutki tego uderzenia czuje zegar, ponieważ bez żadnego ostrzeżenia zaczyna nieustannie kukać. Jeżeli chodzi o satyrę, opada bez czucia na poduszkę. Tam dopiero zachodzi ostateczna transformacja. Błede i nieruchome ciało leżące na łóżku twarzą w dół jest znowu ciałem Milesa Greena.

Następuje krótka chwila przerwy. Nagle pojawiają się dwie pary rąk, jedne czarne, drugie białe. Bezwładne ciało zostaje odwrócone na plecy, przykryte prześcieradłem i lekkim kocem, które następnie zostają ciasno podwinięte z obu stron. Białe ręce szybują ku drzwiom; jedna z nich unosi się, by włączyć ścienną lampę — schludny prostokąt matowego, białego plastiku — wiszącą nad łóżkiem na tyle wysoko, by uniknąć zniszczenia. W tym samym czasie mała czarna lub raczej

czekoladowobrązowa pięść wymierza gwałtownego kuksańca oszalałemu zegarowi z kukułką. Zegar milknie. Potem daje się słyszeć energiczny głos doktor Delfie.

— W porządku, siostró. Możemy chyba napić się teraz herbaty. — Jej głos zmienia się niedostrzegalnie. — Wypije ją siostró w moim gabinecie.

— Ja?

— Pani, siostró.

— Dziękuję, pani doktor.

Drzwi zostają otwarte.

— Ach, zapomniałam. Gdyby siostró mogła znaleźć i przynieść mi miarę. Chcę coś zmierzyć.

— Parawan, pani doktor?

— Wydaje mi się to więcej niż prawdopodobne, siostró.

Drzwi zostają zamknięte. Delikatne, młode, brązowe ręce nieco nadgorliwie krzątają się wokół poduszki. Potem karaibski głos odzywa się do siebie:

— Parawan. Jak może. I śmie nazywać ciebie rasistą... Szczerze, panie Green, ta dziewczyna ma większe pojęcie o męskich pacjentach w paznokciu małego palca u nogi, niż tamta w całym swoim chuderławym białym ciele. Zobacz pan, niech no tylko jeszcze raz odwróci ten swój przemądrzały tyłek.

Głos dochodzi od drzwi.

— Jeśli pan kiedykolwiek spotka tego pana Shakespeare'a, panie Green, niech go pan zapyta. Niech pan zapyta tego człowieka.

Drzwi zostają znów zamknięte.

Nieświadomy pacjent leży na szpitalnym łóżku, wpatrzony — co musi wydać się teraz jego typową pozycją — nie widzącym wzrokiem w sufit, świadomy jedynie świetlistej i nieskończonej mgiełki, jakby unosił się, boski, alfa i omega (i wszystko między nimi), ponad morzem oparów. Wreszcie szary pokój zasnuwa miłosierna cisza, a właściwie zasnułaby, gdyby nie kukulka zegara, która jakby czuła się nie do końca doceniona, jakby czuła się w obowiązku, by jeszcze jeden, ostatni raz zademonstrować swą odrębność, zdystansować się od wszystkiego, co zaszło w tym pokoju, oraz potwierdzić nieśmiertelny szacunek dla swego pierwszego i bardzo jednoznacznie określonego estetycznie (*Grunt to nie mieszać gatunków, jak rzeki Shanahari*) właściciela; lub jakby sennie szemrała o zielonych polach Irlandii, o górskich łąkach, o niezmaconej rozkoszy uniknięcia odpowiedzialności za swe czyny (nie mówiąc już o tym, że ostatnie słowo należy do niej), chrobocze, wyskakuje na

zewnątrz i wydaje z siebie ostateczne, ciche i pojedyncze, dziwacznie samotne kukniecie.